

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/84

1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

BUDUJEMY DOM

Z. WAŃKOWICZOWA : **KOMBATANTKI**

St. ZARZEWSKI : **PERSKA NAFTA**

SPIS RZECZY:

Juliusz Mieroszewski:	<i>Budujemy dom</i>	3
Józef Czapski:	* * *	12
Wiktor Weintraub:	<i>Kazimierz Nitsch</i>	15
Paweł Hostowiec:	<i>„Forum” europejskie w Alp- bach</i>	31
Jan Tokarski:	<i>Powrót świętych (I.)</i>	39
Danuta Bieńkowska:	<i>Fantazja</i>	47
„	<i>Dziękuję Ci</i>	48
„	<i>Wszystko było</i>	49
„	<i>Już od lat</i>	50
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	51
PRZEGLĄD GOSPODARCZY		
Stanisław Zarzewski:	<i>Perska nafta znowu popłynię ..</i>	57
PRZEGLĄD NIEMIECKI		
Wojciech Zaleski:	<i>„Kombinat” śląski</i>	68
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Zofia Wańkowiczowa:	<i>Kombatantki</i>	77
K R A J		
Zbigniew Jordan:	<i>Plan sześćioletni a rolnictwo ..</i>	99
(a. n.):	<i>Od Aragona do Orwella</i>	112
(j):	<i>Sprawy emigracyjne w prasie warszawskiej</i>	115
KRONIKA KULTURALNA		
Czesław Miłosz:	<i>Międzynarodowe spotkania ..</i>	118
Alfred Holiński:	<i>Samuel Tyszkiewicz</i>	122
K S I A Ź K I		
Michał Sokolnicki:	<i>Zbiory dokumentów</i>	126
Marian Pankowski:	<i>Mowa bez ziemi (dok.)</i>	134
KAJ:	<i>Spacer nieśpiesznego przechod- nia</i>	139
KAJ:	<i>Pogrom cieni</i>	141
(j):	<i>Notatki wydawnicze</i>	143
—	<i>W dwóch słowach</i>	144
(j):	<i>Przegląd miesięczników</i>	146
Jerzy Rencki:	<i>A.B.C. instytucji międzynaro- dowych (dok.)</i>	148
A. Scott i J. Hauptmann:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
J. Łobodowski, R. Nowotar- ska, J. Włodarkiewicz, I. Gębska, W. Chiger:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Résumé en langue française ..</i>	157
—	<i>English Synopsis</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik-October 1954

INSTITUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Zofia WANKOWICZOWA, żona Melchiora. Szkoła średnia w Warszawie. Studia historyczne na Wszechnicy Jagiellońskiej. Studium Pracy Społecznej na Wolnej Wszechnicy w Warszawie. W czasie pierwszej wojny światowej w konspiracji wojskowej „Związek Broni”, przekształconej po przybyciu wysłanników z kraju w P.O.W.-Wschód, na polecenie tej organizacji tworzy „Koło Polek” w Mińsku Litewskim które staje się następnie szeroko rozgałęzioną ogólnopolską organizacją.

W ciągu dwudziestolecia Niepodległości podejmuje szereg prac społecznych: w Kole Polek, w Unii Związku Obrótczyni Ojczyzny, w zarządzie opieki nad przedszkolami, opieki nad dziećmi w barakach, w Zarządzie Funduszu Szkolnictwa Polskiego poza granicami Kraju.

Współpracowała w „Bluszczu”, „Kobiecie Współczesnej”, „Gazecie Polskiej”.

W czasie drugiej wojny należy do A.K., pracuje w Patronacie opieki nad więźniami i w sekcji przechowywania jeńców.

W czasie powstania jest zastępczynią kierowniczką P.Ż.R. (Pomoc Ran-nemu Żołnierzowi), po powstaniu Delegatką A.K. do Polskiego Czerwonego Krzyża. Weryfikowana w stopniu podporucznika Armii Krajowej.

W Rzymie pracuje jako zastępczyni redaktorki „Ochotniczki”.

Odnaczona Krzyżem Niepodległości i złotym Krzyżem Zasługi.

Zbigniew JORDAN. Ur. w 1911 r. Studia wyższe odbywał w Poznaniu oraz habilitacyjne w Bonn i w Paryżu. Dr filozofii w zakresie filozofii ścisłej (1936). Prace drukowane przed wojną: *O matematycznych podstawach systemu Platona* (T. VI Prac Komisji Filozoficznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Poznań 1937) oraz liczne artykuły i studia krytyczne w *Kwartalniku Psychologicznym*, *Przeglądzie Filozoficznym* i *Przeglądzie Współczesnym* (m. in. „Teoria zdań psychologicznych prof. T. Kotarbińskiego”). Jako żołnierz I. Dywizji Pancerniej opublikował w okresie drugiej wojny światowej studium w języku angielskim *The Development of Mathematical Logic and of Logical Positivism in Poland between the Two Wars* (Polish Science and Learning No. 6, Oxford University Press, 1945). Po wojnie jest stałym współpracownikiem miesięcznika *Trybuna*, drukował artykuły w *Kulturze*, oraz w języku angielskim w *Polish Affairs*, których był redaktorem. Większe prace ogłoszone w tym okresie: *Świat w epoce atomowej*, Londyn, 1947; *Oder-Neisse Line*, London, 1952. Główny przedmiot zainteresowania stanowią obecnie problemy międzynarodowe, przemiany ekonomiczne, społeczne i światopoglądowe za Żelazną Kurtyną.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII*)

Budujemy dom

Artur Koestler w drugim tomie swojej autobiografii opisuje upadek emigracyjnego tygodnika pn. „Die Zukunft”. Tygodnik ów wydawał Willy Muenzenberg w Paryżu, w latach 1938-1939. Mimo, że na łamach „Die Zukunft” ukazywały się artykuły Tomasza Manna, Harolda Nicolsona, Duff Coopera, Aldous Huxleya i wielu innych, wybitnych autorów... „po kilku miesiącach pismo zaczęło jałowić i zalatywać stęchłą”. „To jest los — dodaje Koestler — wszystkich pism emigracyjnych, odciętych od swoich ojczystych krajów i bez rzeczywistych powiązań z krajem wygnania”.

Koestler ma rację. Wydaje się rzeczą prawie niemożliwą stworzyć na emigracji tygodnik czy miesięcznik — żywy, autentyczny, z prawdziwego zdarzenia. Normalnie bowiem, emigracje to z jednej strony starzy, grzęznący w stawku wspomnień, małych intryg i zawiści — z drugiej, odpływająca fala młodych. Jak w oparciu o takie zaplecze budować pismo?

Jeżeli pod tym kątem widzenia spojrzeć na KULTURĘ to trzeba powiedzieć, że jest fenomenem trudnym do wyjaśnienia. Jako miesięcznik, w Polsce przed wojną, byłaby również wielkim sukcesem. Jeżeli wartość pisma mierzyć nakładem to wydaje mi się, że w przedwojennej Polsce nie byłoby łatwo rozsprzedać obecnego nakładu KULTURY. W okresie niepodległości, dla tego typu miesięcznika już nawet nakład 2.500 do 3.000 egzemplarzy stanowił górną granicę możliwości i szczyt marzeń redaktora.

Czym więc należy tłumaczyć, że KULTURA stała się żywym zaprzeczeniem tezy Koestlera? Wychodzi ósmy rok i chyba największy wróg nie zarzuci KULTURZE, że jest... jałowa i stęchła.

Poruszam ten temat szczerze i otwarcie, bez fałszywej skromności — ponieważ daleki jestem od myśli by osiągnąć



P.9786 Chr. Arch.

nięte rezultaty przypisać w całości redaktorowi i jego współpracownikom. Twórcami KULTURY, w bardzo znacznym procencie, są nasi Czytelnicy, którzy pragną mieć takie pismo i zdecydowani są je podtrzymać. Najświetniejszy redaktor i najlepszy współpracownicy nie zdaliby się na nic, gdyby Czytelnicy odwrócili się od nas plecami.

Zarówno nasi przyjaciele jak wrogowie przyznają, że KULTURA jest pismem „na poziomie”. To określenie absolutnie nie mówi i niczego nie tłumaczy. W gruncie rzeczy chodzi o problem niepomierne trudniejszy, którego nie można ująć ani w formę wykresu ani w kolumnę cyfr.

Wyobraźmy sobie, że Polacy w świecie nie mają periodyku typu KULTURY. Załóżmy, że redaktor i wydawca — biorąc pod uwagę, że jestem od ćwierć wieku dziennikarzem — zwraca się do mnie z projektem i układem pisma, zapytując, czy w mojej opinii jest sens podjąć na emigracji wydawanie miesięcznika. Jestem niemal pewien, że odpowiedziałbym negatywnie cytując m. inn. słowa Koestlera. Jak wszyscy szanujący się „eksperci” powołałbym się na statystykę, przekrój socjologiczny rynku czytelniczego itp. Argumenty przeciwko wydawaniu takiego pisma z punktu widzenia statystyki i socjologii są bezsporne. Emigracja polska niemal w 90 procentach składa się z robotników. Po 15-tu latach pobytu na obczyźnie większość opanowała języki krajów osiedlenia i czyta prasę angielską, francuską czy amerykańską. Periodyk emigracyjny nie może liczyć na nakład idący w dziesiątki tysięcy egzemplarzy, musi więc być droższy od analogicznych wydawnictw angielskich czy amerykańskich — co w konsekwencji przekreśla każdą rozsądną kalkulację.

Na szczęście dla nas wszystkich, Jerzy Giedroyc, gdy jeszcze we Włoszech podjął wydawanie KULTURY, zaufał swemu redaktorskiemu instynktowi a nie opinii ekspertów. W świecie wydawniczym dzieją się bowiem rzeczy jakie filozofom i ekspertom się nie śniły. Jednym z takich fenomenów jest KULTURA.

„Darkness at Noon” — by znów Koestlera powołać na świadka — sprzedano w Anglii z trudem 4.000 egzemplarzy. We Francji, ta sama książka pobiła natychmiast wszystkie znane rekordy poczytności i rozeszła się w nakładzie 400.000 egzemplarzy. W Anglii 4.000 — we Francji 400.000 — proporcja 1:100.

Żaden ekspert nie był w możności przewidzieć takiego wyniku. Stało się tak dlatego, że „Darkness at Noon”, w danym momencie kryzysu we Francji, w sposób idealny odpowiadała głęboko odczuwanej potrzebie. W roku 1946, kiedy książka

Koestlera ukazała się na rynku komunści byli najsilniejszą partią we Francji, zasiadali w rządzie i kontrolowali związki zawodowe. W tej atmosferze, powieść analizująca procesy sowieckie — przemawiająca językiem partii i będąca pierwszym moralnym oskarżeniem stalinizmu — w oczach ówczesnego czytelnika nabierała wprost symbolicznej aktualności.

I tu jesteśmy u sedna sprawy. Poziom nie decyduje ani o poczytności ani o powodzeniu. Emigracyjny tygodnik „Die Zukunft”, czy znakomity angielski miesięcznik „Horizon” były pismami o bardzo wysokim poziomie a jednak nie zapuściły korzeni i uschły. Nie odpowiadały bowiem ani duchowemu klimatowi czytelników, ani nie były próbą odpowiedzi na problemy, które czytelnicy uważają za istotne.

Statystyki nie mówią wszystkiego o emigracji.

Historia zna tylko dwie kategorie emigrantów politycznych. Pierwsi opuszczają kraj by za granicą walczyć o postęp i wolność. Drudzy opuszczają kraj, by na obczyźnie bezpłodnie marzyć o przywróceniu „status quo”. Pierwsi reprezentują siły postępu — drudzy reakcję i wstecznicstwo. KULTURA jest pismem tej pierwszej kategorii a jej sukces jest dowodem, że w poważnym procencie nie jesteśmy „białą emigracją”.

KULTURA nie jałowuje i nie traci stęchlizną jak koestlerowska „Die Zukunft”, ponieważ jest wyrazem prądu przebudowy i skupia wokół siebie tych, którzy wierzą, iż nie po to przebywają na obczyźnie, by spełniać rolę kapitolinśkich gęsi (co stanowi honorową i uznaną funkcję intelektualistów zza „żelaznej kurtyny”). Najinteligentniej gęgające gęsi tym razem europejskiego kapitolu nie uratują. Kapitol trzeba od podstaw przebudować.

Nie należymy do chóru proroków apokalipsy, komentatorów klęski i subtelnych koneserów rozkładu, którzy, gdy pewnego dnia dojrzą nad Kapitołem białą chmurę w kształcie... olbrzymiego grzyba, zągęją z masochistyczną rozkoszą: myśmy to przepowiedzieli...

Jaki jest nasz program?

Jeżeli przez „ideologię”, czy „program” rozumieć ściśle określoną zamkniętą doktrynę partyjną, czy jakąkolwiek inną — to z całym spokojem wyznajemy, że nie służymy żadnej „ideologii”, ani żadnemu „programowi”. Rezerwujemy sobie natomiast prawo do niezależnej krytyki każdego „programu” i każdej „ideologii”.

Jeżeli ktoś jednak przetrze 80 numerów KULTURY, łatwo dostrzeże jasno zarysowane linie wytyczne, wokół których toczy się dyskusja i krystalizują się poglądy. Owe linie wytyczne są

wyrazem przekonania Zespołu. Między doktryną (programem, deklaracją ideową) a przekonaniem istnieje zasadnicza różnica. Przekonanie jest pojęciem dynamicznym — doktryna czy program statycznym. Oto przykład:

Jedną z wytycznych KULTURY jest dążenie do utrzymania żywego stosunku do Kraju, co pociąga za sobą nieustanne śledzenie przemian w Polsce w atmosferze wolnej zarówno od propagandy jak zakłamania. Na tej osi — skandale związane z reportażem Janty, oburzenie szczere (i udane) wywołane tragicznymi artykułami Florczaka, brutalna nagonka w związku ze „sprawą Miłosza”, „Powrót”, „Zniewolony Umysł” i komplet krajowych numerów KULTURY — stanowią, mimo swej różnorodności, jedną całość.

Żadna „ideologia” nie łączy Miłosza z Jantą, czy Florczaka z Wojciechem Zaleskim. Gdyby redaktor KULTURY dobierał autorów według klucza ideologii partii, czy doktryny — owa bogata różnorodność w dyskusji byłaby nie do osiągnięcia. Większość zarzutów pod adresem KULTURY dotyczy tego zagadnienia. Publiczność wychowana na prasie rządowej i pro-rządowej skłonna jest rozpatrywać wszystko pod kątem widzenia osób a nie zagadnień. Dla tego typu czytelnika jest oczywiste, że redaktor KULTURY nie ma własnego sądu w sprawach krajowych, skoro drukuje zarówno Florczaka jak W. Zaleskiego — zarówno Mieroszewskiego jak Miłosza czy Korbońskiego.

Ludzie przywykli do prasy kierowanej nie rozumieją, że jedyna droga wiodąca do zjednania czytelnika dla poglądu Zespołu prowadzi poprzez dyskusję. Gotowe rozwiązania można narzucić albo zadekretować. Ale narzucić a przekonać to nie jest jedno i to samo. Jeżeli czytelnik ma być przekonany o słuszności tezy, musi brać udział w dyskusji i być aktywnym świadkiem krystalizowania się danego poglądu. Nie ma dyskusji tam, gdzie oponenci pozbawieni są głosu. Ponieważ KULTURA drukuje zawsze wypowiedzi opozycjonistów — nieliczni zwolennicy „Führerprinzipu” na emigracji zarzucają nam brak „linii”.

KULTURA nie jest organem ani „wodza”, ani „opatrnościowego męża stanu” i wskutek tego nie mamy gotowych rozwiązań. Do naszych opinii dochodzimy drogą studiów i dyskusji, prowadzonych w atmosferze całkowitego liberalizmu.

Są i tacy, którzy utrzymują, że jesteśmy zbyt liberalni. W naszym zrozumieniu nie można być zbyt liberalnym tak, jak nie można być zbyt kulturalnym czy zbyt wykształconym.

Patrząc wstecz z perspektywy siedmiu lat na proces formowania się naszych poglądów należy stwierdzić, że rola dyskusji

bywała olbrzymia. Weźmy dla przykładu „Klub Trzeciego Miejsca” Melchiora Wańkowicza. Mimo, że koncepcję tzw. „Trzeciego Miejsca” Zespół KULTURY odrzucił, dyskusja nad tym oryginalnym i mocnym w wyrazie studium stała się punktem wyjścia rozważań i polemik w wielu zasadniczych sprawach. Wańkowicz nas nie przekonał ale wywarł potężny wpływ na KULTURĘ. Nie jest rolą pisarza mieć zawsze rację. Rolą pisarza jest zmuszać ludzi do myślenia.

KULTURA jest nie tylko warsztatem pisarskim pewnej grupy ludzi, lecz również pisarzy odkrywa i formuje. To jest proces, który wymyka się analizie, niemniej ów proces decyduje o wszystkim i stanowi istotę talentu redaktora. Gdyby nie było KULTURY, być może nie byłoby „Dziennika” Gombrowicza. Nie byłoby „Turystów z bocianich gniazd” — wiem to z ust Straszewicza. Jeleński nie byłby może tym kim jest — krytykiem i essayistą, który tak góruje nad przedwojennym Słonimskim. Nie byłoby najlepszych pozycji w twórczości Miłosza. Gdyby nie było KULTURY, piszący te słowa zszedłby z tego świata w innej randze dziennikarskiej i z innym dorobkiem. Jeżeli na przestrzeni ubiegłych sześciu lat przyczyniłem się w pewnej mierze do rozbudowy KULTURY — to muszę obiektywnie stwierdzić, że KULTURA znacznie wydatniej rozbudowała mnie niż ja KULTURĘ.

Jeżeli prześlądnymi spisy autorów to łatwo się przekonać, że KULTURA przyciągnęła pisarzy zarówno młodych jak i starszych, zdolnych do rozwoju. Nie pisują na łamach KULTURY tylko ci, którzy od 1939 roku nie postąpili kroku naprzód. Gdybyśmy spośród pisarzy wyodrębnili grupę autorów, którzy swe najlepsze utwory napisali na emigracji — przekonali byśmy się, że owi pisarze niemal bez wyjątku związani są z KULTURĄ.

Co wyróżnia KULTURĘ spośród innych pism emigracyjnych?

Wyróżnia ją świadomość współczesności, świadomość przełomu. To nie jest tylko sprawa tzw. „szerokich horyzontów”, liberalizmu czy postępowości. To jest sprawa poczucia wagi przeżywanego czasu. KULTURA nie jest sztucznym emigracyjnym dalszym ciągiem periodyków, które upadły 15 lat temu.

Jeżeli powiedziałem powyżej, że KULTURA nie hołduje żadnemu „programowi” — uczyniłem to z dwóch powodów. Po pierwsze, odczuwam nieprzezwycięzalny wstręt do tego terminu, a po drugie, w emigracyjnej nomenklaturze „program” oznacza zwykle „deklarację ideową”, która z kolei jest balonem frazesów unoszących się nad myślową pustynią.

Zespół KULTURY od początku powstania pisma był przekonany o konieczności poddania rewizji dwóch zagadnień:

- a) Stosunku emigracji do Kraju — oraz
- b) roli i zadań emigracji na obczyźnie.

Byliśmy również przekonani o konieczności reformy tradycyjnego poglądu w stosunku do dwóch centralnych problemów politycznych świata:

- c) Europy, oraz
- d) Stanów Zjednoczonych.

Konsekwencją tego rewizjonistycznego nastawienia są wytyczne, stanowiące osie wokół których formują się poglądy dotyczące owych czterech zasadniczych grup problemowych.

Przyjrzyjmy się temu procesowi myślowej krystalizacji na przestrzeni ubiegłych lat.

„...Próba stawiania zagadnień takich, które są „tabu”, o których się nie pisze, ale o których szepcze się z goryczą. Wszelka stronna analiza przemian w Kraju. Wiązanie Czytelnika polskiego rozproszonego po kuli ziemskiej z żywą myślą Zachodu”.

Tak formułowała swe zadania KULTURA w Nr 21. z lipca 1949 roku.

A oto garść wypowiedzi, które charakteryzują ewolucję poglądu na Kraj.

„KULTURA od początku swego istnienia wyróżnia się odrębnością podejścia do spraw Kraju. Sądziemy bowiem, że błędną jest popularna polityka, która rozróżnia dwie Polski. Jedna to ta z rocznicowych akademii i gromkich przemówień i druga — Polska „bierutowa”, „sowiecka” i „satelicka”. Uważamy, że Polska jest jedna. Obserwujemy przemiany zachodzące w Kraju z największą uwagą i troską, nie ustając w wysiłku zrozumienia dramatu, który nie ma precedensu w dziejach naszego narodu”.

(Nr 47, 1951.)

„Możemy wyrażać opinie jakie się nam podoba w związku z obecną rozbudową przemysłu metalurgicznego w Polsce i w Czechosłowacji i komentować dowolnie jego rozmieszczenie, koszty, przyszłą rentowność itp., lecz nie możemy ignorować faktu, że powyższa rozbudowa jest już w połowie dokonana, co w konsekwencji pociąga za sobą wielkie przeobrażenia ekonomiczne w naszym kraju... Przyszłe organizowanie tej części Europy powinno się zacząć od inicjatywy analogicznej do Planu Schumana, która w odniesieniu do paliw i stali objęłaby wszystkie kraje obszaru środkowo-wschodnio-europejskiego. Lecz każdy projekt tego typu winien być poprzedzony porozumieniem po-

między dwoma czołowymi producentami węgla i stali tego obszaru tj. Polską i Czechosłowacją”.

(Nr 68, 1952.)

„Musimy zdobyć się na odwagę i przyjąć za fakt, że choć komunizm z treści nie jest polski, wywrze duży formatywny wpływ na Polaków w Kraju. Komunizm, drogą reakcji wydobędzie szereg wartości, które w treści swej będą całkowicie polskie.

...Dotychczasowe badania przeobrażeń w Kraju mają charakter opisowy. Opisujemy mechanikę przewrotu tak — jakby ów przewrót odbywał się w próżni. Obraz przewrotu odmalowany szczegółowo przez emigracyjne ośrodki badawcze jest obiektywny ale pytanie: co ów przewrót oznacza, jest pozostawione bez odpowiedzi. Nie ulega wątpliwości, że trzeba być bardzo ostrożnym w interpretowaniu rzeczywistości krajowej i poglądy w tej sprawie do dnia uwolnienia Polski będą miały charakter hipotetyczny. Niemniej pewne przemiany strukturalne można już dziś sklasyfikować jako nieodwracalne”.

(Nr 74, 1953.)

Nie chciałbym przeciągać artykułu cytatai i ograniczam się do kilku wypowiedzi, najbardziej charakterystycznych. Jeżeli chodzi o problem Kraju artykuły jakie ukazały się w KULTURZE, tomy Zeszytów Krajowych, studium Cz. Miłosza pt. „Zniewolony Umysł” — składają się łącznie na encyklopedię wiedzy o Polsce współczesnej, która jest osiągnięciem bez precedensu w dziejach emigracji.

KULTURA i pewne nasze wydawnictwa wbrew zakazom i szykanom docierają do Kraju. Dla czytelników w Polsce KULTURA jest głosem wolności, tej wolności prawdziwej i niezależnej a nie... protegowanej przez obcą propagandę.

Na temat zagadnień federacyjnych i europejskich ukazały się na łamach naszego pisma studia czołowych działaczy tego ruchu. KULTURA jest za federacją środkowo-wschodnio-europejską w ramach zjednoczonej, sfederalizowanej Europy.

Kolegium Wolnej Europy w Strassburgu powstało jako inicjatywa KULTURY, podjęta przez Kongres Wolności Kultury. Problemy tej uczelni, która z trudem szuka swego ostatecznego kształtu, a o której głucho na łamach prasy emigracyjnej — były ostatnio przedmiotem serii omówień i studiów na łamach naszego miesięcznika.

Zagadnieniom związanym z polityką i kulturą Stanów Zjednoczonych poświęcone były studia J. Burnhama, specjalny amerykański numer KULTURY — oraz artykuły i korespondencje. Nasz pogląd na politykę amerykańską, który formułowali-

śmy w wielu artykułach — charakteryzuje najplastyczniej następujący wyjątek:

„Stany Zjednoczone są w pozycji przywódcy, lecz nie działają jako przywódca. Sądźmy, że jeżeli Ameryka nie sięgnie po przywództwo i nie podejmie ryzyka i odpowiedzialności związanych z tą rolą — nie zapewni bezpieczeństwa ani sobie, ani swoim sprzymierzeńcom. Na razie nie ma niestety żadnych obiektywnych danych, które by wskazywały, że Ameryka będąc potencjalnym „leader'em”, zaczęła działać jako „leader”. I dlatego twierdzimy, że głównym teatrem „wojny psychologicznej” jest nie ujarzmiona Europa wschodnia, ani nie Europa zachodnia lecz Stany Zjednoczone. Przekonywać trzeba Amerykanów a nie Europejczyków”.

(Nr 80, 1954.)

I wreszcie my sami — Emigracja. Jeżeli by sądzić po zwierciadle prasy to emigracja składa się z polityki, z teatru i z wieczorów rocznicowych. Socjologia emigracji, robotnik polski, rynek czytelniczy i jego przekrój, problemy szkolnictwa, sprawy tzw. „drugiego pokolenia”, zmiana obywatelstwa — oto wachlarz zagadnień, którym KULTURA poświęca wiele miejsca i uwagi.

Polityczna ewolucja emigracji była przedmiotem studiów, które wydane odrębnie złożyłyby się na potężny tom. W poprzednim numerze KULTURY Czytelnik znajdzie artykuł pt. „Polacy i poganie”, który stanowi podsumowanie naszych dotychczasowych rozważań w tym kierunku.



Lecz to wszystko co powiedziano powyżej nie jest ani bilansem, ani rachunkiem sumienia — ani inwentarzem zasług, ani rejestrem błędów. KULTURA jest zjawiskiem w akcji, dynamiczną inicjatywą w toku rozwoju i rozbudowy. Ludzie przyzwyczajają się do wszystkiego i najdziwniejsze zjawiska po pewnym czasie kwitują poklepującą, poufałą obojętnością.

Celem tego artykułu jest przywrócić Wam, Czytelnicy, świeżość spojrzenia na KULTURĘ. Pragnę byście znów odczuli jej niezwykłość.

Wracam do punktu wyjścia. Fakt, że Polacy w wolnym świecie podtrzymują KULTURĘ i zapewniają jej sukces na skalę o ileż większą niżby to było osiągalne w Polsce przed wojną — jest dla mnie fenomenem na który nie znajduję odpowiedzi. Niemniej fakt ten — jak żaden inny — świadczy, że KULTURA odpowiada istotnej, głęboko odczuwanej potrzebie.

Sądzę, że wchodzi tu w grę dwa czynniki, które powodują,

że KULTURA przy swej europejskości jest może rdzenniejszą polską, niż jakiegokolwiek inne pismo. Po pierwsze reprezentuje ducha reformy, a po drugie, strzeże swej niezależności jak oka w głowie.

KULTURA reprezentuje polską myśl niepodległą — bez przenośni, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie podległą ani wrogom ani sojusznikom.

Rozpoczęliśmy naszą pracę w 1946 roku, w Rzymie, opierając się na pożyczce i jednorazowym subsydium, otrzymanym od dowódcy 2. Korpusu, gen. Wł. Andersa.

Już w 1947 roku pożyczkę spłaciliśmy i od tego czasu KULTURA zaczęła wychodzić na własny rachunek i na własne ryzyko. W numerze sierpniowym z 1949 roku redakcja w okresie trudnym dla pisma zwróciła się z apelem do Polaków i polskich instytucji by przyszli nam z pomocą fundując poszczególne numery pisma. Pierwszym, który na ten apel odpowiedział czynem był Stefan Zamoyski. Po nim przyszli Mafcużyński, Legion Młodych Polek w Chicago (wielokrotnie), Polski Program Radiowy stacji W.J.L.B. w Detroit, Polskie Kluby Artystyczne w Stanach Zjednoczonych — i wielu innych.

Przez następne lata umocniliśmy byt pisma i jego niezależność. Jeżeli dziś zwracamy się ze specjalnym apelem do Polaków w wolnym świecie, to nie dlatego, że grozi nam bankructwo czy upadek ale dlatego, że potrzebujemy środków pieniężnych na rozbudowę. Potrzebujemy pieniędzy by KULTURZE, jej zbiorom, archiwum i bibliotece zapewnić dach nad głową.

Nasi Czytelnicy w Stanach Zjednoczonych, w Afryce czy w Nowej Zelandii a może i większość Czytelników w Anglii i we Francji — z nazwą KULTURA kojarzą tylko periodyk, który przychodzi do nich co miesiąc w charakterystycznej barwnej okładce. Może to jest nasza wina. Już dawno powinien się być ukazać reportaż o KULTURZE, który by zobrazował jej wymiar i zasięg.

KULTURA jest ośrodkiem badań i studiów w pierwszym rzędzie spraw krajowych, jest redakcją i administracją miesięcznika, jest domem wydawniczym „Biblioteki KULTURY”, jest archiwum kompletów wydań pism polskich publikowanych w Kraju i zagranicą, jest biblioteką wielojęzyczną obejmującą ponad 6.000 tomów. Jest wreszcie biurem dokumentacyjnym Emigracji polskiej. Wszystko co kiedykolwiek i gdziekolwiek wydano po polsku od wspaniałej, wielotomowej Bitwy o Monte Cassino M. Wańkowicza po polityczną broszurkę, powieloną na lichym papierze, gdzieś w Niemczech jest zebrane, skatalogowane, przechowane.

Na tle obecnego kryzysu na emigracji, na tle rozkładu

i upadku tylu autorytetów i instytucji fakt, że KULTURA nie tylko trwa ale rozwija się, nabiera specjalnej wymowy. Gdyby nasze pismo zależało od wodzów, mężów stanu, przywódców partyjnych i innych tzw. „czynników” — już dawno by je pogrzebali. Na szczęście KULTURA oparta jest o szerokie koła Czytelników i przyjaciół, o „doły” a nie o „góre”. Do tych przyjaciół naszych i Czytelników zwracamy się dziś z gorącym apelem w chwili wielkiej potrzeby.

Musimy kupić dom. Potrzeba nam 10 milionów franków.

Tak oto, nie bez lęku, rozpisujemy plebiscyt, którego wynik odpowie na pytanie w jakiej mierze KULTURA stała się sprawą ogółu emigracji. Przekonamy się czy liczyć możemy tylko na potężnych przyjaciół-mecenasów, czy również na solidarne poparcie tysięcy Czytelników dla których piszemy, redagujemy, wydajemy nasze pismo...

Juliusz MIEROSZEWSKI

*
* *

Dziękując w poprzednim numerze trzem pierwszym ofiarodawcom zwróciliśmy się do czytelników KULTURY z prośbą by każdy przyszedł nam z pomocą w miarę swych możliwości.

Największe dary paru dobroczyńców nie mogą dać KULTURZE trwałych korzeni, jej głębi w znaczeniu moralnym i materialnym jest rzesza abonentów i czytelników wszystkich krajów i warstw społecznych, ludzi o najskrajniej różnych warunkach materialnych. Nasze wezwanie, dopiero dwa tygodnie temu rozesłane, nie dotarło jeszcze do krajów dalekich, gdzie mamy największą ilość względnie materialnie zabezpieczonych czytelników, ale już wywołało szereg odpowiedzi i zgłoszeń pomocy.

X. Y., Hyères, Francja	1.800 frs.
Kazimierz Vincenz, Solothurn	1.000 "
Halszka Poniatowska, Zürich	1.000 "
Kiermasz Książki Polskiej w Szwajcarii ..	2.000 "
K. Stachiewicz, Dublin	500 "
Anatol Muhlstein, Paryż	100.000 "
Władysław Ozerowicz, Alger	1.800 "
Stefan Płoński, Rzym	1.800 "
Józef Jenne, Trollhättan	1.000 "
Z. Dyjas, Salisbury	1.000 "

Dlaczego mamy skrywać — wzruszają nas prawdziwie i zobowiązują te listy przyjacielskie, pełne niezdawkowej, ciepłej troski o pismo, z dołączonymi kwotami tak różnej wysokości od 100.000 Anatola Muhlsteina — naszego współpracownika i przyjaciela, czy Halszki Poniatowskiej — jednej z pierwszych prenumeratorek. Nie możemy cytować wszystkich listów, ale ten jeden ze Szwecji przytoczyć sobie pozwolimy:

„Do zaofiarowanego „Panom” bezzwrotnie miliona franków przez zanego Edwarda Berenbaua dokładam z budżetu robotnika frs. 1.000. Uważam, że „Kultura” jest dla Polaków instrumentem szczególnie cennym i dlatego spieszę z tą skromną pomocą, gdyż pragnę by się nadal ukazywała. Józef Jenne.”

Kazimierz Vincenz, który po dziesięciogodzinnej pracy przy tokarni ma jeszcze czas i zapal organizować Kiermasz Książki Polskiej w Szwajcarii, przysłał nam projekt cegiełki na dom „Kultury”, fundowanej zarówno przez abonenta jak i przez czytelnika.

Kiedyś Wawel odrestaurowano dzięki tysiącom cegiełek, zebranych z całego świata. Dzisiaj Kazimierz Vincenz radzi nam wznowić tę formę składek o pięknej już tradycji. Podejmujemy z wdzięcznością inicjatywę Vincenza:

WPROWADZAMY TYSIĄCFRANKOWĄ CEGIEŁKĘ
DOMU „KULTURY”.

Młody geolog z Rodezji, przybyły na specjalizację do Europy, odwiedza nas w Maisons Laffitte i zgłasza swój udział w tej akcji.

Dziękujemy wszystkim.

Józef CZAPSKI



NAGRODA "KULTURY" na rok 1954

UFUNDOWANA PRZEZ PREZ. E. BERENBAUA

KULTURA ustanowiła nagrodę w wysokości 100.000 franków (to jest £ 100 lub dolarów am. 300) za PRACĘ LITERACKĄ (powieść, essay, opowiadania) dotychczas nieopublikowaną.

Nagrodzona praca będzie jednocześnie wydana w ramach „Biblioteki KULTURY”, przy czym autor jej — niezależnie od nagrody — otrzyma honorarium w myśl ogólnie przyjętych zwyczajów.

Maszynopisy, nieprzekraczające 300 stron znormalizowanego formatu, należy nadsyłać do Redakcji KULTURY (1, Avenue Corneille, Maisons Laffitte (S.-et-O.), France) DO DNIA 31 PAŹDZIERNIKA 1954 ROKU.

Maszynopisy winny być zaopatrzone godłem, przy czym należy do nich dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą nazwisko i adres autora.

W skład jury wchodzi: Jerzy Giedroyc, Paweł Hostowicz i Konstanty A. Jeleński.

POWTARZAMY: OSTATECZNY TERMIN
NADSYŁANIA PRAC — 31 PAŹDZIERNIK 1954.

Kazimierz Nitsch

— Która świnia to zrobiła?

Profesor stał na podium przy katedrze, trzymając w obu rękach cenne fotostatyczne wydanie starocerkiewnego rękopisu, otwarte na stronie, na której widać było odciski brudnych palców. Pochylona z lekka głowa; mała, w klin, siwiejąca bródka; ostro zarysowany nos, wąskie wargi, spojrzenie trochę spode łba spod bardzo grubych szkielec. Nie doczekawszy się odpowiedzi, Nitsch rzucił wykładowcy, Łosiowi, krótkie „przepraszam” i wyszedł z sali.

Wykład bowiem, który profesor Nitsch w tak dramatyczny sposób przerwał, nie był jego wykładem. Była właśnie godzina wykładu gramatyki historycznej prof. Łosia. Ale oburzenie na widok tylko co odkrytego splamienia cennego fotostatu wymagało wykładowania się natychmiast. Taki już był temperament profesora. I wymagał wykładowania się dosadnego, bez ogródek.

Tak wyglądało pierwsze nasze spotkanie z prof. Nitschem, spotkanie rocznika polonistów, którzy zapisali się na Uniwersytet Jagielloński w roku 1925. Potwierdzało ono fałszywą, krążącą wokół groźnego profesora, dawało przedsmak tego, czego możemy się po nim spodziewać w codziennej pracy uniwersyteckiej.

Studia polonistyczne były w Krakowie za moich studenckich lat tłumne. Uchodziły, i słusznie, za łatwe. Spory procent studentów, a zwłaszcza studentek, zapisywał się „na literaturę” po prostu dlatego, że studia takie zdawały się zapowiadać przejście przez uniwersytet względnie bezbolesne, bez większego nakładu pracy i wysiłków. Ale i wśród studentów, którzy byli ambitniejsi i odnosili się do swoich studiów poważnie, spora większość naprawdę interesowała się tylko literaturą. A tymczasem przepisy uniwersyteckie wymagały od wszystkich studentów pewnego *modicum* wiedzy językoznawczej: zdania kolokwium z fonetyki opisowej i potem egzaminów z gramatyki opisowej współczesnej polszczyzny, z elementów języka starocerkiewnego i wreszcie — było to ukoronowanie wiedzy i najtrud-

niejszy egzamin — z gramatyki historycznej z dialektologią. Tylko nieliczni spośród studentów „literatów” zdawali sobie sprawę z tego, jak cenny instrument dla studiów ściśle nawet literackich daje im w ręce elementarne nawet wykształcenie językoznawcze. Większość traktowała te studia językoznawcze jako swego rodzaju *malum necessarium*, przykre nudziarstwo, przez które trzeba przebrnąć, żeby otrzymać dyplom, upoważniający do uczenia w szkołach średnich.

W tych warunkach profesor-językoznawca, surowy, wymagający, szorstki w manierach i nie przebierający w słowach, musiał być postrachem studentów. Nie znaczy to wcale, aby Nitsch na egzaminach specjalnie dużo od studentów wymagał, aby zadawał jakieś szczególnie trudne, wymyślne, podchwytliwe pytania. Zakres wiedzy faktycznej, jakiej od studenta się domagał, był raczej elementarny. Ale za to Nitsch żądał, aby student ten elementarny materiał faktów naprawdę opanował, aby operował nim sprawnie i precyzyjnie. Domagał się odpowiedzi szybkich, jasnych i ściśle sformułowanych. Na ćwiczeniach i seminariach utrzymywał studentów w stanie stałe napiętej czujności. Odpowiedź na pytanie, zadane jednemu studentowi, kazał niespodziewanie kontynuować drugiemu, potem trzeciemu. I nie tak bardzo nie wytrącało go z równowagi, jak niezdolność poprawnego wyciągania wniosków, logiczne sprzeczności, odpowiedzi niewyraźne, na mniej-więcej.

Nic dziwnego więc, że dla masy studenckiej był postrachem. Ogromna też większość starała się zredukować kontakt z nim do minimum. Szanowali go, ale też i bali się go.

Tylko studenci językoznawcy, stanowiący zawsze skromną mniejszość, i ci nieliczni „literaci”, którzy się poważniej językiem interesowali, wchodzili w bliższy z nim kontakt. I ci też szybko w kontakcie tym odkrywali najcenniejsze dobro, jakie uniwersytet może dać studentowi: profesora, który jest wybitnym uczonym i równocześnie urodzonym pedagogiem, całą duszą oddanym swojej pracy nauczycielskiej.

I ci studenci profesora się bali. Nitsch z reguły nikogo nie chwalił. Jedyną pochwałą, jaką się od niego słyszało, była kosztowna uwaga, kiedy studentowi wypsnęło się jakieś głupstwo: „A ja myślałem, że pan jest człowiekiem inteligentnym”. Za to ganił często, i to nieraz nie przebierając w wyrazach. Ale student szybko uczył się rozumieć, że taka postawa jest wynikiem wyjątkowej prawości intelektualnej i pasji pedagogicznej, skojarzonych z temperamentem, który, używając starej, tradycyjnej terminologii, trzeba nazwać cholerycznym. Nie trzeba było być wielkim psychologiem, żeby pod tą szorstką skorupą odkryć człowieka uczynnego i dobrego.

Pamiętam taką scenę. Była w Krakowie przez dwa lata na studiach polonistycznych p. Szweykowska, koleżanka z Litwy Kowieńskiej. Ponieważ między Polską a Litwą nie było stosunków dyplomatycznych, p. Szweykowska musiała wziąć paszport rzekomo na studia do Królewca, i po powrocie groziły jej w ra-

zie wykrycia nielegalnego pobytu w Krakowie represje litewskie. Było właśnie jedno z ostatnich seminariów w roku, na krótko przed powrotem p. Szweykowskiej na Litwę. Gdy mowa akurat zesłała na jakiś z dialektyzmów Polaków z Litwy, profesor zwrócił się do niej ze słowami: „No, to pani będzie mogła przestudiować na miejscu, oczywiście, jeśli pani Litwini przedtem nie zamkną”. Panna Szweykowska wybuchnęła na te słowa płaczem. Trzeba było wtedy widzieć Nitscha. Stał nad zapłakaną studentką, pochrząkiwał, wyraźnie poruszony, zakłopotany, chcący jakoś naprawić efekt swoich niefortunnych słów i wzruszająco bezradny.

Oskarżano czasem Nitscha o przyziemny pozytywizm, arogancję intelektualną, zamykanie oczu na wszystko to, czego się nie da ująć ścisłą formułą naukową. Najlepszą odpowiedzią na tego rodzaju zarzuty jest jego szkic z 1927 roku o Andrzeju Gawrońskim, znakomitym lwowskim indyjanście i językoznawcy. Świetny ten szkic napisany został na gorąco, pod bezpośrednim wrażeniem śmierci przyjaciela, śmierci tym tragiczniejszej, iż Gawrońskiemu, zmarłemu w czterdziestym drugim roku życia, tylko w drobnej części dane było urzeczywistnić w twórczości naukowej to, czego się po jego niepospolitych zdolnościach można było spodziewać. Oto jak charakteryzował go tam Nitsch:

„Patrząc na jego nieugiętą, przez kilkanaście lat do ostatniego tchu co dzień prowadzoną walkę z nieuleczalną chorobą, na jego mimo niej ciągle trzymanie się w formie, jego nieustanną natężoną pracę i wysiłek, na pogodną a ciętą gotowość zajęcia stanowiska wobec każdej sprawy, na pańską hojność dla służby, widziało się transponowany w inną kulturę, inne warunki nowoczesnego naukowego świata, ów pełny brawury i męstwa, niepohamowany w swej fantazji, służącej pełnieniu obowiązku, najlepszy nasz typ rycerski z tych, nad którymi całe życie powiewały sztandary bojowe i którzy całe życie pędzili w twardej służbie a rycerskiej fantazji”.

I jeszcze jeden cytat. Gawroński chorobę swoją, która go ostatecznie zmogła, gruźlicę, lekceważył, nie znośli lekarzy, nie chciał się leczyć. Nitsch tak to komentuje:

„Patrzącemu na jego sposób życia narzucać się musiała myśl, że albo postępuje jak szalone i nieodpowiedzialne dziecko, nie mające pojęcia co robi, albo że wie, co robi, a robi to, bo chce umrzeć. A jednak nie, chciał żyć: mnóstwo jego odezwań się, ustępów listów nie pozwalało o tym wątpić. Było to co innego: jakaś zapamiętała, nie do osądzenia dla innych bohaterska rozprawa z samym sobą, jakieś ujęcie wola swego ciała z taką siłą, że nie zostawało tam miejsca na żadne względy w obliczu tego czegoś ponad wszystko wysokiego, przed czym on stał. Że to nie była śmierć, ani ćwiczenie się w znoszeniu jej ustawicznej obecności, to pewne: gardził śmiercią, tak jak i chorobą. Ale co to było? Kto by znał i wiedział to wszystko, co on znał, kto by przeszedł drogi jego rozmyślań i intuicji, ten by sobie może wyobraził kształty i rozmiary tych zagadnień”.

Nie jest to język naukowego pedanta ani człowieka oschłego. Inna rzecz, że tego rodzaju akcenty są u Nitscha rzeczą zupełnie wyjątkową. Ale to tłumaczy się po prostu męską dyskrecją uczuć.

Toteż wśród swoich uczniów i kolegów Nitsch był nie tylko szanowany, ale i szczerze lubiany. W roku 1934, kiedy kończył lat sześćdziesiąt, poświęcono mu tom prac językoznawczych, dwunasty tom pobrańskiej „Slavia Occidentalis”. Jeszcze wymowniejszy był obchód siedemdziesiątej rocznicy urodzin Nitscha. Przypadł on na lata okupacji hitlerowskiej. Ci uczniowie i przyjaciele Nitscha, którzy wtedy, w roku 1944, byli w Krakowie, zbrali się u niego w domu i ofiarowali mu rękopiśmienny tom swoich prac. Wyszedł on drukiem w roku 1946 pt. „Inter arma”. W roku 1946 spadła na Nitscha najwyższa — a w danych warunkach politycznych szczególnie ciężka i trudna — godność, jaką znał polski świat naukowy. Został prezesem Polskiej Akademii Umiejętności, ostatnim prezesem Akademii przed zlikwidowaniem jej przez reżym.

Na luty br. przypadła osiemdziesiąta rocznica urodzin Nitscha. Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego uczciło ją, wydając, pięknie i starannie, spory tom „Wyboru pism polonistycznych” Nitscha, pierwszy z projektowanych czterech tomów. Zaś komitet redakcyjny „Języka Polskiego”, którego Nitsch od z góry trzydziestu lat jest naczelnym redaktorem i głównym współpracownikiem, poświęcił mu specjalny numer, wypełniony artykułami, charakteryzującymi jego działalność naukową, oraz wspomnieniami uczniów i kolegów.

Nitsch wyszedł ze szkoły tzw. młodogramatyków. W przeciwieństwie do filologów starego typu, którzy swą wiedzę o języku czerpali wyłącznie z tekstów, dla młodogramatyka punktem wyjścia analizy lingwistycznej była obserwacja żywego języka mówionego. Starali się oni badać historię języka drogą studiów dialektów, przede wszystkim fonetyki. Takie założenia metodyczne, a także i inicjatywa krakowskiego profesora Lucjana Malinowskiego (ojca sławnego etnologa) skierowały Nitscha ku systematycznym studiom nad dialektami języka polskiego. Nitsch jest twórcą polskiej dialektologii i po dziś dzień najwybitniejszym polskim dialektologiem.

Przed Nitschem dialektologii polskiej tak dobrze jak nie było. Niefachowiec nie uświadamia sobie zazwyczaj, że teksty ludowe, zebrane przez etnologa bez językoznawczego wyszkolenia, przedstawiają dla językoznawcy skromną tylko wartość. Otóż do Nitscha tekstów gwarowych, zapisanych poprawnie z punktu widzenia językoznawcy, było bardzo mało. Poważnie przedstawiał się tylko zbiór tekstów śląskich Malinowskiego. Było też trochę opisów gwar poszczególnych wsi. I to było wszystko. Kto by się jednak na przełomie wieku spytał, jaki jest system gwar polskich, to jest na jakie grupy dialektów można polszczyznę podzielić, jakie są granice tych dialektów, jakie zespoły

cech wyróżniają jeden dialekt od drugiego — nie dostałby na te pytania odpowiedzi.

Nitsch rozpoczął swą pracę od zbierania materiału w terenie. Systematycznie i szczegółowo przestudiował przede wszystkim zachodnie i północno-zachodnie dialekty: Prus Zachodnich i Wschodnich, Wielkopolski i Śląska. Te studia terenowe, podejmowane na szeroka skalę, ogromnie wyostrzyły i wysubtelniły jego wrodzony zmysł ścisłej, precyzyjnej obserwacji faktów językowych. Shawa Higgins (którego nb. pierwowzorem był sławny fonetyk angielski, Henry Sweet) chwalił się, że potrafi różnić odcienie wymowy londyńczyków w obrębie dwóch mil. Nitsch, jeśli nawet takiego ideału subtelności obserwacyjnej nie osiągnął, to jednak jest obserwatorem wyjątkowo bystrym i dokładnym.

Ale ta zdolność obserwacyjna, jakkolwiek jest niezbędnym warunkiem owocnej pracy dialektologa w terenie, nie jest w wypadku Nitscha jego *faculté maîtresse*. Nitsch jest wielkiej klasy dialektologiem nie tylko dlatego, że umie obserwować, i nawet nie przede wszystkim dlatego. Same zdolności obserwacyjne mogłyby przy pewnym nakładzie pracy dać duży zbiór cennego materiału. A Nitsch dał coś bez porównania cenniejszego. Oto cały ten bogaty materiał naukowo przemyślał, fakty uszeregował, powiązał w system, krótko mówiąc, stworzył naukową polską dialektologię.

Nie miałoby tutaj sensu wyliczanie prac dialektologicznych Nitscha. Z bardziej ważkich najpierw przysły obszerne monografie poszczególnych rejonów: dialektów Prus Zachodnich (1907), Prus Wschodnich (1907) i Śląska (1909). W roku 1910 ukazała się rozprawa charakteru bardziej ogólnego, „Próba ugrupowania gwar polskich”. Była ona przygotowaniem syntetycznego zarysu polskiej dialektologii, który ukazał się po raz pierwszy w roku 1915, w drugim z poświęconych językowi tomów „Encyklopedii polskiej” Akademii. Drugie wydanie tej pracy ukazało się w roku 1923 w tak zwanej potocznie „Gramatyce pięciu”. Do roku ubiegłego, to jest do czasu pojawienia się podręcznika Urbanczyka, było to jedyne w naszej literaturze naukowej syntetyczne przedstawienie dialektologii polskiej, jeśli nie liczyć z konieczności szkicowego i schematycznego rozdziału, poświęconego dialektom, w ostatnim przedwojennym wydaniu uniwersyteckiej gramatyki Szobera.

Dla studentów mojego pokolenia był to podręcznik, z którego uczyliśmy się dialektologii, z wszystkich podręczników, jakie nam dawano do ręki, niewątpliwie najtrudniejszy. Nitsch starał się na przestrzeni niewielu ponad stu stron skomprimować wielkie bogactwo faktów, stąd pisał stylem ogromnie zwięzłym. Przegrzyźnie się przez jego zarys wymagało i pewnego wyrobienia w myśleniu językoznawczym i wielkiej koncentracji uwagi. A jednak o ile bardziej dialektologia Nitscha była pobudzająca, zapładniająca, naprawdę ucząca, od drugiego naszego podstawo-

wego podręcznika językoznawczego, „Krótkiej gramatyki historycznej” Łosia. Całe partie podręcznika Łosia robiły wrażenie chaosu faktów, które w najlepszym razie można było przy pewnym nakładzie pracy jako tako pamięciowo opanować, podczas gdy dialektologia Nitscha imponuje bogactwem włożonej w nią pracy myślowej, gruntownością przemyślenia.

Ten podział dialektów polskich, jaki dzisiaj przyjęto w nauce, jest autorstwa Nitscha. Nitsch przede wszystkim wyodrębnił kasszubszczyznę, odcinającą się od całej reszty gwar polskich, ta zaś cała reszta w jego ugrupowaniu układa się w cztery zespoły: dialekty wielkopolsko-pomorskie (najbardziej zróżnicowane), śląskie, małopolskie (termin Małopolska należy tu rozumieć w dawnym, historycznym znaczeniu, a nie nowszym, rozbiorowym, w którym Małopolska jest synonimem austriackiej Galicji) i mazowieckie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nowsze badania, wcale intensywnie w niektórych terenach, nierzadko wprowadzały poprawki, jeśli idzie o ustalenie zasięgu poszczególnych cech dialektalnych, tu i ówdzie prostowały sformułowania Nitscha, ale nigdy nie kwestionowały jego próby ugrupowania dialektów, ani też zasad metodycznych, którymi się, grupując dialekty tak a nie inaczej, kierował. Synteza Nitscha, choć pionierska, znakomicie wytrzymała próbę czasu.

W studiach dialektologicznych Nitschowi chodziło nie tylko o naukowe uporządkowanie naszej wiedzy o języku chłopów różnych dzielnic Polski dziś czy wczoraj, to jest o pokazanie struktury systemów językowych poszczególnych gwar, i nawet nie przede wszystkim o to. Nitsch kierował się zainteresowaniami historycznymi. Szło mu przy tym nie tylko o wydobywanie zachowanych w gwarach archaizmów, ale głównie o oświetlenie drogą porównawczą analizy wybranych cech gwarowych procesów rozwojowych nurtujących polszczyznę.

Tak więc, biorąc za punkt wyjścia analizę współczesnych dialektów, Nitsch starał się rozwiązać szereg zagadnień z historii języka. Najdonioślejszą, najgłośniejszą, ale też i najbardziej kontrowersyjną, jest tu jego hipoteza wielkopolskiego pochodzenia polskiego języka literackiego. Założenia, na których się tu oparł, były proste. Polski język literacki nie mazurzy. Tymczasem Małopolska, na której terenie znajdowała się do końca XVI wieku stolica państwa i niewątpliwie główny polski ośrodek kulturalny, Kraków, mazurzy. A zatem, wnioskował Nitsch, polski język literacki musiał powstać w Wielkopolsce, w czasach kiedy była tam jeszcze stolica Polski, to znaczy w wieku X i w pierwszej połowie XI wieku. To był jego główny argument. Inne miały już tylko charakter pomocniczy.

Hipoteza Nitscha wywołała bogatą literaturę polemiczną. Bez przesady powiedzieć można, iż problem pochodzenia polskiego języka literackiego stał się centralnym problemem historyków języka polskiego. Wysunięto przede wszystkim, tak ze strony językoznawców, jak i historyków-mediewistów, jedną ważną

wątpliwość. Czy można w ogóle mówić o istnieniu polskiego języka literackiego w odniesieniu do czasów Chrobrego i Mieszka II, a więc czasów, z których nie tylko że nie mamy żadnych ciągłych tekstów polskich, ale nawet i pośrednich świadectw, że takie teksty w ogóle istniały? Taszycki, broniący teorii o małopolskim pochodzeniu języka literackiego, starał się udowodnić, iż mazurzenie zaczęło się szerzyć w Małopolsce pod wpływem wymowy mazowieckiej dopiero w XVI wieku. Poważne argumenty jednak przemawiają za tym, iż mazurzenie w Małopolsce jest dużo starsze niż to przypuszczał Taszycki.

Sprawa komplikuje się jeszcze i przez to, że jakkolwiek język literacki ma szereg cech (nie tylko brak mazurzenia) wspólnych z dialektami wielkopolskimi, to jednak w szeregu innych wykazuje on, wbrew Wielkopolsce, zbieżności z Małopolską. Tak np. w Wielkopolsce mówi się *majewy*, *wiśniewy*, *ojcewi*. Formy *majowy*, *wiśniowy*, *ojcowi* są wspólne gwarom małopolskim i językowi literackiemu. Podobnie, w Wielkopolsce zachowały się stare nieściągnięte formy czasownikowe: *stojąc*, *bojąc się*, podczas gdy w języku literackim używamy form ściągniętych, tak jak i w gwarach małopolskich.

Dla autora tych słów najbardziej przekonującą próbą wyjścia z tych trudności jest hipoteza Stieбера. Zdaniem Stieбера, tam gdzie istniały rozbieżności w języku między Małopolską a Wielkopolską, polski język literacki wybierał tę cechę, która miała za sobą żyro czeszczyzny, cieszącej się, jak wiadomo, w Polsce do pierwszych dziesięcioleci XVI wieku wielkim prestiżem i wyraźnie przy tworzeniu się polskiego języka literackiego uważanej za wzór. Wzór ten nie zaważył tam, gdzie Wielkopolska i Małopolska łącznie przeciwstawiały się językowi czeskiemu, jak np. w sprawie nosówek, w innych zaś wypadkach przeważał szaleń na korzyść cechy jednego lub drugiego dialektu. Tęgo rodzaju tłumaczenie pozwala zrozumieć, dlaczego polski język literacki mógł powstać w Małopolsce, za czym przemawiają dane historyczne, a jednak, wbrew wymowie małopolskiej a zgodnie z wielkopolską, nie mazurzy.

Wygląda na to, że hipoteza Nitscha o wielkopolskim pochodzeniu języka literackiego nie utrzyma się w nauce. Ma ona jednak tę zasługę, że wywołała dyskusję, płodną i po dziś dzień bardzo żywą. Kilka miesięcy temu np. ukazała się książka Kuraszkiewiczza „Pochodzenie polskiego języka literackiego w świetle wyników dialektologii historycznej”. Tytuł ten jest symptomatyczny. Zarówno dyskusja nad pochodzeniem języka literackiego, jak i w ogóle rozwój studiów dialektologicznych zwróciły uwagę na konieczność systematycznego przestudiowania za- bytków języka polskiego z punktu widzenia tego, co mogą nam one powiedzieć o podziałach gwarowych w dawnej polszczyźnie, tzw. dialektologii historycznej (jakkolwiek i starsze studia dialektologiczne Nitscha są, jak o tym wyżej była mowa, w znacznej mierze „historyczne”). Jeśli, jak zauważył ostatnio Jurj Szerech (w rozprawie „Towards a Historical Dialectology”, „Orbis”, III

— 1954) dialektologia historyczna jest jeszcze wszędzie w sławie poza Polską nauką przyszłości, to ten bardziej zaawansowany stan studiów polonistycznych jest zasługą przede wszystkim Nitscha.

Sam Nitsch poświęcił zresztą takiej dialektologii historycznej specjalną większą pracę jeszcze w roku 1912. Nosi ona tytuł „Z historii polskich rymów”. Studia nad rymem, jeśli tylko umiejętnie prowadzone, otwierają bardzo bogate i niespodziewane perspektywy na język poetycki. Przykładem może tu być rosyjska książka Żirmunskiego. Ale „Z historii polskich rymów” nie jest pracą z dziedziny poetyki, tak jak pracą taką jest rozprawa Nitscha z 1925 roku „O nowych rymach”, będąca próbą uystematyzowania nowych typów rymów, wprowadzonych do poezji polskiej przez Skamandrytów, rymów osłabionych, półrymów i asonansów, czy też ciekawa i odkrywcza rozprawka z roku 1947 o „Metrycznej niespodziance w „Marii” Małczewskiego”. Jeśli w rozprawie z roku 1912 Nitsch wybrał sobie za punkt wyjścia rymy, zrobił to po prostu dlatego, że rym jest swego rodzaju szczepliną, poprzez którą pod pokostem ogólnie obowiązującego języka literackiego obserwować możemy właściwości gwarowej wymowy poety. Poeci zazwyczaj rymują tak jak mówią, dla ucha, nie dla oka, i jeśli w „Panu Tadeuszu” czytamy:

*Wtem pan Podkomorzy,
Wlareszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,*

nie znaczy to wcale, iż mamy tu do czynienia z niedokładnym rymem. Rym jest dokładny, jeśli będziemy wymawiali tak, jak mówili Polacy z Litwy: *Róży*.

„Z historii polskich rymów” analizuje tego rodzaju regionalne właściwości wymowy, jakich ślady zachowały dawne rymy poetów XVI-XIX wieku. Praca przyniosła szczególnie bogaty materiał dla dziejów polszczyzny kresowej, tematu na ogół zaniedbanego w naszej nauce, któremu Nitsch poświęcił jeszcze z czasem, w roku 1925, krótką syntetyczną rozprawkę „Język polski w Wileńszczyźnie”.

Wcześniejsze prace dialektologiczne Nitscha zajmowały się głównie zagadnieniami fonetyki, znacznie mniej uwagi poświęcały już morfologii, a problemy słownikowe traktowały tylko dorywczo. Z czasem jednak Nitsch zaczął problemom tym poświęcać coraz więcej uwagi. Bodźcem musiały tu być francuskie studia nad geografią wyrazów Gillierona. Pierwszą jego większą pracą w tej dziedzinie była obszerna rozprawa z roku 1918 „Z geografii wyrazów polskich”. Potem przyszedł szereg rozpraw specjalnych, poświęconych poszczególnym wyrazom: nazwom roślin, zwierząt, wyrazom z zakresu kultury materialnej, jak np. nazwom różnych części domu. Uderza we wszystkich tych rozprawach nie tylko precyzja analizy oraz solidna dokumentacja, cechy, które charakteryzują wszystkie prace Nitscha, ale także dobra orientacja ich autora w realiach potocznego ży-

cia. Nitsch nie ma w sobie nic z gabinetowego uczonego-słownikarza, dla którego język jest systemem znaków, zawieszonych w próżni.

Większość tych rozpraw powstała na marginesie prowadzonych pod kierunkiem Nitscha szeroko zakrojonych prac zbiorowych nad słownictwem ludowym, przede wszystkim prac nad przygotowaniem atlasu gwar polskich, a ostatnio także i prac nad wielkim słownikiem gwar polskich, który by wyrugował nieco dyletancki i dziś już przestarzały słownik gwarowy Karłowicza, oceniony swego czasu przez Nitscha bardzo gruntownie i bardzo surowo.

Pierwszym poważniejszym rezultatem tych szeroko zakrojonych prac nad słownictwem gwarowym był wydany w roku 1934 przez Nitscha i jego ucznia Mieczysława Małeckiego (zmarłego wkrótce po wojnie) okazały — 500 map — „Atlas językowy polskiego Podkarpacia”. Atlas ten pojęty był jako próbne przedsięwzięcie. Miano na nim wypróbować metody pracy atlasowej przed przystąpieniem do opracowywania ogólnopolskiego atlasu gwarowego. Wybrano Podkarpacie tak ze względu na zróżnicowanie gwar podkarpackich, jak i dla swoistego tam słownictwa pasterskiego. Tuż przed wojną był już gotowy plan atlasu ogólnopolskiego. Jak się dowiadujemy z jubileuszowego zeszytu „Języka Polskiego”, prace nad tym ogólnopolskim atlasem, podjęte pod redakcją Nitscha zaraz po wojnie w Komisji Atlasu Gwar Polskich, są już bardzo zaawansowane. Będzie to „Mały atlas gwar polskich”. Nitsch opracowuje bowiem plany innego jeszcze atlasu gwarowego, „Wielkiego”.

Żeby wreszcie skończyć z najpobieżniejszym choćby przeglądem prac dialektologicznych Nitscha, trzeba jeszcze dodać, że przed z górą czterdziestu laty ogłosił on popularną książkę o dialektach dla nie-językoznawców, „Mowę ludu polskiego”, która dzisiaj prosiłaby się o reedycję, a dokładnie ćwierć wieku temu wydał spory tom „Wyboru polskich tekstów gwarowych” ze swoich i obcych zapisów.

Dialektologia zawsze była i jest główną dziedziną pracy naukowej Nitscha i jego dorobek w tej dziedzinie jest najpoważszy, ale dorobek ten do dialektologii wcale się nie ogranicza. Nitsch rozpoczął swą działalność naukową od pracy filologicznej, rozprawą o pisowni i języku „Kazań Paterka”, zabytku języka polskiego z początku XVI wieku. Była to praca zrobiona jeszcze w duchu filologii starego typu, systematyczny ale i mechaniczny opis cech językowych jednego zabytku, i Nitsch nie lubił o niej wspominać. Potem, jak już o tym była mowa, w swoich studiach dialektologicznych często poruszał problemy z dziedziny gramatyki historycznej. W roku 1948 wystąpił z książką z zakresu historii języka, „Studiami z historii polskiego słownictwa”. Jest to zbiór 27 rozpraw i rozprawek, przynoszących więcej niż zapowiada tytuł, na marginesie bowiem studiów leksykalnych mamy tu też bardzo subtelne i nowe spostrzeżenia z dziedziny, która po dziś dzień jest kopciuszkiem naszych studiów języko-

wych, mianowicie z historycznej polskiej składni. Jest to tego typu książka językoznawcza, która, wolno przypuszczać, szczególnie cieszyłaby serce Żeromskiego, przy jego znanej pasji dla bogactwa słownikowego polszczyzny i namietności wczytywania się w studia językoznawczo-słownikarskie. (Tradycja chce zresztą, że w „Przepióreczce” Żeromski miał sportretować Nitscha pod postacią jednego z występujących tam profesorów, Ciekockiego; jeśli to prawda, to trzeba powiedzieć, że portret jest dość ogólnikowy i w porównaniu z oryginałem blady). I znowu studia te imponują nie tylko precyzją analizy, ale także i bogactwem zebranego tam historycznego materiału dowodowego. Czytelnik, który by nie znał innych prac Nitscha, gotów by był sobie na podstawie tej książki wyrobić o nim pojęcie jako o erudycie, tkwiącym po uszy w starych tekstach. A przecież na tle całego dorobku naukowego uczonego książka ta ma charakter pracy marginalnej.

Studiów językoznawczych charakteru nie ściśle polonistycznego jest w dorobku naukowym Nitscha nie dużo, ale i tu trzeba wymienić przynajmniej jedną ważną pracę, rozprawę z roku 1905 o „Stosunkach pokrewieństwa języków lechickich”, to jest polskiego, kaszubskiego i wymarłego już połabskiego. Trzeba jednak zaznaczyć, że Nitsch, który zanim po śmierci Łosia w roku 1928 nie objął katedry języka polskiego, był w Krakowie profesorem języków słowiańskich, jest w problemach slawistycznych doskonale zorientowany i w swoich pracach polonistycznych zawsze, kiedy mu to jest potrzebne, sięga do materiału z innych języków słowiańskich, przede wszystkim języków sąsiadujących z polszczyzną, słowackiego, czeskiego i ukraińskiego.

Pozostaje jeszcze do omówienia jedna dziedzina prac Nitscha, artykuły i notatki, poświęcone najróżnorodniejszym problemom współczesnej polszczyzny, od przepisów interpunkcyjnych aż po różne stylizacje językowe utworów literackich. Zazwyczaj są to rzeczy rozmiarów drobne, czasem uwagi na marginesie cudzych prac, drukowane przeważnie w redagowanym przez Nitscha „Języku Polskim”. Niejednokrotnie przy czytaniu tych artykułów marzyło się człowiekowi o książce, którą tylko Nitsch potrafiłby napisać, a która by była opisem współczesnej polszczyzny literackiej, uwzględniającą jej odmiany regionalne i społeczne. Nie szłoby tu więc o jedną jeszcze tradycyjną gramatykę opisową, ale o książkę, obejmującą całe bogactwo współczesnej polszczyzny w jej różnych odmianach terytorialnych, klasowych i zawodowych. Znakomity zmysł obserwacyjny, wyostrzony w studiach nad gwarami, wszechstronne odczytanie, rozmyślanie w różnorodności zjawisk językowych (bardzo znamieny jest tutaj tytuł jednego z artykułów Nitscha: „O poszanowanie odrębności prowincjonalnych”), czyniące z Nitscha przeciwstawienie gramatyka-poprawnościowca, gwałtem wciskającego bogactwo tych zjawisk w ramki ciasnej normy, wszystko to, zdawałoby się, predestynowało Nitscha na autora takiej książki, biblii każdego miłośnika języka polskiego i niesłuchanie potrzebnego narzędzia

pracy każdego polonisty. Niestety, Nitsch książki takiej nie napisał. Ale jego „Wybór pism polonistycznych”, zwłaszcza kiedy do wydanego już tomu dojdą jeszcze zapowiedziane już trzy dalsze, powinien, w części przynajmniej, książkę taką zastąpić.

Rzecz prosta, w tej ostatniej kategorii swoich prac Nitsch często zahaczał o zagadnienia literackie. Omówił np. użycie w „Chłopach” gwary łowickiej, pokazując iż Reymont miał o tej gwarze dość mętne pojęcie i w odtwarzaniu jej nie ustrzegł się elementarnych nawet błędów. Niedawno Maria Rzeuska usiłowała w swej książce o „Chłopach” wybronić Reymonta przed zarzutami Nitscha. W polemice jednak, jaka z tej racji wynikła, Nitsch bez trudu obronił swoje krytyczne stanowisko. Kiedy indziej znów Nitsch zajął się językiem ludowym Sienkiewicza. Niedawno zaś interesujący artykuł poświęcił młodopolskim pseudoarchaizmom: *chramom*, *gontynom* i *witeziom*. Kilkakrotnie nawracał do różnych zagadnień języka Mickiewicza. Od czasu do czasu omawiał w krótkich notatkach krytycznych technikę przekładów w zorganizowanym swego czasu przez Borowego dziale krytycznym „Przeglądu Warszawskiego” notatki te są najcenniejszą w naszej literaturze krytycznej dyskusją różnych problemów translatorskich, zanalizowanych na konkretnych przekładach.

W artykułach i notatkach tych jest sporo krytyki, nieraz i surowej krytyki. Ale nie jest ona wcale regułą. Weźmy np. „uwagi językowe” Nitscha o tomiku poezji Jasnorzewskiej „Surowy jedwab”. Zaczynają się one tak:

„Uwagi językowe o tomiku prawdziwych poezji? Ścisły gramatyk powie, że to nie warto albo się nie da; z góry na „filologa” patrzący artystyczny krytyk literacki zdumieje się nad jego zuchwalstwem. A niechże się gorszą czy oburzają — językoznawca ma prawo nie tylko pieścić się wierszami, ale też obserwować je.

Że nie jestem pedantem, dowiodę, nie wytykając poetce, że się porównywa do „sarniątka pod łanią” (str. 24), mimo że od dawna na dowód papierowości porównań niektórych autorów służy mi m. inn. takie oto zdanie z którejś powieści Alfreda Konara: „biegła do niego, jak w noc majową stęskniona sarna biegnie na wołanie jelenia” (cytuje z pamięci). Wojewodzie niejedno wolno. Ale swoją drogą dziwi to u autorki, bardzo te jelenie i sarny lubiącej. (Dla niektórych czytelników Języka Polskiego dodam, że to nie takie dalekie od siebie wyrazy: ten *jeleni*, wywodzący się z prasłow. *el-en-*, i ta *łania*, pochodząca z prasłow. *ol-ni-*.)”

Przytoczyło się ten ustęp, który jest tylko wstępem do zasadniczych uwag, poświęconych subtelnej analizie rymów Jasnorzewskiej, bo daje on dobre pojęcie o stylu pisarskim Nitscha, bezpretensjonalnym, żywym, zatracającym kollokwalizmami, a przecież ścisłym, oraz o jego zmyśle realiów.

Zasługi naukowe Nitscha nie wyczerpują się jego własnym dorobkiem. Jest on jeszcze organizatorem różnych imprez nau-

kowych, i to organizatorem w wielkim stylu, takim, jakiemu równych mało miała nauka polska. Te zasługi organizacyjne to nie tylko zmysł inicjatywy, zdolności planowania, umiejętności kierowania robotą zespołową, ale także i mnóstwo żmudnej, drobiazgowej a nudnej roboty, takiej jak wyczyszczanie rękopisów do druku czy korekty, robione zawsze z pedantyczną dokładnością. Tajemnica powodzenia Nitscha organizatora i redaktora polega między innymi i na tym, że w przedsięwzięciach naukowych przez niego kierowanych nie ma tak drobnych spraw, którym by nie poświęcił troskliwej uwagi. Wszystko to, oczywiście, zżerało mnóstwo czasu. Jeśli dorobek naukowy Nitscha jest ilościowo stosunkowo niewielki i jeśli duże rozmiarami prace należą w nim do rzadkości, przyczyny tego należy szukać przede wszystkim w ilości czasu i wysiłku, jaki włożył w prace drugih.

Nitsch jest jednym z redaktorów „Rocznika Slawistycznego”, znakomitego i wysoko cenionego w świecie periodyku językoznawczego, ostatnio, niestety, rzadko i nieregularnie wychodzącego. Należy on do komitetu redakcyjnego „Biuletynu Polskiego Towarzystwa Językoznawczego”. Opiekował się pracami Komisji Językowej Polskiej Akademii Umiejętności. W tejże Akademii zainaugurował serię Monografii Polskich Cech Gwarowych (których pierwsze trzy numery wypełniły jego własne rozprawy). Mówiło się już wyżej o opracowywanych pod jego redakcją słowniku i atlasie gwar polskich. Jest on też przewodniczącym komitetu redakcyjnego monumentalnego „Słownika Staropolskiego”, który, przygotowywany od z górą pół wieku, zaczął wychodzić w ubiegłym roku. Był założycielem i redaktorem działu językowego stworzonego w latach trzydziestych międzynarodowego czasopisma „Lud Słowiański”, centralnego organu dialektologii słowiańskiej, którego, niestety, po wojnie nie wznowiono. W roku 1920 założył razem z Gawrońskim i Rozwadowskim Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego. Od roku 1927 jest jego prezesem.

Osobne miejsce zajmuje tu dwumiesięcznik „Język Polski”. Nitsch należał do jego założycieli w roku 1913. Od roku 1921, kiedy pismo stało się organem Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, jest jego redaktorem. Na piśmie tym szczególnie silnie wycisnął piętno swojej indywidualności. Rzadko też który numer pisma nie przynosi, jeśli już nie artykułu Nitscha, to jakiejś jego notatki recenzyjnej, polemicznej czy postscriptum do cudzego artykułu. Miara przywiązania Nitscha do tego pisma, a także i jego pasji organizacyjnej, może być fakt, że pierwszy powojenny jego zeszyt, zamykający przerwany w roku 1939 rocznik dwudziesty czwarty, ukazał się już w kwietniu 1945 roku. Zeszyt jest, wyjątkowo, króciutki, ale jak wszystko co wyszło spod opieki Nitscha, zrobiony starannie i ze wzorową korektą. Nie ma na pewno drugiego polskiego periodyku naukowego, który by został tak szybko po wojnie wznowiony.

„Język Polski” to oryginalne w założeniu czasopismo. Istnieją popularne periodyki językowo-poprawnościowe, z reguły nudne. Istnieją też, oczywiście, specjalne pisma naukowe lingwistyczne. Ale „Język Polski” jest oryginalną próbą skrzyżowania obu tych typów. Obliczony jest on na „miłośników języka polskiego”. Toteż, przed wojną przynajmniej, do prenumeratorów jego należeli także przyrodnicy i prawnicy. Pamiętam wprawdzie, jak jeden z nich skarżył się, że znalazł w piśmie takie niezrozumiałe naukowe słowo jak „semantyka” („Wiem co to jest „mantyka”, ale „semantyka”?”). Bo większość jego artykułów wymaga pewnego, minimalnego przygotowania językoznawczego. Ale za to pismo jest na poważnym poziomie naukowym, sporo jego rozprawek przynosi nowe naświetlenia problemów, nowe fakty. Nie mało uwagi pismo poświęca też zagadnieniom stylistyki. Jest zawsze żywe, reaguje na aktualne problemy językowe, choć więcej uwagi poświęca zagadnieniom z historii języka, nie tylko nie stroni od polemik, ale je kulturuje. Zagadnieniom poprawnościowym poświęca uwagę, ale nie wybijają się one w nim nigdy na czoło i zawsze są traktowane z mądrym liberalizmem. Zadaniem jego jest przede wszystkim pogłębianie rozumienia faktów językowych, a nie ujmowanie ich w gorsety przepisów. Co, oczywiście, nie wyklucza przyszpilania przy okazji bezspornych błędów językowych, rozprawiania się z niechlujstwem czy niekompetencją.

Po śmierci Łosia spadł też na Nitscha obowiązek zajęcia się wydawanymi przez Akademię przepisami i słownikiem ortograficznym. Do tego czasu Nitsch pisownią się bliżej nie zajmował. Opowiadano mi kiedyś (sam tego nie słyszałem, toteż za autentyczność anegdoty nie ręczę), że kiedy raz profesor chemii, Tadeusz Estreicher, poprosił go o pomoc w rozwiązaniu jakiejś trudności ortograficznej, Nitsch niemal że nie obraził się na niego: „To tak jakbym ja pana prosił o przepis na pastę do butów”. Ale teraz zabrał się do opracowywania nowego wydania przepisów ortograficznych z właściwą sobie gruntownością i z właściwym sobie zmysłem krytycznym. Stwierdził, że Łoś w interpretowaniu ustalonych przez Akademię w roku 1918 zasad pisowni nie zawsze był ścisły, że czasem popadał w sprzeczności, i nowe wydanie pisowni postanowił ze sprzeczności tych oczyścić.

Kiedy to nowe wydanie, „poprawione i zmienione”, ukazało się w roku 1932, w gazetach rozpętała się burza. Nitscha oskarżono nie tylko o to, że samowolnie zmienia pisownię, ale i o to, że paczy język. Żeby namiętności wchodzące tu w grę zrozumieć, trzeba sobie uświadomić, że ludzie często pojmują język papierowo. „Prawdziwy” język to dla nich to co widzą napisane, a nie to co słyszą. Nie rozumieją oni, że bez względu na to czy piszemy „Marya”, „Marja” czy „Maria”, tak długo jak wyraz ten wymawiamy tak samo, nic w języku się nie zmienia. Zmiana pisowni to tylko zmiana pewnego konwencjonalnego systemu znaków, który, oczywiście, powinien być celowy i ujedno-

stajniiony, aby spełniał swą funkcję społeczną, ale który tym niemniej jest dowolny. Trzeba też wziąć pod uwagę i jeszcze jedną okoliczność. Oto umiejętność ortograficznego pisania była u nas na równi z krawatem i kołnierzykiem patentem na przynależność do inteligencji. Po dziś dzień istnieją jeszcze ludzie, dla których błąd ortograficzny w liście jest bardziej kompromitujący od najgorszych głupstw w treści listu. Jest to, rzecz prosta, bzdura. Sam znam wyjątkowo inteligentną panią, która nie potrafi jednego listu napisać bez błędów ortograficznych. Ale bzdurne czy nie bzdurne, przekonanie to jest, a przynajmniej było, wcale u nas rozpowszechnione. Zmiana pisowni stawiała ludzi przed dylematem albo zdobycia się na wysiłek przeuczenia się pisowni, albo też pisanie odtąd nie ze wszystkim poprawnie, co wielu odczuwało jako coś upokarzającego. Nic dziwnego więc, że wszczęto nagonkę, w której było trochę źle uplasowanego przywiązania do języka i sporo demagogii.

Kampania prasowa sprawiła, że Akademia łącznie z Ministerstwem W. R. i O. P. wyłoniła Komitet Ortograficzny, który miał się zająć ostatecznym ustaleniem zasad pisowni. Przewodniczącym tego Komitetu, w którego skład wchodził nie tylko językoznawca, ale także i pisarze, nauczyciele, dziennikarze, został najpierw Rozwadowski, a potem, po jego śmierci w roku 1935, Nitsch. Potrafił on w przewlekłych obradach Komisji zasady swej reformy ortografii obronić (bronił ich też na szerszym forum, w „Przeglądzie Współczesnym” i w „Pionie”) i ostatecznie w kampanii swej zwyciężył. Nowe, jedenaste wydanie „Pisowni”, które się ukazało w roku 1936, miało już stempel oficjalny nie tylko Akademii, ale i Ministerstwa, przeciwnicy albo zostali przekonani, albo, z nielicznymi wyjątkami, dali za wygraną. Dziś wszyscy piszemy po polsku według tej pisowni.

Nie ma wątpliwości, że Nitsch miał merytorycznie rację, że jego przepisy są jaśniejsze, konsekwentniejsze, precyzyjniejsze od Łosiowych. Inna rzecz, czy, właśnie dlatego że pisownia jest tylko konwencjonalnym systemem znaków, skoro do starych przepisów ludzie już przywykli, warto je było zmieniać. W każdym bądź razie dla kogoś, kto ma do czynienia z pisownią angielską, jedna czy druga niekonsekwencja w pisowni nie wygląda groźnie.

Mówi się czasem o „krakowskiej szkole językoznawczej”. Pojęcie szkoły należy tu rozumieć bardzo luźno. Raczej należałoby mówić o krakowskim ośrodku językoznawczym, najpoważniejszym w Polsce centrum językowych studiów slawistycznych. Byłoby jubileuszową przesadą wiązanie go wyłącznie czy nawet przede wszystkim z Nitschem. W ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku działał w Krakowie Baudouin de Courtenay. Przez całe życie związany był z Krakowem inny wielki uczony językoznawca, Jan M. Rozwadowski. W Krakowie żył też Łoś, uczony raczej przeciętnych zdolności, ale ogromnej pracowitości i produk-

tywności. Z późniejszych lat trzeba wymienić też choćby Lehra-Spławińskiego.

Ale o ile „krakowska szkoła językoznawcza” jest szkołą, o tyle jest ona tworem Nitscha. Baudouin de Courtenay działał w Krakowie za krótko, aby stworzyć szkołę. Rozwadowski zupełnie nie miał talentu pedagogicznego. Nitsch łączy w sobie wielki talent pedagogiczny z wyczulonym zmysłem społecznym, który każe mu wkładać w uczniów mnóstwo energii i pracy, troszczyć się nie tylko o jakość ich produkcji naukowej, ale także i o stworzenie im warunków, umożliwiających pracę naukową, oraz o możliwości publikacji. Wyszukani przezeń językoznawcy zajęli się studium nie tylko polskich dialektów, ale i dialektów innych języków słowiańskich. Studia ich objęły wszystkie języki słowiańskie z wyjątkiem rosyjskiego. W żadnej innej dziedzinie studiów slawistycznych nauka polska nie osiągnęła tak poważnych rezultatów na terenach pozapolskich, jak właśnie, dzięki Nitschowi, w dziedzinie dialektologii. Seminarium jego stało się głównym ośrodkiem dialektologii słowiańskiej w świecie. Ściągali też na nie studenci spoza Polski. Za moich lat kolegowali ze mną na seminarium Nitscha Serb, Bułgar i Słowe-niec.

Uczniom swoim przekazywał nie tylko wiedzę i precyzję metodyczną. Wychowawczo działał na nich także i ten etos bezkompromisowej rzetelności naukowej, jaki promieniował z profesora. Nic chyba lepiej nie ilustruje tego etosu od opowiadania Wacława Lednickiego z jego „Life and Culture of Poland”. Książka wyszła w roku 1944, kiedy kraj był jeszcze pod okupacją hitlerowską, dlatego Nitsch nie jest tam wymieniony po nazwisku.

Lednicki odwiedził Nitscha w jego willi na Salwatorze zimą 1940 roku. Razem z większością profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego Nitsch został aresztowany przez Gestapo w listopadzie 1939 roku i zesłany do obozu w Oranienburgu. Rozmowa miała miejsce na krótko po wypuszczeniu profesorów krakowskich z obozu. Nitsch był wychudzony, głowę miał ogoloną, stale pokaszliwał. Kiedy gość spytał się go o Oranienburg, zbył to pytanie krótko. Oto — w przekładzie i ze skrótami — relacja Lednickiego:

„— Tak, było ciężko, ale jak pan widzi, wytrzymaliśmy i nie czuję się źle... — I zaraz zmienił temat rozmowy (...)

— Wie pan, powiedział mi, że udało nam się w ciągu pierwszych trzech tygodni zorganizować tam wykłady. Potem Niemcy ich zakazali. Każdy wygłaszał wykłady, oczywiście, na różne tematy. I, jak zawsze, były między nimi dobre i były złe.”

Po czym przeszedł do omawiania poszczególnych wykładów. Cytuję w dalszym ciągu relację Lednickiego:

„— Jednego dnia mieliśmy wykład p..., którego pan zna. Ten był bardzo słaby. Zna mnie pan też, toteż może pan sobie wyobrazić, że nie skrywałem przed nim swego zdania. I wie pan, co mi odpowiedział? „Nie miałem czasu na przygotowanie

swojej pogadanki''. Nie miał czasu. Nie wahałem się — ciągnął Nitsch dalej — powiedzieć mu, co o nim myślę. „Co to znaczy, nie miał pan czasu! Wie pan przecie, że w tym potwornym zimnie, w tym błotnistym śniegu, jaki mamy w barakach, w tym smrodzie nikt nie może spać, nie sposób nawet zmrużyć oka. A pan mówi, że pan nie miał czasu na przygotowanie swojej pogadanki(...)”

I jeśli dzisiaj, w tak trudnych warunkach, językoznawstwo polskie potrafiło — z nielicznymi wyjątkami — utrzymać się na wysokim poziomie i może w dalszym ciągu szczyścić się wybitnymi osiągnięciami, wolno w tym widzieć dziedzictwo tego ducha wierniej aż do bohaterstwa służby nauce, którego Nitsch tak pięknie całym swym życiem i dorobkiem naukowym uosabia.

Wiktor WEINTRAUB

Po cenach najniższych

Nasz dział apteczny oferuje Klientom najważniejsze lekarstwa.

STREPTOMYCINA 10 gr.	26/—
użyteczność do listopada 1957	
PENICYLINA olej. 3 milj.	10/—
użyteczność do grudnia 1956	
WITAMINA b-12 25 amp.	14/—
RIMIFON, 500 tabletek	26/—

CŁO? Co wysłać by rodzina zapłaciła najmniejszą stawkę
p o r a d z ą

NASZE KATALOGI TOWAROWE

zawierające przy każdym towarze odnośną stawkę celną.

MASZYNY DO SZYCIA SINGERA za które cło w Polsce wynosi tylko 600 złotych. — ZEGARKI CYMA. — Najlepsze angielskie KAMGARNY. — PLASTYKI. — OBUWIE. — SKÓRY. — CHUSTKI tzw. „NYLONÓWKI”.

SPECJALNY DZIAŁ PACZEK „ZA LINIĘ CURZONA”

TAZAB LTD.

22, ROLAND GARDENS, LONDON. S.W.7.

Największy Polski Dom Towarowy w Anglii.

“Forum” europejskie w Alpbach

Latem 1945 zebrała się w Alpbach, małej osadzie górskiej w Tyrolu, grupa młodych ludzi wychodzących z austriackiego ruchu oporu. Teoretycznie przywrócona do niepodległości, lecz zarazem podzielona na strefy wpływów i okupowana przez cztery mocarstwa, Austria wychodziła wówczas z długiego okresu gwałtownych przemian podobnych do trzęsienia ziemi. W ciągu niespełna ćwierć wieku Austria była kolejno wielkim mocarstwem łączącym w swych granicach kilkanaście różnojęzycznych krajów, małą republiką złożoną z paru krajów niemieckich walczących z nieprzezwyciężonymi trudnościami ekonomicznymi i wreszcie prowincją Trzeciej Rzeszy. Każdy z jej obywateli mający nowe warunki. Niestalość instytucji i warunków życia były tu równie wielkie jak w pozostałej części obszaru środkowo-wschodniej Europy. Po okresie izolacji od świata zewnętrznego, wywołanej przez panowanie niemieckie i wojnę, Austria budziła się do życia w warunkach, których niepewność i tymczasowość wydawały się jeszcze większe niż w jakimkolwiek okresie poprzednim.

Il est urgent d'attendre, mówią zazwyczaj w takich okolicznościach za Talleyrandem starsi i doświadczeni. Młodszym nie po tej przezornej mądrości. Zebrany w Alpbach wydawało się, że odrodzenie się życia umysłowego może się stać czynnikiem ciągłości i stałości życia ich kraju. Z rozmów ich narodziło się Oesterreichisches College.

Zarejestrowane pod tą nazwą w Wiedniu Collegium austriacum jest towarzystwem prywatnym mającym trzy sekcje: sekretariat, instytut dla badania współczesnej Europy (Forschungsinstitut fuer europaeische Gegenwartskunde) i sekcję organizującą doroczne zebrania w Alpbach pod nazwą Europaeisches Forum. Towarzystwo ma na celu nawiązanie kontaktu z życiem umysłowym pozostałej Europy i przywrócenie uniwersalności nauce podzielonej obecnie na niezależne od siebie dyscypliny. Tegoroczny zjazd Forum był dziesiątym z rzędu.

Oesterreichisches College posiada zarząd złożony z większej ilości osób; prezesem jego jest Dr Otto Molden, wiceprezesem profesor filozofii Simon Moser, sekretarzem Dr Aleksander Auer. W drukowanym programie czytamy, że tegoroczne zebranie Forum zostało umożliwione dzięki zasłkom związkowego ministerstwa oświaty, prowincji austriackich i osób prywatnych.

Podróżni jadący do Alpbach wysiadają z pociągu w Brixlegg, na małej stacji w dolinie Innu. Tam czekają ich austriackie autobusy pocztowe. Po 40 minutach wspinania się w jedną z dolin bocznych, autobus wynurza się z lesistego parowu i, mijając bramę z napisem „Oesterreichisches College wita swych gości”, zatrzymuje się przed grupą obszerne szaleńców tyrolskich. Na kilkudziesięciu masztach falują na wietrze flagi tyluż narodów.

Na niewielkim placu przechadza się grupa osób w strojach wakacyjnych. Starsi, w okularach, wyglądają na profesorów, młodszy, w różnobarwnych koszulach — na studentów. Nie brak też uroczych pań w różnym wieku.

Zjazd tylu osób — w tym roku było ich około 1.200, do 600 jednocześnie — w małej miejscowości turystycznej wymaga sprawnej organizacji. W sekretariacie Forum każdy przyjezdny, po wymienieniu swego nazwiska, otrzymuje przygotowaną kartkę z przydziałem mieszkania i książeczkę kuponów na cztery posiłki dziennie.

Alpbach posiada cztery hotele mające kształt obszerne szaleńców. Goście Forum rozlokowani są nadto w okolicznych domach prywatnych i dwóch hotelach górskich o 4 klm. od Alpbach. Dwa autobusy pocztowe utrzymują z nimi stałą komunikację. Cała strona organizacyjna Forum funkcjonuje bez zarzutu.

Wraz z przydziałem mieszkania kongresiści otrzymują, drukowaną w czterech językach broszurę zawierającą szczegółowy program tegorocznego zgromadzenia oraz rozkład zajęć i rozrywek przypadający na każdy z 20 dni zjazdu. Po inauguracji tego ostatniego i wzajemnym zapoznaniu się, uczestnicy zjazdu tworzą grupy studiów, obradujące pod przewodnictwem wyznaczonych z góry przez organizatorów osób, zazwyczaj profesorów uniwersytetu. Pod ogólnym tytułem „Nauka w świecie współczesnym” zmieniający się co roku program tych grup obejmował tym razem następujące tematy, które przytaczam według oficjalnego programu: cybernetykę, strukturę świata przemysłowego, patologię świadomości, współczesny kryzys moralny, historię grafii narodową i uniwersalną, filozofię języka, wzory i struktury w literaturze współczesnej, zagadnienia radiofonii, szkołę muzyczną wiedeńską (Schoenberg, Alban Berg i A. v. Webern), zagadnienia autonomii gmin w Europie, próby zjednoczenia Europy po pokoju wersalskim i wreszcie sytuację Europy Wschodniej. Salata tematów i różnorodność reprezentowanych dyscyplin służyć mają zamierzonemu przez College zbliżeniu między po-

szczególnymi gałęziami nauki i przywróceniu tej ostatniej utraconej uniwersalności.

Debaty publiczne nie wyczerpują możliwości użytecznych kontaktów między przedstawicielami różnych dyscyplin. Niezbędne są też rozmowy *a parte*. W tym celu program zajęć posiada duże luzy. Grupy studiów zbierają się tylko przed południem; popołudniu są częściowo wolne, częściowo poświęcone odczytom kierowników grup i osób w tym celu zaproszonych. Nadto dwa dni poświęcone były odczytom bankierów przybyłych z różnych krajów o roli kredytu międzynarodowego. Program zjazdu przewidywał wreszcie kilka koncertów, występ grupy baletowej z muzyką Gottfrieda v. Einem i wystawę grafiki włoskiej.

Młodzież biorąca udział w zjeździe składała się z studentów austriackich, niemieckich, włoskich i francuskich, stypendystów różnych instytucji i osób prywatnych popierających zbliżenie między młodzieżą różnych krajów Europy.

Takie są ramy organizacyjne dorocznych zebrań Forum europejskiego.

Uczeni przechadzają się z notatkami w rękę, studenci śpiją szlaciery, kilkadziesiąt samochodów krąży po paru kilometrach drogi jezdnej, nikt jednak nie zwraca uwagi na życie własne doliny, które płynnie odrębne i obce. Górale tyrolscy koszą siano, zwożą budulec, idą do swych zajęć z koszami na plecach nie zwracając również uwagi na obcych. Rankiem modlą się w kościołach stojących na dwóch końcach doliny, w niedzielę gromadzą się przed nimi w czarnych strojach, kobiety w czarnych, sztywnych kapeluszach przytwierdzonych do szczytu głowy wstążką zawiązaną pod brodą. Na ścianie zewnętrznej strzelistego z zewnątrz, rokokowego wewnątrz kościoła w Alpbach widnieje tablica z długą listą poległych podczas pierwszej wojny światowej. Jako miejsce zgonu większej części poległych marmurowa tablica wymienia „Galizien”. Oprócz dwóch małych podobizn młodych ludzi w mundurach SS-manów nic nie przechowuje pamięci poległych — zapewne też na froncie wschodnim — podczas drugiej wojny światowej. Przyczyną milczenia jest być może okoliczność, że zginęli w służbie obcej, w latach wykreślonych z historii Austrii. Wykreślone z historii oficjalnej, lata te nie dają się wymazać z pamięci. Dowiadując się, że pochodzę z Warszawy, jeden z górali mówi mi, że był tam podczas ostatniej wojny i spojrzawszy na mnie jasnymi oczami — jak gdyby w przecuciu, że słowa te mogą obudzić we mnie jakieś przykre wspomnienia — poprawia: nie w Warszawie a w Pradze.

Ciągająca się w górę strumienia na przestrzeni jakichś 10 klm. dolina podzielona jest na kilkadziesiąt gospodarstw przechodzących na najstarszego syna. Na dnie doliny i na niższych zboczach leżą łąki i rzadkie łany dojrzewającego zaledwie teraz, we wrześniu, żyta. Powyżej stoją świerkowe lasy, jeszcze wyżej nagie grzbiety gór i skalistych wydmuchów.

Dopiero w latach hitlerowskich dolina została wciągnięta w ogólny obrót towarowy. Znikły warsztaty tkackie i folusze; jeden zaledwie tkacz zachował dotąd swój warsztat na końcu osiedla. Mimo tych zmian całe dno doliny pozostaje nadal wyszlifowane przez wieki zamkniętej gospodarki pasterskiej. Wzdłuż szumiącego po skałach strumienia — zwanego *die Aache* czyli woda — stoją olszynki rzucające lekki cień na czystą, zwartą jak dywan murawę. Młode olchy nie krzewią się dziko lecz stoją proste jak kolumny w kilkumetrowych odstępach. Jest to rodzaj salonu czekającego na bawiące teraz na wysokich pastwiskach stada. Plamy słońca grają na trawniku, na którym można poznać miejsca wyleżane wiekami przez owce, szukające tu cienia w południe. Jest to pierwszy, najstarszy wzór wszystkich świętych i nieświętych gajów i parków.

Domy mieszkalne są drewniane, obszerne, dwu i trzypiętrowe. Szerokie występy dachów oceniają biegnące dokoła każdego piętra galerie. Tylna część domu jest zarazem oborą, lamusem i stolarnią, niezbędną dla utrzymania tyłu drewnianych budynków. Obyczajem pasterskim domy stoją na trawniku, nieogrodzone. Lekkie zagrodzenia, dzielące lewady od sianokosów, widać jedynie na łąkach. W paru miejscach są to płoty krzyżowe, *Kreuzhecken*, wynalazek najstarszej ludności osiadłej na terenach pasterskich. Przy kilku domach stoją stare, głowione jesiony, które niegdyś oddalały od domostw upiory i inne złe duchy; nieco dalej jarzębiny, drzewo ozdobne, świadczące o wiecznie żywym u starej ludności rolniczej marzeniu o odtworzeniu, środkami ludzkimi, utraconego Edenu.

Obok tego marzenia życie toczy się surowe. W niedawnych jeszcze czasach, gdy dolina zamknięta była dla wymiany towarów, siano tu więcej żyta. Małe łany na południowych zboczach orano drewnianym pługiem, który kilkunastu ludzi ciągnęło na długim dyszlu. Jeden z tych pługów można oglądać u zamożnego górala. Pierwszy raz widzę tu kobiety koszące siano i dotrzymujące w tej ciężkiej robocie kroku mężczyznom. Dowiaduję się, że nie jest to zjawisko wojenne, lecz stary zwyczaj. Na czas ciężkich robót kobiety otrzymują specjalny wikt składający się z owsianki zwanej *Röllkoch*, miodu i śmietany. Siano suszy się, jak na Polesiu, w wąskich, wysokich kopach zbudowanych na drewnianym szkieletcie i wspinających się po zboczach jak procesja kosmatych pielgrzymów.

W formacji krajobrazu doliny i pamięci jej mieszkańców zachowały się żywe fragmenty starej cywilizacji rolniczej i pasterskiej, którą znaleźli tu niegdyś Rzymianie włączając Tyrol do swego imperium, i która stanowi historyczną podstawę formacji europejskiej, zwłaszcza w tym co ją różni od amerykańskiej i sowieckiej.

Dowiaduję się, że kilkakrotnie usiłowano zainteresować uczestników Forum otaczającą ich doliną. Próby te pozostały bez skutku; zwłaszcza młodszy kongresowicze nie okazali w tym kierunku najmniejszego zainteresowania. Mam wrażenie, że z przeszło

tyśiąca tegorocznych uczestników zjazdu ani jeden nie dostrzegł osobliwości historycznych i społecznych doliny Alpbachu. Fakt ten nie jest zresztą odosobniony. Wydaje się, że młodzi ludzie wychowani w obrębie cywilizacji przemysłowej i obradujący w tej chwili w Alpbach nad zagadnieniami radiofonii są mniej uzdolnieni od miejscowych pasterzy do znalezienia osobistego kontaktu z ludźmi o innej formacji społecznej i umysłowej. Zjawisko to stanowi naturalną granicę promieniowania wszystkich kongresów, komitetów i rozmów międzynarodowych.



Tegoroczny zjazd poświęcony był roli nauki w świecie współczesnym. Temat ten zgromadził w Alpbach całą republikę profesorów austriackich, niemieckich, włoskich oraz uczonych austriackich wykładających w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

Zamkniętym w strukturach pojęciowych swych dyscyplin, uczonym uniwersyteckim trudniej zapewne jest porozumieć się między sobą, nawet w granicach jednej uczelni, niż ludziom innych zawodów. Liczny ich udział w Forum od samego początku zjazdów zasługuje tym bardziej na uwagę. Dwie okoliczności zdają się sprzyjać temu zjawisku. Pierwszą z nich są długie wakacje uniwersyteckie, z jakich nie korzystają ludzie innych zawodów. Druga jest bardziej złożonej natury.

Murem dzielącym dziś narody Europy Zachodniej jest organizacja gospodarcza państwa nowożytnego, dająca obywatelom poczucie, że mają zapewniony udział w dochodzie narodowym, i pochlebiająca ich instynktom drapieżnym przez wytworzenie złudzenia, że państwo potrafi zwiększyć ich dochody kosztem narodów ekonomicznie i wojskowo mniej uzbrojonych. W atmosferze tej zbiorowej organizacji, przypominającej obłęzione miasto, każdy obcy, chociażby przyjeżdżał na kongres obradujący nad zjednoczeniem Europy, jest niejako *ex definitione* niepożądany. Na jego widok władze ukazują zatroskane oblicze. Kto bowiem zna jego istotne zamiary? Czy ma aby ważne papiery? Kiedy zamierza wyjechać? Czy nie zechce zostać w kraju lub, broń Boże, pracować? Czy przywozi dewizy? Czy — stosownie do stanu rynku towarowego — nie zje i nie kupi towarów krajowych za wiele lub za mało? Pytania te wprawiają w zakłopotanie ministerstwa, parlamenty darzące zaufaniem ministerstwa i obywateli, którzy wybrali parlamenty. Zakłopotanie udziela się także obcemu, który staje się milczący i podejrzliwy, czuje sobie głupich pytań, a wreszcie z uczuciem ulgi przekracza granice w odwrótnym kierunku. Bez ważnych powodów ludzie szanujący się nie wyjeżdżają poza granice swego kraju, zaś reszta turystów składa się z osób z każdym rokiem mniej wybrednych w gustach i rozrywkach. Jak długo prymitywnego utilitaryzmu pozostaje głównym czynnikiem kształtującym stosunki między Europejczykami, nie oczekujemy wiele po komitetach

i zjazdach międzynarodowych, gromadzących ludzi być może dobrej woli, lecz nie mogących mieć wpływu na opinię wyborców i parlamentów, a tym mniej na wszechwładną biurokrację swoich krajów.

W tym ogólnym obrazie uniwersytety stanowią pewnego rodzaju rezerwat. Nie mówmy tu o ich autonomii: nauczyciele szkół wyższych są urzędnikami państwowymi i, jak wykazało doświadczenie, muszą być ostrożni w tym co mówią z katedry i poza murami uczelni. W ostatnich dziesiętkach lat nie wykazali też siły charakteru i odwagi cywilnej, jaka wyróżniałaby ich spośród innych urzędników. Pewna odrębność ich grupy wynika z samej sytuacji wyższych uczelni. Istnienie tych ostatnich opiera się na proklamowanym niegdyś przez Bacona pojęciu ogólnej użyteczności nauk. Użyteczność ta nie jest jednak bliżej sprecyzowana i nie daje się sprowadzić do potrzeb przemysłu, potrzeb rynku towarowego i rynku pracy, do interesów tej czy innej grupy społecznej, ani do żadnego innego argumentu ważnego dla wyników wyborów i dla posunięć administracyjnych. Niejasność kryteriów użyteczności w dziedzinie wiedzy i nauki zdaje się być główną przyczyną, dla której wśród tylu przemian uczelnie wyższe zachowały na ogół pewną ilość swobód i okazały się odporniejsze od innych instytucji i środowisk na psychozę pseudoutylitaryzmu społecznego. Trudno osądzić, w jakiej mierze środowiska uniwersyteckie posiadają świadomość swej odrębności i wynikających z nich uprawnień i odpowiedzialności. Żadna jednak próba przezwyciężenia izolacjonizmu europejskiego nie może pominąć środowisk uniwersyteckich, bez rozważenia tkwiących w nich możliwości.

Być może z powodu ogólnikowości i niejasności zadań stawianych sobie przez Forum europejskie, być może także dla innych przyczyn, tegoroczny zjazd profesorów nie wydał żadnych niezwykle owoców. W obliczu młodego i częściowo surowego audytorium, wielu profesorów uległo pokusie wygłoszenia skróconego kursu swej dyscypliny, sprowadzając spotkanie w Alpach do rozmiaru uniwersytetu wakacyjnego. Z tegorocznych odczytów największe zainteresowanie obudził odczyt K. R. Poppera, profesora metodologii nauk z London School of Economics, o nauce i filozofii, który wywołał trwającą przez kilka wieczorów dyskusję między neopozytywistami i idealistami. Sławny natomiast ekonomista austriacki F. A. Hayek, wykładający w Chicago, mówiąc o instytucjach i świadomości społecznej w formie niezwykle dla studentów niemieckich, nie wywołał zainteresowania. Trudniej jest osądzić, co uczeni sami wynieśli z kontaktów z przybyłymi z innych krajów kolegami. Koroną tegorocznej działalności wakacyjnej profesorów w Alpach była dysputa publiczna filozofów i filologów na temat racjonalizacji języka. Służący tej debaty odnosił wrażenie, że specjalizacja nauk osiągnęła granicę, poza którą nie ma więcej żadnej wymiany zdań. Po pół godzinie było jasne, że zamknięci w strukturach pojęcio-

wych swych dyscyplin dysputanci nie rozporządzają dostateczną ilością wspólnych pojęć dla określenia przedmiotu dyskusji.

W ramach tegorocznych Forum utworzona została po raz pierwszy grupa studiów wschodnio-europejskich. Niebo nie sprzyjało tej inicjatywie, bo wyjątkowo chłodny i dżdżysty sierpień, który stworzył poważne luki także w innych działach tegorocznego programu, odstraszył wielu zaproszonych uczestników tej grupy. Zabrakło oczekiwanych referentów i zebrani zmuszeni byli do improwizacji. Po krótkiej naradzie postanowiono dokonać przeglądu sytuacji obecnej w strefie wpływów sowieckiej, od Niemiec Wschodnich do Rumunii. W ośmiu posiedzeniach omówiono sytuację gospodarczą w tych krajach, fluktuacje ich dochodu społecznego, skutki gospodarcze i społeczne planów pięcioletnich, system budżetowy, położenie rolnictwa, politykę kulturalną i rolę ich w równowadze gospodarczej Europy. Zebrani mieli nadto sposobność wysłuchania relacji dwóch osób, które odbyły ostatnio podróż po tej części kontynentu.

Mimo improwizowanego charakteru prace grupy obudziły pewne zainteresowanie uczestników zjazdu. Przez halę hotelu Boeglerhof, w której odbywały się posiedzenia grupy, przewinęło się kilkudziesięciu słuchaczy. Jest jasne, że zainteresowanie Europą Wschodnią wzrasta w miarę zbliżania się do linii demarkacyjnej. W Niemczech Zachodnich istnieje już kilka ośrodków badań, mających nawet gotowe projekty na wypadek ponownego włączenia obecnej strefy wpływów sowieckich do obszaru gospodarczego Europy. Collegium austriackie nosi się z myślą włączenia spraw wschodnio-europejskich do stałego programu swych zainteresowań, i tegoroczna grupa studiów miała być pierwszym kontaktem ze środowiskami emigracyjnymi.

Jedną z najbardziej uderzających osobliwości okresu międzywojennego było całkowite zniknięcie wszystkich wspomnień po federalizmie austriackim. Kraje sukcesyjne zerwały wszystkie więzi łączące je uprzednio pod berłem Habsburgów i zamknęły się w swych nowych granicach. Słabość myśli federalistycznej, nawet w krajach posiadających pod tym względem własne tradycje, tłumaczy mierne powodzenie prądów federalistycznych wśród emigrantów.

Szczególnie uderzający jest fakt, że i kraje niemieckie połączone w 1918 w Republikę Austriacką utraciły natychmiast zainteresowanie dla krajów, z którymi tworzyły przedtem jedno państwo. Zwłaszcza pokolenie młodsze, nie pamiętające już czasów Franciszka Józefa, zachowało o dawnej Cisleitanii tylko bardzo niejasne wspomnienia. Zamykanie się krajów niemieckich Austrii w kręgu własnych zainteresowań zaczęło się zresztą już dawniej i było jedną z przyczyn, dla których federalizm austriacki nie znalazł spadkobierców.

Przeszłości, zwłaszcza równie bogatej jak przeszłość monarchii habsburskiej, nie daje się jednak wykreślić z pamięci przez zmiany orientacji, zainteresowań i nastrojów. Nawet w braku ogólniejszych pomysłów pozostają po niej więzie i wspomnienia pobudzające do szukania dróg mogących zbliżyć znów ludy oddzielone od siebie przez granice i wypadki. Matka np. obecnego prezesa Collegium, poetka austriacka Paula von Preradović, której pamięci poświęcony został dom otwarty w tym roku w Alpbach, pochodziła z rodziny dalmatyńskiej. W kręgu jej tradycji rodzinnych i zainteresowań osobistych znajdowało się pogranicze austriacko-włosko-jugosłowiańskie. Spotkana przeze mnie w Alpbach starsza lecz urocza pani z Wiednia przemawia do mnie najpiękniejszą polszczyzną, której nauczyła się jako żona urzędnika austriackiego w Małopolsce. Sama konkretność tych wspomnień pozwala przypuszczać, że budzące się dziś w Austrii zainteresowanie dla spraw Europy Wschodniej może mieć sens przekraczający ramy doraźnej koniunktury.

Paweł HOSTOWIEC

" LIBELLA "

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telefon : DANton 51-04.

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

Książki - Pisma - Płyty

Księgarnia otwarta codziennie do godziny 6,30 wieczorem,
z wyjątkiem niedziel i świąt.

KATALOGI BEZPŁATNE NA KAŻDE ŻĄDANIE.

ZAMÓWIENIA POCZTOWE WYKONUJEMY
NATYCHMIAST :

Do Belgii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga,
oraz na terenie FRANCJI, książki wysyłamy za zaliczeniem
pocztowym płatne przy odbiorze. — Do innych państw
po uprzednim otrzymaniu należności.

Powrót świętych

„Okres literacki — powiada J. Maritain — zdradza się przez wyrazy swoich zachwytów. Wyrazy oznaczają najczęściej nie to, czego dany okres dosięga, ile to co usiłuje skarykaturować i spartolić. Dzisiaj w literaturze wszystko odbywa się pod hasłem ducha i czystości”.

Ten pogląd był wypowiedziany przed ćwierć wiekiem. Nie wiadomo więc jakie „wyrazy zachwytów” wymieniłby francuski filozof jako charakterystyczne dla naszego czasu. Ale wydaje mi się, że niemal na pewno nie zabrakłoby wśród nich — świętości... I to po obu stronach kurtyny : Socjalistyczny realizm bowiem jest tylko szczególnie jaskrawym przykładem renesansu średniowiecznej powieści hagiograficznej. Bohaterzy „przodującej literatury świata” i satelickich literatur idących w jej ogonie to święci zaprzężeni w budowanie świata, opartego na zanegowaniu wszelkiej świętości...

Jest zdumiewającym paradoksem naszej zmaterializowanej a równocześnie antyintelektualnej epoki to natarczywe zainteresowanie się świętymi. Zrozumiałe na „wschodzie” w swej zmaterializowanej postaci, na zachodzie posiada w sobie coś z tęsknoty za razowym chlebem i kubkiem mleka po okresie przejadania się frykasami i coś z rzeczywistej potrzeby świeżego powietrza. Jest w tym jakby perwersja i sztuczność okresu sprzed rewolucji francuskiej XVIII wieku, kiedy to zepsuty świat arystokracji został ogarnięty manią „prostoty” życia wiejskiego i pasterskiego, bogaci panowie i panie kazali sobie budować „wiejskie” chatynki, „pasterskie” szałas i leśne „kabanki”. Ale w tym coraz zuchwalszym tropieniu świętości, które trwa już lat dwadzieścia jest też zdrowa, naturalna chęć wyrwania się z kręgu rzeczy małoważnych, ucieczka przed nudą twórczości nazbyt długo karmiącej nas opisywaniem spraw miałych i ludzi nieciekawych. Znużenie i znużenie nastąpiło nie dla tego, że opisywano „szarego człowieka” i jego „małe” światy. Albowiem przynajmniej dla katolika, życie nawet najmniej znaczne jest

bardziej porywające i stokroć ciekawsze aniżeli pasjonujący romans. To nie ludzie są mali i nudni, to tylko sposób pisania o nich był mały i nudny. I to właśnie obrzydło czytelnikowi.

Przez wiele lat literaci współzawodniczyli w wysiłku poniżania człowieczeństwa, w dowodzeniu, że *c z ł o w i e k* nie istnieje: Jest bowiem tylko spletem instynktów i małych namiętności, które przedstawiano jako wielkie; grą ślepych sił i bezwolnym wektorem własnej podświadomości; albo plasteliną, formowaną przez dziedziczność czy otoczenie, klasę czy naród; albo rozpaczliwą nicością, ciągłym projektem na coś, co nie dochodzi do bytu; rumowiskiem gmachu, który nie stanął i nigdy nie stanie. Pisarze średniego lotu, których zawsze najwięcej i którzy wywierają największy wpływ już choćby przez samą ilość swej produkcji, usiłowali nam wmówić, że życie ludzkie wyczerpuje się w funkcjach biofizjologicznych i seksualnych. Literatura między wojnami wzięła na się rolę tego syna Noego, który z pogardą i kpina pokazywał, „że łono ojca jego było odkryte”. (Gen. 9, 22).

Od dłuższego już czasu zdziwiło nas psychoanalityczne plotkarstwo, uroczysta i celebrowana nuda, choć niekiedy świetnie polyskująca, rozciągana na niekończące się tomy i cykle, w których, wbrew pozorom, nieraz mniej było prawdy o człowieku i jego przygodzie, niż w najgłupszej powieści z „dzikiego zachodu”. My, czytelnicy, zapragnęliśmy znów zdarzenia, dramatu, rozciekawienia faktami; akcji i bohaterstwa na miarę akcji. Nie opisu: jak było (rzekomo „jak było”) — ale projekcji „jak być powinno”; nie małości i powszedniości, ale wielkości i niezwyczajności.

I oto już przed ostatnią wojną, może w przeczuciu nadciągających wydarzeń, rosnąca tęsknota za czymś innym, jeśli jeszcze nie: wielkim, to chociaż: większym — doprowadziła do prawdziwego renesansu biografii nie tylko wielkich ludzi ale i wielkich epok pełnych wielkich ludzi, nawet do biografii rzek, które odegrały wielką rolę w dziejach, jak Nil, czy surowców wstrząsających dziejami świata, jak nafta. A niektórzy pisarze w poszukiwaniu za coraz bardziej heroicznym materiałem do swoich książek, odkryli zapomnianą a złotą żyłę herosów z samej definicji: Odkryli świętych, wrośniętych całą duszą we wszystko co największe ale i najprostsze, co rozgrywa się nie tylko na ziemi ale i w niebie; świętych, którzy jak drabina Jakubowa łączą niebo z ziemią i po których, jak po żywych szczeblach aniołowie zstępują pomiędzy sprawy ludzkie; świętych, którzy niebo sprowadzają na ziemię, a ziemię i jej bóle powierają niebu.

Święci powracają w nasz świat i w nasze czasy! Mówiąc prawdę, w katolicyzmie żyli oni zawsze w ludzkich odczuciach, chociaż życiem o różnych stopniach napięcia i nasilenia. Nawet w protestantyzmie nie ze wszystkim zostali zapomniani.

Mija niemal lat 400 odkąd niewiara w świętych stała się jednym z artykułów wiary w Anglii, a wciąż jeszcze w samym tylko Londynie ponad pół tysiąca placów, ulic i dworców z nimi

jest związanych. Co więcej! Od stu lat znaczna część Kościoła anglikańskiego wróciła do czci świętych i do kultu świętości. Newman, o którym można powiedzieć, że stoi u początku wszystkiego, co jest dobre w katolicyzmie i protestantyzmie tego kraju, będąc jeszcze pastorem anglikańskim przygotowywał jako autor i redaktor serię żywotów anglosaskich świętych. Dzisiejszy „arcybiskup” Canterbury uważa się znów za prawowitego spadkobiercę św. Tomasza Becketa, choć stoi na czele Kościoła, który jest tylko państwowym Kościołem, gdy święty Męczennik kanterburski oddał życie za to, aby Kościół był wolny i od władzy świeckiej niezależny.

A więc wracają do nas święci. Przeżywają prawdziwy renesans — i nie całkiem dobrze na tym wychodzą, choć mówią do nas z ekranów, ze sceny, z powieści; choć mnożą się ich encyklopedie, monografie, studia porównawcze; chociaż nawet niewierzący psychologowie stali się dla nich łaskawi. Kiedy jeszcze do niedawna zjawiska nadprzyrodzone, objawy życia mistycznego, nawet fakty ascezy to były całkiem „po prostu” zaburzenia chorobowe, przypadki hysterii, sublimacje seksu, teraz już bywają przyjmowane jako pewne zespoły fenomenów z danym obiektem związane, chociaż „jeszcze” niewytłumaczalne. Książki amerykańskiego trapisty Mertona, przekładane na różne języki, należą do bestsellerów. Biskup Sheen koadiutor prymasa Ameryki kardynała Spellmana, autor radiowych a od dwu lat telewizyjnych pogadanek o sprawach życia religijnego, otrzymuje 6.000 listów dziennie; cały sztab sekretarzy zajętych jest czytaniem tej korespondencji. „Pieśń o Bernadecie” Werfla, choć słaba artystycznie i zawierająca błędy faktyczne, ale przez ukazanie kryzysu znaturalizowanej mistyki w XIX wieku głębsza aniżeli niejedno dzieło teologa katolickiego, rozeszła się w setkach tysięcy egzemplarzy w najróżniejszych językach świata. I właśnie to, że po temat zdecydowanie nadprzyrodzony i mistyczny sięgnął pisarz Żyd z narodowości i wyznania urasta do wyżyny jednego z najwymowniejszych znaków czasu. Co powiedzieć o powrotnym zainteresowaniu w świecie szczytami mistyki, jakimi są zawsze, nie mówiąc już o mistykach średniowiecza, św. Jan od Krzyża i św. Teresa z Avila? A co o sukcesie książki Simone'y Weil — mimo dziwactw, a często nieporozumień i nonsensów — prawdziwej mistyczki in partibus infidelium?... Po cóż mnożyć pytania i przykłady!

Mnóstwo się pisze o świętych. Ale każda książka hagiograficzna jest tylko jak zaczerpnięcie kubkiem z ogromnej rzeki, która bez ubytku płynie do swoich kresów. Z życia każdego świętego można wybierać „rzeczy nowe i stare” jak z ogromnego skarbcza — i każdy według upodobania swego.

Co by tylko nie pisać o świętych, dwie są rzeczy, które pisać należy przede wszystkim. Pierwsza: że święci to — ludzie. A druga: że święci to jedyni ludzie normalni.

L U D Z I E

Tak wiele i tak różne rzeczy pisze się o świętych, że bardzo często nie ma już miejsca, aby przypominać fakt zawrotny a oczywisty, że są oni ludźmi. I — jak bardzo ludźmi!

Należą do swego czasu, podlegają więc jego ograniczeniom, panującym wtedy nastawieniom, uprzedzeniom, zaślepieniom, omyłkom. — Z wypowiedzi świętych, z poglądów Ojców i Doktorów Kościoła można by ułożyć wcale pokazną encyklopedię nie tylko rzeczy pozytywnie nie katolickich, ale i pospolitego nonsensu. Albowiem świętość to nie jest — nieomyślność (i — odwrotnie — nieomyślność to nie to, co świętość). „A skarb ten mamy w naczyniach glinianych, aby wzniosłość była dziełem potęgi Bożej, a nie naszej”. (2 Kor. 4,7).

Nie wiem, czy święci nudzą się, kiedy przebywają z sobą. Jedno jest pewne, że to jedyni ludzie, którzy nie nudzą nas. Nas, którzy jesteśmy szarymi, powielanymi odbitkami jednego architypu. Święci bowiem, to ludzie naprawdę zindywidualizowani: nie ma dwu podobnych do siebie, choć nieraz nawet im samym się zdawało, że dosłownie naśladują jakiś, również święty, wzór.

Charaktery posiadają wyraziste, potężną osobowość, niepowtarzalną indywidualność. Mają swoje ukochania i niechęci, wzniosłości i śmieszności, a nawet dziwactwa. Bardzo podobnie do każdego z nas popełniają pomyłki i jakiego kalibru! I bywają niemal z zasady — bardzo nieprzyjemni i niewygodni dla otoczenia. Św. Gertruda Wielka, mistyczka, apostołka miłości do Serca Jezusowego, miała tak przykre cechy bycia, że jej przewodniczka duchowa, słynna św. Mechtylda, pytała w widzeniach Chrystusa: — Jak Ty możesz kochać, i to tak bardzo, tę nieznosność!...

Mają święci swoje upodobania, bardzo nawet osobliwe — można by napisać sporą rozprawkę, na przykład, o przedśmiertnym apetycie świętych na różne przysmaki; mają szczególne przyzwyczajenia, a niektórzy, jak każdy śmiertelnik to, co po angielsku nazywamy „hobby” a po polsku „konikiem”, nie mówiąc już nawet o tym, z szacunku dla nich, że niektórzy nie wiali całkiem zwyczajnego hyzia...

Prawdziwie chyba germańską rozrywką św. Henryka cesarza, znanego nam z wojen toczonych z naszym Chrobrym, było smarowanie miodem przestępcy i rzucaniem go na pożarcie niedźwiedziowi. Żyjąc w czystości ze swą żoną św. Kunegundą, był jednak małżonkiem podejrzliwym i zazdrostnym. Św. Ludwik, król francuski, ojciec jedenaściora dzieci, kochał swą światową i próżną żonę tak bardzo, że nieraz nie mógł się powstrzymać od okazania jej swej czułości publicznie, jak Abraham Sarze. Św. Tomasz Morus znoszący z dobrym humorem swą jędrzowatą i małostkową drugą żonę, mimo swojej włosiennicy, zwłaszcza w młodszych latach nie tylko rad słuchał i powtarzał, ale i ogłaszał drukiem żarciki i wierszowane fraszki łacińskie wcale, jak na

nasze pojęcia frywolne. Albowiem dawne, przedreformacyjne poglądy na wstydliwość bardzo różnią się od naszej obłudy.

Św. Wincenty Ferreriusz z prawdziwie dominikańskim zapalem używał w swych kazaniach języka dosadnego, żeby nie powiedzieć po prostu: wyzwisk i polajanek. A szczególnie żywym i barwnym stylem rozprawił się z papieżem, popierając sprawę antypapieża, co przy ówczesnym zamieszaniu w czasie gorszącej schizmy zachodniej można zrozumieć. W każdym razie mimo że był wielkim świętym, Duch św. nie oświecił go osobnym aktem i pozwolił, by dowodził prawem do omyłki faktu, że jest człowiekiem jak inni ludzie. Przebiegał zachodnią i południową Europę, głosząc jak jakiś dzisiejszy adwentysta, bliski koniec świata i przyjsięcie Pana na sąd, a upominany przez Stolicę św., tłumaczył się, że przecież wyraża tylko swoje prywatne poglądy, a to mu chyba wolno. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie brak było jednego, drugiego świętego, który z żarliwej i pobożnej opozycji do filozofii Platona zwalczał wiarę... w nieśmiertelność duszy jako pogański przesąd, a niektórzy bardzo wielcy święci, wśród nich Doktor Kościoła papież św. Grzegorz Wielki, wierzyli w ostateczne zbawienie wszystkich bez wyjątku — nawet szatana i jeszcze po wiekach uwodzą swoją litościwą wiarą nie tylko Giovanni Papiniego. Słynny na zachodzie czciciel Marii, płomienny opat z Clairvaux św. Bernard sprzeciwiał się z niesłychaną mocą rosnącej wierze w niepokalaną poczęcie N.M.Panny, a za nim — również Doktor Kościoła — św. Tomasz z Akwinu.

Wspominany co dopiero Doktor Miodopłynny, jak go w średnich wiekach nazwano, to jest św. Bernard, należał do tej nieprzeliczonej rodziny świętych gwałtowników, którzy kiedy trzeba, używali bardzo ciernistego języka! Trzymając się rady Pisma św.: „odpowiedz głupiemu wedle głupstwa jego, aby się sam sobie nie zdał mądry”, święty cysters pisał tak potężne inwektywy (np. przeciwko benedyktynom), że dziś raziby u świeckiego człowieka, zwalczającego przeciwników ideologicznych czy politycznych. Oto choć parę zdań, ilustrujących jego pogląd na średniowieczną manię budowania, zwłaszcza przez zakony, bogatych kościołów:

O próżności nad próżnościami! O, szaleństwo większe jeszcze niż próżność! Kościół aż lśni w swoim murach, a nie ma nic dla ubogich! Kamienie ozdabia złotem, a swoje dzieci zostawia nagie! Za pieniądze biedaków pieści się wzrok bogaczy! Ciekawscy mają czym nasycić swoje upodobania, a nędzarze nie mają za co żyć”.

Mieszkańców Rzymu uważał za złodziei z samej natury i na tej zasadzie darowywał winę członkowi swego zakonu za pewne nieregularności finansowe, że jako rzymianin nie potrafił się oprzeć widokowi pieniędzy... W czasie kononizacji promotor wiary bardzo miał mu za złe szarpliwości jego prędkiego języka i cytował z dyzgustem ostre słowa przeciwko lekarzowi. Święty Doktor bowiem, jak każdy cierpiący śmiertelnik, uważał, że le-

karz, który go leczy, jest kompletnym ignorantem. Nazwał go więc w liście słowem, którego treść oscyluje pomiędzy pojęciami : „dureń” i „bydlak”.

Św. Katarzyna ze Sieny, całkiem niezależnie od głoszonego przez siebie poglądu, że papież to „dolce Cristo” : „słodki Chrystus na ziemi”, tupiała na Ojca św. nogami i krzyczała w gniewie „Ja ci rozkazuję” zrobić to a to... Swemu spowiednikowi miała zawsze tyle samooskarżeń do powiedzenia, że ksiądz, znający przy tym dobrze duszę swej penitentki, nieraz ze znużenia po prostu drzemał. A pełna ognistego temperamentu córka farbiarza, która rządziła papieżem i chrześcijaństwem, budziła go bez pardonu i szarpiąc za rękaw, wołała : „Słuchaj ! Do kogo ja mówię?... Do ciebie, czy do ściany?” Sierdząc się kiedyś, wykrzyknęła papieskiemu legatowi : „Masz być mężczyzną, a nie tchórzem” ! A do swych sienieńskich rodaków napisała „prosto i z krzykiem” : „O, cóż z was za durnie, po stokroć warcie śmierci ! Jesteście tak ślepi, że nie potraficie dojrzeć nawet własnej hańby” !

Słodki św. Franciszek Salezy i łagodny św. Wincenty a Paulo byli z natury pasjonatami, skłonni do wybuchów gniewu. Św. Antoni Padewski należał do rodziny tych, o których mówi Pismo : „Zarliwość domu Twego pożera mnie”. W stylu gwałtowny, w języku ostry dowodził w kazaniach między innymi, że duchowni nie są w kościele pożyteczni („Clerici infructuosi”), i świeckich ludzi stawiał za wzór zakonnikom i duchowieństwu XIII wieku. Ten zaś szczegół najprostszą drogą prowadzić nas musi do gwałtownika nad gwałtownikami i awanturniczego patrona świętych awanturników : do św. Hieronima!

Lew, z którym go kiedyś rzeźbiono na portalach średniewiecznych katedr i z którym go od wieków malują malarze — to właśnie jego srogi charakter ! Daremnie usiłował mu wyjmować ciernie z łapy... Dlatego też na setkach obrazów we wszystkich galeriach świata tłucze się wielkim kamieniem po gołej piersi, wychudłej jak szczapa od trzydziestu czterech lat postów i umartwień. A kiedy się nasierdził i użłościł i zaraz to wszystko potężnymi słowami do jakiej ówczesnej wielkości ze świętym gniewem w liście opisał, rzucał się na kolana pokornie Boga przepraszać, przypominając mu jako okoliczność łagodzącą, że przecież pochodzi z Dalmacji...

Pracując za wzorem św. Pawła ciężko fizycznie, uczył się w tym czasie hebrajskiego i studium tego języka wraz z greką zalecał koniecznie arystokratkom rzymskim, które prowadził po drogach świętości; a nawet założył dla nich na Awentynie coś w rodzaju uniwersytetu biblijnego: pierwsza akademii dla kobiet w Europie. Możemy sobie wyobrazić żar i poziom wykładów prowadzonych przez najuczeńszego z Doktorów zachodniego Kościoła i księcia egzegetów. Był on wielkim propagatorem czystości i dziewictwa. Słynny jest jego list „o zachowaniu dziewictwa”, skierowany do Eustochium (wbrew przeciwnym pozorom, jest to imię żeńskie a nie męskie). Wśród rad, jakich jej

udziela, jest jedna dość jak na nasze pojęcia osobliwa : Święty bowiem przestrzega Eustochium przed mnichami i w ogóle duchownymi, którzy udają świątobliwych ascetów, a uwodzą naiwne „mulierculas” : kobieciątka. Przetłumaczyłem — nieudolnie niestety ! — ten fragment listu betleemskiego Doktora :

„...unikaj także ludzi, którzy opasują się łańcuchem i noszą długie włosy jak niewiasty, co jest sprzeczne z przykazem Apostoła, koźlą brodę, czarny płaszcz i mają bose stopy, wyszczypane zimnem. Wszystko to są diabelskie podstępny. Niedawno z powodu takiego Antyma, a ostatnio Sofroniusza, ubolewał Rzym. Oni to uzyskawszy wstęp do domów możnych i uwiódłszy niewiasty obciążone grzechami, wiecznie się uczące a nigdy nie dochodzące do poznania prawdy, udali smutek, długie rzekomo odpowiadając posty, a po nocach napychają sobie żołądki kradzionym pokarmem. Wstydę się mówić o innych rzeczach, aby się nie wydawało, że raczej napastuję niż upominam”.

I zaraz potem następuje ów słynny portrecik z natury typowego dla czasów św. Hieronima rzymskiego prałata-gogusia-pieczniarza (ale czy tylko dla czasów św. Hieronima,):

„Są także inni (o przedstawicielach swego stanu mówię), którzy kapłaństwo i diakonat przyjmują, aby móc tym swobodniej obcować z kobietami. Całą troską dla nich, to ubiór : Czy jest wytwornie naperfumowany i czy obuwie z miękkiej skórki leży bez jednej zmarszczki. Włosy mają fryzowane przy pomocy karbowniczki, na rękach lśnią pierścienie, a suną na czubkach palców z obawy, aby nie zbrukać na wilgotnej drodze spodów obuwia. Na ich widok wzięłabyś ich raczej za amantów niż za duchownych.

Dla niektórych jedynym zajęciem przez całe życie, to znać nazwiska, adresy i tryb życia bogatych dam. Jednego z nich, prawdziwego księcia w swej sztuce opiszę krótko i zwięźle, abyś poznawszy mistrza, tym łatwiej rozpoznała jego uczniów :

Zrywa się ze snu razem ze słońcem, układa plan wizyt i wybierając najkrótsze drogi ten stary natręt omalże wdziera się do sypialni ludziom zanim jeszcze wstali. Zdarzy mu się dojrzeć poduszki, piękną serwetkę albo jakiś sprzęt, wychwala, podziwia, dotyka i — skarży się, że mu brak takiej rzeczy : i nie wyludza ale wręcz ją wydziera, ponieważ każda niewiasta boi się obrazić miejskiego kursora. — Czystości nienawidzi, postów nienawidzi, co miluje, to zapach obiadku, a jego ulubienie, to prosiatko. Język ma barbarzyński i obrotny, zawsze gotowy do mówienia złego. Gdzie tylko nie pójdzie, on już tam jest. Jakiejbyś nowinki nie usłyszała — on to jest jej autorem, albo tym, który z igły zrobił widły”...

To tylko fragmencik, i to wcale nie najostrzejszy jednego z listów Świętego, który miał twierdzić, że „człowiek bogaty, to albo łajdak, albo dziedziczy po łajdaku” : „aut iniquus aut iniqui haeres”... I to w czasach, gdy ludzie Kościoła zbierali ogromne majątki, często wszystko jedno jakimi sposobami, aż cesarz musiał wkroczyć odpowiednio ostrym prawem, które znów Święty Doktor witał głośno i publicznie z moralną ulgą nic a nic nie robiąc sobie z tego, że poganie, zarówno inteligencji jak

i prości, z jego wypowiedzi czerpali argumenty przeciw chrześcijanom. Chodziło mu bowiem o prawdę.

Nie zdziwimy się wszakże, że ten pierwszy i najuczestniejszy z zachodnich Doktorów, który tak doskonale znał wady i występki ówczesnego rzymskiego kleru i tak otwarcie a mocno je piętnował, nie został wybrany na Stolicę św. po śmierci swego wielkiego przyjaciela papieża św. Damazego. Bano się w Rzymie jego silnej ręki, jego twardego języka, ciernistego pióra i... surowości. Otoczony nienawiścią, ścigany oszczerstwami tych, których występki napiętnował, opuścił Rzym. Odjechał na Wschód, do Betleem, a z tego gniewu na rzymskich gogusiów, oszczerców i obłudników przez trzydzieści cztery lata wyężonej pracy naukowej wyrósł jego pomnikowy przekład Pisma św., niezrównane komentarze do poszczególnych ksiąg, słynne listy i inne dzieła. Do końca życia święty nie pozbył się urazy do Rzymu, i nazywał Wieczne Miasto rozpustnym i przewrotnym Babilonem...

Św. Grzegorza VII dla ostrego i namiętnego charakteru nazywał jego przyjaciel ostryjski biskup Damian „świętym szatanem”. Sam św. Damian w dość osobliwy sposób zalecał papieżowi pewnego czelaka na biskupstwo pisząc, że to wprawdzie osobnik kiepski, obyczajów mało chwalebnych, chciwiec łasy na pieniądze, zbyt natrętnie ubiegający się o biskupi stolec, ale... z tym wszystkim jeszcze o nieba lepszy od innych kandydatów.

(Dok. nastąpi)

Jan TOKARSKI

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE

publie notamment dans son numéro d'Octobre 1954

Georges VEDEL : L'Etat souverain contre la Démocratie; Denis de ROUGEMONT : De Gaspéri l'Européen; Thierry MAULNIER : Les Français devant Mendès-France; Robert ROCHEFORT : Le problème des hommes en trop; Etienne BALAZS : Le mandarinat moderne de Mao Tsé-Tong; Georges HUGNET : Jean Arp; Jean ARP : Poèmes; N. TUCCI : Amérique, éternel refrain; Nicola CHIAROMONTE : Tolstoï et l'Histoire; Edmond HUMEAU : Songeant à Charles-Albert Cingria.

Textes de :

Robert CABY, Fred GOLDBECK, Julian GORKIN, Armand GERARD, Boris LITVINOV, K.-A. JELENSKI, Annette VAILLANT, etc...

PREUVES : 23, rue de la Pépinière - PARIS (8^e)

C.C.P. 178.000 PARIS

Le numéro de 104 p. ill. : 120 fr. - Etranger : 150 fr.

Un spécimen sera envoyé gracieusement sur demande.

Fantazja

Czy to kwiaty,
Czy ogień,
Czy czerwone zygzyki,
Czy firanki zapłonęły na oknach?
Czy się myśli tak żarzą,
Czy się serce tak pali,
Czy się ciemność w oczach czerwieni?

Noc wypełzła spod łóżka,
Otrząsnęła kurz z włosów,
Wyciągnęła zeszytywniałe ramiona,
A już kwiaty pojęły
I do stóp jej przypadły.
Za chwilę pójda w tan.

A na ścianie — kanarek.
Kanarek nic nie widzi,
Kanarek nic nie słyszy,
Schował dziobek pod skrzydła i śpi.

Gdybym miał kufel piwa,
Gdybym miał szklanę wina,
Usiadłbym na chodniku i pił.
Gdybym miał twarz jak inni
I krew w żyłach jak inni,
Poszedłbym z nocą w tan.
Porwałbym noc za włosy,
Usta bym jej całował,
Kwiaty na strzępy rwał.

Ale ja nie wiem sam —
Może jestem firanką,
Może jestem kanarkiem,

Może jestem tykaniem budzika?
Może wcale nie jestem,
Tylko staram się udać,
Że mam w sobie żyły i krew?

Obudziłem się rano
Zmęczony, z bólem głowy.
Miałem w dłoni
Strzęp włosów i kwiat.
Schowałem je pod koldrę,
Włożyłem twarz i krawat,
Kanarek jeszcze spał.

Londyn, 1954.

Dziękuję Ci

Dziękuję ci, za to, że jesteś,
Trochę duszy,
Trochę ciała,
I przedział z prawej strony.

Dziękuję ci za to, że byłeś,
Przyjdę,
Powiem,
Dotknę czubków twoich włosów.

Popatrz — wszystko w tobie
I wszystko wokół ciebie
Ogarnęłam miłością.
Trochę duszy,
Trochę ciała,
I przedział z prawej strony.

To nic, że czasy przeszły
I powstałimy ze snu
Po dwóch stronach kurtyny.
To nic, że się dla nas
Nigdy nie zapali jutro.
Ty będziesz —
I za to ci dziękuję, chyląc głowę.

Plakać nie warto,
Pytać nie wolno,
O nic nie trzeba prosić.

Londyn, 1953.

Wszystko było

Wszystko było i wszystko nieprawda,
Weźmiesz w rękę i w rękę ci prysnie,
Przez palce spłynie i zniknie.
Wiele było dobrego i złego,
Ale dobre się złem wymazało.
I była chwila, taka jedna,
Kiedy wszystko wokół stanęło,
Wtedy wiedziałeś —

to koniec —
wielkie milczenie —
śmierć.

I chciałeś pomyśleć o czymś takim
Co by śmierć uczyniło do zniesienia,
Co by samo w sobie było życiem,
Bez początku, bez końca,
Linia prostą biegnącą w wieczność,
Punktem w przestrzeni.
Ale nic nie było takiego,
Bo zło pomieszało się z dobrem,
I gorycz pozostała na ustach.
I poczułeś wielką pustkę wokół,
Która była wielką pustką w tobie,
Że już nawet ból byłby lepszy,
Że już nawet nienawiść, nie miłość
Wniosłaby coś żywego.
A tak umrzeć nie mogłeś,
Zostałeś.
Zostałeś jak drzewo przy drodze,
Bolesnie milczące i same.

Więc nie każcie mi wierzyć matematyce,
Że dwa plus dwa jest cztery.
Ja próbowałem dodawać
I zawsze wychodziło mi zero.
Dwa plus dwa — zero,
Dwa minus dwa — zero.
Dwa pomnożone przez dwa —
Nie, nie każcie mi więcej dodawać,
Bo ja już zgóry wiem,
Że pustka równa się zero,
Że grzech nie daje się odjąć,
Że uczucie nie daje się pomnożyć,
Że z niczego nie robi się coś.
Chyba, że drzewa zakwitną,
Wtedy, kto wie...

Może zero plus zero
 Da linię biegnącą w nieskończoność
 I zatańczą w wielkiej przestrzeni
 Wszystkie samotne punkty.

Londyn, 1953.

Już od lat...

Już od lat chodzę naokoło tego skweru —
 Lampy pochyliły głowy,
 Drzewa załamały ręce,
 Słońce tysiąc razy wróciło i odeszło.
 Już od lat szukam wyjścia,
 Ale gdziekolwiek się zwrócę,
 Domy wyrastają przede mną,
 Zagradzają mi drogę,
 Grożą.

Na próżno proszę —
 Nie słuchają.
 Na próżno płaczę —
 Żadne łzy ich nie wzruszą.
 I żebym biła głowę, muru tego nie przebiję.
 I żebym choć umarła...

Lata miną,
 Słońce tysiąc razy odejdzie i powróci,
 A ja wciąż chodzić będę naokoło tego skweru.

Może tak właśnie trzeba,
 Z nadzieją i z rozpaczą,
 Zawsze wkoło i wkoło,
 Szukając wyjścia,
 Aby się dokonało co się dokonać miało —
 Boża kara, czy zemsta.

I nie wiem jak długo jeszcze.
 Już bym wolala deszczem spłynąć, liściem opaść
 W ziemię, w wieczny spokój.
 Już bym wolala żeby mnie nie było, ani bólu.
 Już bym Bogu przebaczyła, byle mi pozwolił odejść.
 Lub żeby mi powiedział, jak długo jeszcze.

Lampy pochyliły głowy,
 Drzewa załamały ręce,
 Domy stoją przede mną.

Londyn, 1953.

Danuta BIENKOWSKA

Archiwum polityczne

Kronika angielska

RADA POLITYCZNA A SKARB NARODOWY

Posiadamy w tej chwili dwa „państwa na emigracji”. Na czele „państwa I” stoi prezydent Zaleski, który w dniu 3 września br. mianował swym następcą księcia Eustachego Sapiechę, lat 73, zamieszkałego w Nairobi. Jak wynika z pisma prez. Zaleskiego do premiera Mackiewicza z dnia 3. 9. br. zgodnie z życzeniem nowego Następcy Prezydenta konsultacja stronnictw w tej sprawie nastąpi po ukonstytuowaniu się Rady Rzeczypospolitej.

Prem. Mackiewicz objaśniając powyższą wypowiedź prez. Zaleskiego na konferencji prasowej w dniu 4. 9. br. zaznaczył co następuje: „Pismo Prezydenta stanowi bardzo poważny krok naprzód w kierunku uzdrowienia praktyki, wytworzonej na podstawie „umowy paryskiej” która stworzyła instytucję konsultacji stronnictw, nie określając co należy uważać za stronnictwo. Według tej praktyki, wystarczyło aby kilku ludzi uznało siebie samych za stronnictwo, aby należało je konsultować. Obecnie za stronnictwa uważane będą tylko te ugrupowania polityczne, które zdobędą sobie uznanie wyborców w wyborach powszechnych, czyli przywrócony zostanie stan rzeczy obowiązujący we wszystkich społeczeństwach demokratycznych”.

Ponieważ uznać należy za pewne, że stronnictwa zrzeszone w Tymczasowej R.J.N. nie wezmą udziału w wyborach organizowanych przez rząd prem. Mackiewicza — w interpretacji oficjalnej „państwa na emigracji I” stracą statut stronnictw politycznych. W ten sposób, przepaść między obu obozami została wydatnie pogłębiona.

W dniu 7 listopada rząd organizuje wybory w W. Brytanii. Strefa wielkobrytyjska została podzielona na 11 okręgów wyborczych.

Biorąc pod uwagę obecną sytuację i rozbieżność należy przypuszczać, że w wyborach weźmie udział znikomy procent społeczeństwa emigracyjnego a Rada Rzeczypospolitej, wyłoniona na tej drodze, nie będzie reprezentować w pełni ogółu Polaków zamieszkałych na wyspach brytyjskich. Inicjatywa jest dobra ale niestety o trzy lata spóźniona.

Główna Komisja Skarbu Narodowego dokonała zbiorowego zamachu stanu podporządkowując się Radzie Trzech. W dniu 4. 9. br. odbyło się

plenarne posiedzenie Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Punkt 2. porządku obrad brzmiał: „Stanowisko Skarbu Narodowego wobec kryzysu wewnątrzno-politycznego”.

Prezes Najwyższej Izby Kontroli p. St. Okoniewski nie wziął udziału w posiedzeniu a do prezydium Głównej Komisji Skarbu Narodowego przesłał pismo w którym czytamy między innymi: „Dekret Prezydenta R.P. o utworzeniu Skarbu Narodowego (D. U. Nr 3 ex 49, poz. 4.) zupełnie ściśle określa tak cele dla których Skarb Narodowy został utworzony, jak i zakres działania Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Do zakresu działania tego nie należy rozważanie i zajmowanie stanowiska w kwestiach politycznych, wobec czego rozważanie kwestii objętej punktem 2. porządku dziennego — według mojej opinii — jest niezgodne z istniejącymi przepisami prawnymi, na których opiera się byt i istnienie Skarbu Narodowego”.

Ponieważ w dniu 2. 9. br. został wydany dekret Prezydenta R.P. o przekształceniu Skarbu Narodowego — mamy de facto obecnie dwie władze zwierzchnie Skarbu Narodowego: I. Główną Komisję Skarbu Narodowego podporządkowaną Radzie Trzech, oraz II. Komisję Reorganizacyjną, mianowaną przez prez. Zaleskiego.

Do sprawy Skarbu Narodowego powróć jeszcze w końcowym ustępie niniejszej kroniki. Obecnie poświęćmy chwilę uwagi „państwu na emigracji Nr 2”.

Na czele „państwa II” stoi tzw. Rada Trzech (Anders, Arciszewski, Raczyński). To ciało jest trój-osobowym „prezydentem” na okres przejściowy kryzysu. Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego, na czele której stoi gen. Odzierżyński — pełni funkcję rządu. Tymczasowa R.J.N. jak sama nazwa wskazuje zastępuje tymczasowo Radę Jedności Narodowej.

„Państwo II” jest formą zwyczajstwa Rady Politycznej. Jeżeli tak jest istotnie, to Czytelnik zapyta dlaczego ci panowie przywiązują obecnie tak wielkie znaczenie do legalizmu, który w przeszłości krytykowali i ośmieszali. Dlaczego chcą mieć „prezydenta”, legalny rząd, legalną Radę Jedności Narodowej — wszystko w oparciu o Konstytucję z 1935 roku.

Rada Trzech przypisuje sobie statut polityczny, który był udziałem admirała Horthy'ego. Admirał przez wiele lat sprawował rządy w imieniu „nieobecnego króla Węgier” i zrobił wszystko co w jego mocy by król na Węgrzech nie mógł być obecny. Panowie Anders, Arciszewski i Raczyński rządzą przejściowo na czas kryzysu w imieniu nieobecnego prezydenta. Oświadczono oficjalnie, że jak głową państwa zostanie generał Sosnkowski ów stan przejściowy dobiegnie kresu a regencja Rady Trzech przejdzie do historii.

Sukcesja gen. Sosnkowskiego jest materią równie delikatną jak ongiś powrót Habsburgów do Budapesztu, w którym królował (nie bez wdzięku) admirał Horthy. Uznać należy niemal za pewne (w polityce nic nie jest 100 procent pewne) że prez. Zaleski nie zamianuje gen. Sosnkowskiego swym następcą nawet wówczas, gdy Rada Rzeczypospolitej (po 7 listopada br.) wypowie się przeciw nominacji ks. E. Sapiehy. Uznać należy również niemal za pewne, że jeżeli Rada Rzeczypospolitej w ogóle powstanie w wyniku wyborów, które odbyć się mają w pierwszej dekadzie listopada br. kluby, czy grupowania polityczne Rady Rzeczypospolitej w czasie konsultacji nie wysuną gen. Sosnkowskiego jako swego kandydata na następcę Prezydenta R.P.

Innymi słowy gen. Sosnkowski mógłby zostać „prezydentem” tylko na drodze dalszego łamania Konstytucji. Trzeba by ogłosić, że urząd prezydenta „vacat” i na tej podstawie zastosować art. 23. Konstytucji. Mielibyśmy wówczas dwóch prezydentów — co rzecz prosta nie przyczyniłoby się do wzmocnienia powagi tego urzędu. Jest rzeczą chyba wykluczoną, by gen. Sosnkowski zgodził się być „prezydentem Nr 2”. Generał posiada duży autorytet i cieszy się szacunkiem ogółu emigracji. Gdyby został „prezydentem Nr 2” nie zwiększyłby swego osobistego autorytetu, lecz przeciwnie, katastrofalnie by go uszczuplił. Bo bez względu na to jak się ocenia politykę prez. Zaleskiego — sytuacja ewentualnego „prezydenta Nr 2” byłaby operetkowa. Można uznać niemal za pewne, że gen. Sosnkowski tego typu rozwiązanie odrzuci.

Osobiście jestem skłonny przypuszczać, że Rada Trzech wcale się tym nie martwi, podobnie, jak admirał Horthy nie martwił się również nieobecnością Habsburga na tronie węgierskim. Trzech regentów będzie spokojnie i „tymczasowo” rządzić, powołując się przy każdej okazji na legalizm i wierność Konstytucji.

Przewodniczący tymczasowej R.J.N., prez. Bielecki, na posiedzeniu w dniu 1. 9. br. stwierdził oficjalnie: „Uważamy, że trwać on będzie (okres przejściowy — przyp. Londyńczyka) do chwili objęcia urzędu Prezydenta przez gen. Sosnkowskiego”.

Innymi słowy Rada Trzech gotowa jest przekazać władzę nie każdemu legalnemu Prezydentowi R.P. lecz tylko i wyłącznie prezydentowi K. Sosnkowskiemu. Jeżeli Generał nie zostanie prezydentem — Rada Trzech trwać będzie na stanowisku, pomna na przykłady w historii świadczące, iż stany przejściowe trwają częstokroć latami, ku pełnemu zadowoleniu regentów.

Lecz to wszystko co powyżej powiedziano nie tłumaczy namiętności do legalizmu przywódców „państwa na emigracji II”. W Kronice (Kultura, Nr 33, sierpień 1950) wysunąłem pogląd, że w gruncie rzeczy Rada Polityczna jest znacznie bardziej „legalistyczna” niż obóz rządowy. Już przed czterema laty Rada Polityczna wysunęła projekt „państwa na emigracji Nr II” — z radą przy prezydencie, oraz R.J.N. złożoną z osób delegowanych przez stronnictwa. Ówczesny projekt wykluczał z uczestnictwa w R.J.N. radnych wyłonionych z wyborów a nawet z nominacji prezydenta. Od tego czasu Rada Polityczna dążyła umiejętnie do przesunięcia symboli legalizmu z ośrodka „zamkowego” ku projektowanemu „państwu na emigracji Nr 2”. Szczytowym punktem tej inicjatywy był Akt Zjednoczenia, który w istotnych punktach realizuje niemal wszystkie postulaty Rady Politycznej.

Na przestrzeni ubiegłych lat tzw. ośrodek „zamkowy” nie zdobył się dosłownie na nic. Ani na zorganizowanie wyborów, ani na stworzenie własnego organu prasowego. Budżet miesięczny obecnego rządu prem. Mackiewicza obraca się w granicach £150 i dopiero ów 150-funtowy rząd zdecydował się na wybory. Kilka lat temu, gdy miesięczny budżet rządu przekraczał często 30 tysięcy funtów premierzy mieli ważniejsze „problemy” niż organizowanie wyborów.

W perspektywie historycznej, klęska obozu „zamkowego” zamyka okres politycznej kariery pilsudczyków jako zorganizowanej siły politycznej. Na skutek ostatnich wydarzeń Liga Niepodległości rozbiła się na cztery frakcje. Pewien odłam pilsudczyków z p. Grażyńskim na czele wszedł w skład nowej organizacji ale wpływ i rola pilsudczyków w „państwie emi-

gracyjnym Nr 2" są drugoplanowe i podrzędne. W nowej reprezentacji czołową rolę odgrywają stronnictwa Rady Politycznej. Tomasz Arciszewski jest czołową postacią Rady Trzech, prez. Bielecki jest przewodniczącym T.R.J.N. a p. Ciołkosz jest wice-przewodniczącym Egzekutywy.

Pilsudczycy ponieśli klęskę na emigracji podobnie jak uprzednio ponieśli klęskę w Kraju. Historia udzieliła im wymownej lekcji, ale oni nie wiele zrozumieli i niczego się nie nauczyli.

Od czterech lat ścierają się ze sobą dwa poglądy dotyczące reprezentacji politycznej emigracji. Zwolennicy poglądu Nr 1 sądzą, że reprezentacja emigracji, bez względu na jej nazwę — powinna przynajmniej w połowie składać się z członków wyłonionych z wyborów.

Zwolennicy poglądu drugiego są zdania, że reprezentacja emigracji składać się winna wyłącznie z delegatów wysuniętych przez stronnictwa polityczne.

Obecna organizacja „państwa na emigracji” z Radą Trzech na czele stara się ugruntować monopol stronnictw politycznych które zaciekle zwalczają ideę wyborów. Ponieważ idea wyborów staje się w masach emigracyjnych coraz bardziej popularna — zwolennicy monopolu partii postanowili zmobilizować wszystkie środki, by temu powszechnemu dążeniu zwycięsko się przeciwstawić. I do tego Radzie Politycznej potrzebny jest legalizm. Rada Polityczna wnioskuję, że jeżeli swoje „państwo na emigracji Nr 2” zdola zaprezentować jako jedyne legalne dzierżyciela „pieczęci z orłem” — Emigracja pochyli głowę przed autorytetem. Co innego było zwalczać Radę Polityczną, która była tylko organizacją stronnictw opozycyjnych, a co innego jest podnosić bunt przeciwko Radzie Trzech, która na czas kryzysu zastępuje głowę państwa. Dziś już nie ma władz Rady Politycznej są tylko... władze państwowe.

Z punktu widzenia roboty politycznej wszystko to zostało przeprowadzone bardzo umiejętnie i z dużym wyczuciem taktycznym.

Centralnym zagadnieniem nowego państwa na emigracji jest Skarb Narodowy. Nawet jeżeli przyjmimy, że po pewnym czasie wszystkie regionalne komisje Skarbu Narodowego podporządkują się Radzie Trzech — problem Skarbu nie będzie tym samym rozwiązany.

Jeżeli bierze się pieniądze od Amerykanów (za takie czy inne usługi) nie ma konieczności rozliczania się z tych sum przed emigracją. Wystarczy rozliczyć się przed Amerykanami. Jeżeli jednak bierze się pieniądze od emigracji sprawa przedstawia się nieco inaczej.

Jak wyobrażają sobie dalszy rozwój sytuacji przywódcy Rady Politycznej? Cała emigracja jak jeden mąż ma płacić na Skarb Narodowy, natomiast dysponować zebrany funduszami (uchwalać budżet) będzie tymczasowa R.J.N. (Po „zażegnaniu” kryzysu już nie tymczasowa R.J.N.)

Co to jest owa tymczasowa R.J.N.? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć moim Czytelnikom, gdyż do chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada września 1954) skład tymczasowej R.J.N. nie został podany do wiadomości publicznej. Wiadomo jednak, że w reprezentacji tej nie ma radnych z wyborów. W nie-tymczasowej R.J.N. nie będzie również radnych z wyborów.

Innymi słowy, dysponentami funduszy Skarbu Narodowego będą delegaci stronnictw, które — jeżeli chodzi o stronnictwa Rady Politycznej nie tylko na Skarb Narodowy nic nie płaciły, ale go przez ubiegłe lata zwalczały.

Czytelnik przyzna, że nawet jak na skomplikowane stosunki emigracyjne sytuacja jest raczej dość paradoksalna.

Przywódcom Rady Politycznej słowo „demokracja” nie schodzi z ust. Wysuwa się stale popularny (i fałszywy) argument, że kto walczy przeciwko stronnictwom walczy przeciwko demokracji. Ulubioną analogią, którą podiera się ten argument jest twierdzenie, że demokracja zachodnie w sensie politycznym są niczym innym tylko systemem partyjnym.

To wszystko jest zgodne z prawdą z tym drobnym zastrzeżeniem, że na Zachodzie dany partyjny układ sił jest wynikiem wyborów a nie dożywnotnych mandatów. W ramach emigracyjnych tzw. stronnictw historycznych od piętnastu lat demokrację powieszono na kołku a panowie prezesi z „mandatu Kraju” rządzą ku własnej chwale i zadowoleniu nie oglądając się na żadnych wyborców.

Członkowie Stronnictwa Narodowego mogą uznać powyższy stan rzeczy za normalny a może nawet za pożądany. Z chwilą jednak, gdy stronnictwa obejmują władzę i chcą reprezentować ogół emigracji — sprawa mandatu prez. Bieleckiego staje się zagadnieniem, które bezpośrednio dotyczy nas wszystkich a nie tylko członków Str. Narodowego.

Gdyby na emigracji przeprowadzono wybory i 80% głosujących opowiedziało się za Str. Narodowym — uważałbym wówczas za rzecz bezspornie oczywistą, że premierem (czy przewodniczącym R.J.N.) powinien być polityk wysunięty przez Str. Narodowe. Ponieważ nie jestem członkiem Str. Narodowego uważałbym, że nie jest moją rzeczą krytykować metodę, jaką kieruje się Str. Narodowe w wyborze działacza na stanowisko szefa rządu.

Ale w rzeczywistości wszystko to wygląda zgoła inaczej. Nie wiadomo ilu istnieje sympatyków Stron. Narodowego w Kraju? Nie wiadomo ilu owych sympatyków po 15-tu latach opowiedziałoby się za prez. Bieleckim?

Wiadomo natomiast pozytywnie i ponad wszelką wątpliwość, że 99% emigracji nie należy do Str. Narodowego. Na jakiej więc podstawie prez. Bielecki owe 99% emigracji reprezentuje spełniając funkcje przewodniczącego T.R.J.N.? Cokolwiek na ten temat można by powiedzieć jedno jest pewne: system ten z demokracją nie ma absolutnie nic wspólnego.

Jak długo Rada Polityczna tworzyła reprezentację stronnictw opozycyjnych a swą działalność ograniczała do posiedzeń, przemówień, biuletynów itp. wszystko było w idealnym porządku. Z chwilą jednak kiedy rozbudowała się w „państwo na emigracji” a prez. Bielecki jest już nie tylko prezesem S.N. ale i przewodniczącym Tymczasowej R.J.N. — sprawa uległa zasadniczej zmianie.

Wiadomo powszechnie, że 95% ogółu emigracji nie należy do żadnej partii politycznej. 95% bezpartyjnych ma płacić solidarnie na Skarb Narodowy, którym zarządzać ma reprezentacja partii politycznych ciesząc się poparciem 5% społeczeństwa emigracyjnego.

Płatnicy Skarbu Narodowego w przytłaczającej większości są bezpartyjni — nie istnieje jednak na świecie państwo demokratyczne, które pełne prawa obywatelskie przyznaje tylko członkom pewnych partii. 95% bezpartyjnych płatników ma identyczne prawa kontroli gospodarki finansowanej z ich kieszeni jak pozostałe 5% zrzeszone w partiach politycznych.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Istnieją tylko dwa rozwiązania.

Albo pod naporem nacisku opinii Emigracji R.J.N. przeorganizuje swój

statut w ten sposób, by przynajmniej 50% mandatów zastrzeżone było dla radnych wyłonionych z wyborów — albo nowe „państwo na emigracji” będzie musiało zrezygnować ze Skarbu Narodowego i szukać środków finansowych gdzie indziej.

Stronnictwa Rady Politycznej, które stanowią trzon Tymczasowej R.J.N. są przeciwne wyborom, gdyż dopuszczenie do głosu radnych z wyborów oznaczałoby w praktyce przełamanie monopolu reprezentacyjnego stronnictw politycznych. Legalizm w nowym wydaniu „państwa na emigracji” służyć będzie do podmurowania tezy że choć płacić powinni wszyscy — rząd kasą należy wyłącznie do bossów partyjnych. Wszystko inne określane będzie jako „sprzeczne z Konstytucją i praworządnością”. W naszych warunkach obowiązuje bowiem zawsze wykładnia Konstytucji tych, którzy są przy władzy.

Kultura w poprzednim numerze wysunęła koncepcję przeorganizowania Skarbu Narodowego w instytucję nadrzędną, ogólnopolską i opartą na wyborach. Tego rodzaju ewolucja może się odbyć również stopniowo. Gdyby R.J.N. składała się w połowie z radnych pochodzących z wyborów istniałaby możliwość przekształcenia jej z czasem w ogólnopolską instytucję, opartą o zwyczajne demokratyczne zasady. Nie ulega bowiem wątpliwości, i pod tym względem nie należy mieć żadnych złudzeń, że legalizm partyjny podzieli los legalizmu „zamkowego”. W miarę obumierania owego partyjnego legalizmu radni z wyborów przejmowałiby władzę i inicjatywę zarówno w Skarbie jak i w R.J.N. — ratując te instytucje od losu, który spotkał „zamek”. Ów los jest nieuchronnym finałem każdej fikcji oderwanej od życia i „mandat Kraju” sprzed 15-tu laty nie stanowi od tej reguły wyjątku.

Należy więc kategorycznie domagać się reorganizacji R.J.N. w tym kierunku by co najmniej 50% radnych pochodziło z wyborów. To jest program MINIMALNY od którego należy zacząć uzdrowienie stosunków politycznych na emigracji. Nie oznacza on rewolucji tylko POŁOWICZNE na razie dostosowanie się do realnych warunków.

LONDYŃCZYK



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK
oraz Wykaz Przepisów Celných —
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

Przełąd gospodarezy

Perska nafta znowu popłynie

Znaleziono wreszcie wyjście z kilkuletniego sporu angielsko-perskiego, który spowodował, że olbrzymie inwestycje naftowe Anglii w Iranie stanęły w obliczu zagłady. Spór ten był rzeczą bardzo skomplikowaną: był nie tylko ekonomiczny. Miał wielkie znaczenie: nie tylko dla stron, bezpośrednio w nim zainteresowanych, ale i dla całego świata. Jeżeli w ogólności nie jest może prawdą, że nafta rządzi światem, to z pewnością jest prawdą, że w obecnej sytuacji międzynarodowej nafta perska, i związane z nią losy Iranu, jest jedną z najważniejszych rzeczy, z jaką w ostatnich latach polityka światowa miała do czynienia. A z zimnej wojny naftowej, którą właśnie zakończono, wynikają głębokie nauki zarówno dla prymitywnego myślenia znacznej części Środkowego Wschodu jak i dla nazbyt „uproszczonego” i notorycznie krótkowzrocznego myślenia Zachodu. O wyciągnięciu tych wniosków głównie nam tutaj chodzi. Ale przede wszystkim przyjrzyjmy się pewnym faktom gospodarczym.

POZIOM SPOŁECZNO-GOSPODARCZY IRANU (*)

Półowa powierzchni Iranu jest pustynią. Z drugiej połowy tylko 80 procent jest uprawiane. Faktem dotkliwym dla ogólnej wydajności rolnictwa jest absenteizm wielu wielkich właścicieli ziemskich, których ziemie leżą odłogi.

System agrarny Iranu oparty jest w ogólności na specyficznej zasadzie pięciu jednostek organizacyjno-rachunkowych. Są nimi: ziemia, woda do irygacji, praca, żywy inwentarz i nasiona.

(*) Dane zawarte w tym rozdziale oparte są na serii szkiców, które Philips Price, poseł do parlamentu angielskiego, opublikował w październiku 1950 po pobycie w Persji. Ponieważ Plan Siedmioletni z roku 1949 co do podniesienia gospodarstwa perskiego, został w czasie rządów Mossadeka, praktycznie rzecz biorąc, przekreślony, można sądzić, że dane z roku 1950 i dziś dają obraz w istocie swej prawdziwy.

Jeżeli więc np. właściciel ziemi uprawnej daje dzierżawcy tylko grunt i wodę, to przypada mu $\frac{2}{5}$ zbioru. Chłop wnoszący do gospodarstwa pracę, wołu i nasiona, dostaje $\frac{3}{5}$ plonu, natomiast chłop, który nie wnosi żadnej własności i daje tylko pracę, dostaje tylko $\frac{1}{5}$ plonu itd. Ponieważ $\frac{1}{3}$ do $\frac{1}{2}$ ludności wiejskiej jest zbyt biedna aby móc kupić nasiona czy wołu, przeto co drugi czy trzeci chłop musi zaciągnąć pożyczkę dla sfinansowania brakujących elementów produkcji, przy czym kredytodawcą jest bądź właściciel ziemi, bądź osoba trzecia. Ale kredyt w Persji jest bardzo drogi: koszt jego dochodzi do 25-50% rocznie, a zarazem kredyt ten jest krótki. Drożyzna kredytu jest jednym z czynników, hamujących postęp gospodarczy kraju i potęgający nędzę wśród chłopstwa irańskiego.

Średni dochód roczny rodziny chłopskiej wynosi £50; według niektórych ekonomistów dochód na głowę w warstwie chłopskiej wynosi £20 rocznie. Przy tym dochodzie chłopu tym trudniej jest płacić wysokie odsetki za dzierżawę ziemi. Średnia konsumpcja żywności wynosi na osobę dziennie — równoważnik 2.000 kalorii. Warunki mieszkaniowe są wybitnie złe, 95% mieszkańców wsi to analfabeci, śmiertelność wśród dzieci bardzo wysoka.

Przemysłu jest mało, robotników ponad 300.000, z tego 18.000 pracuje w fabrykach państwowych, w których są przestrzegane zasady ochrony pracy. Nie są one przestrzegane w fabrykach prywatnych. Według Price'a „olbrzymie zyski, wyjmowane z prywatnego przemysłu, oraz powszechna niewydajność i skorumpowanie jego kierownictwa powodują bardzo wysokie koszty produkcji w tych fabrykach, które nie mogą więc konkurować z towarami zagranicznymi”. Zaległości w wypłatach robotniczych bynajmniej nie należą do rzadkości. Obraz sytuacji zaokrąglą się przez fakt, że wielcy właściciele ziemscy uchylają się od płacenia podatków, które płacą tylko średni.

Zasadniczymi środkami naprawy gospodarczej muszą być w tej sytuacji: reforma rolna i obniżenie stopy procentowej na pożyczki dla dzierżawców ziemi. Aktywnym zwolennikiem reformy rolnej jest szach perski, jeden z najbogatszych ludzi w Azji, człowiek bardzo światły, który bezrolnym chłopom sprzedaje, na dogodnych dla nich warunkach, liczne swoje grunta prywatne, a także lasy. Napotyka on jednak na znaczne trudności ze strony wielkiej własności ziemskiej, która zwalcza go, zresztą nie tylko ze względu na reformę rolną, ale w ogóle ze względu na tendencje w dziedzinie reform socjalnych, których szach jest zwolennikiem. Potężne wpływy wielkich właścicieli ziemskich w Majlisie (parlament perski) skutecznie paraliżują wysiłki szacha. Te same wpływy pośrednio doprowadziły do zamordowania premiera Razary, autora szerokiego planu reform, Razare ogłoszono w prasie „wrogiem Persji”. Jednak faktem jest, że przeszkodą do postępu gospodarczego Iranu jest właśnie warstwa wielkich właścicieli ziemskich, która żeruje na ciemnocie ludności tego kraju i której poparciem cieszył się Mossadek, sam wielki obszarnek, wróg szacha i wróg rozsądnego porozumienia Iranu

z Zachodem. Jak słusznie pisze *Economist*, „Persia has no oppressor save its own rich and corrupt landlords” (Jedynymi ciemiężcami Persji są jej bogaci i skorumpowani wielcy obszarnczy).

W roku 1944 stworzono Plan Siedmioletni przekształcenia Iranu, kraju wschodniego feudalizmu, na kraj bardziej gospodarczo postępowy na modłę zachodnią. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tego planu, powiemy tylko krótko, że realizacja jego miała się opierać o pomoc Zachodu. Iran nie ma bowiem żadnej możliwości oparcia programu swej transformacji gospodarczej na własnych swoich siłach. Wśród czynników zagranicznych, które odegrały twórczą rolę w rozwoju gospodarstwa perskiego, najważniejszym był angielski koncern naftowy Anglo-Iranian Oil Company.

ANGLO-IRANIAN I JEGO ZNACZENIE DLA PERSJI

Ropa naftowa stanowi główne bogactwo naturalne Persji. Czym ryż dla Indochin, kauczuk dla Malajów, kawa dla Brazylii, tym nafta dla Iranu. Stąd rola koncernu Anglo-Iranian Oil Company, który od roku 1933 wydobywał i oczyszczał perską ropę oraz sprzedawał ją i jej przetwory na rynkach światowych — była bardzo wielka, po prostu decydująca dla losów Iranu.

Oto kilka informacji o tym koncernie. Jest to koncern olbrzymi, którego inwestycje kapitałowe w Iranie, oceniane na jakieś £350 milionów, są największą spośród wszystkich inwestycji angielskich zagranicą. Koncern ma jednak również liczne akcje poza Iranem np. jest właścicielem połowy udziałów Kuwait Oil Company i $\frac{1}{4}$ udziałów Iraq Petroleum Company, z tym że może sprzedawać około $\frac{1}{3}$ nafty irackiej. Rozmach ekspansji kapitałowej Anglo-Iranian jest olbrzymi, np. na rok 1953 planowano 75 milionów funtów na budowę rafinerii w Anglii, Australii i Adenie oraz na budowę nowych statków-cystern. A nie jest to tylko papierowe planowanie, gdyż wydatki kapitałowe wyniosły w ubiegłym roku przeszło 73 miliony, w tym 56 na nowe rafinerie. Temu rozmachowi kapitałowemu towarzyszy też oczywiście ekspansja produkcyjna i handlowa. Oto koncern, który istnieje niespełna 50 lat, powiększył wydobycie ropy naftowej z 897 tysięcy ton w roku 1908 do 25,6 miliona ton w 1952 i to bez nafty perskiej, której wydobycie wskutek zatargu angielsko-perskiego w 1952 nie istniało. Sprzedaż ropy łącznie z produktami oczyszczonymi wyniosła w roku 1953, też bez przychynu perskiego, około 37 milionów ton. O ogromie technicznych urządzeń koncernu świadczyć może fakt, że np. rafineria w Abadanie ma tysiące mil naftociągów i dwustomilowy łańcuch szybów naftowych wzdłuż gór Bakhtiari. Wreszcie zyski tego koncernu są też odpowiednio wielkie, np. zysk brutto w roku 1951, mimo zahamowania pracy w Iranie w połowie tego roku wyniósł około 76 milionów funtów, czyli około $\frac{2}{3}$ zysku w szczytowym roku 1950. W roku 1953 zysk brutto stanowił 63,8 milio-

nów funtów a dywidenda w latach 1949 do 1953 trzymała się na ogół na poziomie 30% i to przy polityce niezbyt dużego obniżania rezerw kapitałowych. Dodajmy jeszcze, że większość akcji Anglo-Iranian ma rząd brytyjski, który też mianuje jego dyrektorów.

Nie dziw, że działalność tego giganta przemysłu naftowego ma decydujące znaczenie dla Iranu, który „skazany jest na naftę”. W czym konkretnie wyrażają się korzyści, które Anglo-Iranian, w okresie normalnych stosunków angielsko-perskich, daje Iranowi? Korzyści te są wielkie i wielorakie: 1) Bezpośrednie wpłaty koncernu do skarbu perskiego tytułem tzw. royalties za prawo wydobywania i sprzedaży ropy naftowej oraz prawo rafinowania jej i sprzedaży rozmaitych oczyszczonych jej produktów. Wpłaty te są bardzo ważne dla skarbu perskiego, gdyż rozmiar ich przekracza wszystko, o czym mógłby on marzyć. Wynosiły one (w milionach dolarów): 16 w 1940 roku, blisko 45 w 1950 roku i ponad 23 w ciągu pierwszego półrocza 1951, po czym wskutek wiadomego zatargu ustały. Gdy to się stało, skarb perski często był prawie pusty i dysponował zaledwie drobną częścią pieniędzy, koniecznych na terminowe wypłaty, nieraz nie mógł nawet opłacić policji i wojska, wskutek czego stawał wobec widma bankructwa i chaosu wewnętrznego. Z tej sytuacji ratowały go specjalne doraźne dotacje najpierw ze strony Anglo-Iranian, potem od rządu USA, chcących uchronić Persję od przewrotu. 2) Anglo-Iranian jest największym pracodawcą w Persji, zatrudnia obok trzech tysięcy Brytyjczyków także 55 tysięcy Persów. Zahamowanie pracy koncernu oznacza wielkie bezrobocie i konieczność finansowania go przez państwo, o ile chce ono uniknąć przewrotu komunistycznego. 3) Anglo-Iranian sprzedawał swym pracownikom cały szereg artykułów codziennej potrzeby poniżej ceny kosztu. Te sprzedaże łącznie z płacami tych pracowników dochodziły do 1/3 sumy wydatków rządu na jego funkcjonariuszy w całym państwie. 4) Anglo-Iranian był najlepszym w kraju pracodawcą, płacąc w pewnych okresach 5-krotnie wyższe stawki niż prywatne fabryki włókiennicze w Ispahanie oraz finansując poprawę w dziedzinie kultury, oświaty i urządzeń społecznych, za co spotkał się z uznaniem Międzynarodowej Organizacji Pracy. 5) W okresie działalności Anglo-Iranian Persja korzystała z całego szeregu ułatwień sterlingowych, przyznanych jej przez rząd brytyjski. I wreszcie 6) rzecz niezmiernie wagi: koncern współpracował organizacyjnie i finansowo z perskim Planem Siedmioletnim rozwoju gospodarczego kraju i podniesienia stopy życia jego ludności.

Jak widać z powyższego, Persja miała niezwykle wielkie i wszechstronne korzyści, związane z działalnością Anglo-Iranian. W ramach myślenia, które typowy Europejczyk uważa za „normalne”, trudno sobie po prostu wyobrazić motywy, które mogłyby skłonić jakikolwiek gospodarczo zacofany kraj do zerwania z koncernem, od którego zależy teraźniejszość i przyszłość. A jednak...

BUNT PRZECIWKO ANGLO-IRANIAN

W roku 1944 Mossadek przeprowadził ustawę, zakazującą dawania obcokrajowcom nowych koncesji naftowych do końca wojny. W marcu 1951 parlament uchwalił ustawę o nacjonalizacji przemysłu naftowego. W lipcu tegoż roku cała olbrzymia maszynieria Anglo-Iranian w Persji stanęła i nafta perska przestała płynąć na rynki światowe; w październiku angielski personel koncernu został wyrzucony z Persji. W rok później, w październiku 1952, Persja zerwała stosunki dyplomatyczne z Anglią.

Motywy tej polityki, niezrozumiałe dla ekonomisty, irytujące dla polityków anglo-saskich, radosne dla Z.S.S.R. — są niezmiernie interesujące dla socjologa, chcącego zrozumieć, co właściwie rządzi „duszą Wschodu”. Bo przecież polityka ta była zgubna dla samej Persji, mogła zaś stać się niebezpieczna dla całego wolnego świata. Rozwiązanie zagadki jest jednak proste: w tej sprawie naftowej Persom wcale nie chodziło o... naftę. Gdy w roku 1952, bodaj w trzecim jego kwartale, *New York Times* napisał, że „moral fundamentals are here involved”, twierdzenie to przez długi czas nie było przekonywujące dla opinii światowej, która w awanturniczej polityce Mossadeka widziała jedynie metodę nacisku w kierunku zwiększenia perskich zysków z nafty. Ta interpretacja perskich motywów była jednak błędna, a o tyle dziwna, że przez lata całe rozlegały się w Persji slogany w rodzaju „raczej będziemy żebrakami niż tolerować będziemy rządy cudzoziemców”. Radio teherańskie, ustami oficjalnych osobistości, głosiło, że „jest obowiązkiem rządu ignorować dochód z nafty”. Przywódcy religijni, ze słynnym przywódcą fanatycznych muzułmanów, Mullah Kaszanim na czele, głosili nieprzejednaną „walkę przeciwko dominacji obcych na świętej perskiej ziemi”; rozhuśtane przez nich masy burzliwie demonstrowały, studenci uchwalali rezolucje przeciwko imperiaлизmowi brytyjskiemu. A jeżeli w tym morzu ekstremizmu bez opamiętania można było usłyszeć jakiś głos choć trochę umiarkowany, to sprowadzał się on do formuły: „jeżeli przyjdziecie do nas jako równi, to będziecie dobrze tu widziani”. Notorycznie znana duma perska, czerpiąca swe korzenie historyczne z prastarej cywilizacji tego narodu, znalazła w tym wszystkim gwałtowne, choć zdeformowane, wyładowanie się. Tak w ciągu kilku lat rozwijało się dramatyczne starcie czynników czysto emocjonalnych, oplatających się dookoła sprawy gospodarczej, drapujących się w tożę walki o niezależność narodową, z realnymi koniecznościami życia. Mossadek wypłynął jako siła polityczna i na dość długi czas ugruntował swoje decydujące wpływy — właśnie jako herold niezależności politycznej. Jego misja była typu mesjanistycznego. Dlatego zapewne najbardziej zrozumiała była dla Polaków, najmniej dla Anglików, którzy rozumieliby doskonale targ o zwiększenie procentowego udziału w dochodach z nafty,

ale nie umieli wyczuć istoty buntu perskiego przeciwko Anglo-Iranian — temu źródłu wielkich dla Persji korzyści ekonomicznych.

Mossadek przegrał. Musiał przegrać bo obracał się w sferze fikcji, bo po prostu nie widział przykrych dla Persji faktów gospodarczych, których nie mógł zmienić, i bezkompromisowo wysuwał maksymalne żądania polityczne, których nie mógł wymusić. Jego błędy były natury tak elementarnej, że podobnych historia nie zna wiele. Tłumaczą one, dlaczego Mossadek — była primadonna na scenie międzynarodowej, wprawdzie płacziwa, historyczna i śmieszna, ale mająca wielką siłę wewnętrzną — zapadł się w nicość.

Jakież były te błędy — źródła przegranej? Oto one w krótkim wyczerpieniu: 1) Mossadek nie rozumiał, że świat może się obejść bez nafty perskiej choć przez dziesięciolecia odgrywała ona wielką rolę na rynkach światowych i choć niewątpliwie brak jej jest czynnikiem bardzo poważnym. Już w ciągu dwóch lat po ustaniu eksportu nafty perskiej inne źródła (Kuwait, Irak, Arabia Saudyjska itd.), dzięki połączonym wysiłkom angielsko-amerykańskim, wyrównały z okładem ubytek w zakresie zarówno perskiej ropy naftowej jak i w dziedzinie oczyszczonych jej produktów. A przecież są i dalsze jeszcze możliwości powiększania produkcji naftowej poza Persją, np. w Wenezueli. 2) Przemysł naftowy wymaga bardzo drogiej, wciąż nowych inwestycji, kosztownej konserwacji starych urządzeń a także kosztownych wierceń w poszukiwaniu ropy. Na to Persja nie ma pieniędzy. Ale gdyby nawet je zdobyła w drodze pożyczki, to 3) bez pomocy Zachodu nie mogłaby prowadzić pełnej produkcji, gdyż ma zaledwie około 10% wykwalifikowanych sił technicznych potrzebnych do obsługi tego wysoce skomplikowanego przemysłu. Mogłaby w najlepszym razie znaleźć rodzime siły techniczne dla produkcji w zakresie 1/4 dotychczasowej, ale ta ćwierć, nawet przy wyłączeniu zysków angielskich, dałaby Persji w sumie mniej korzyści bezpośrednich i pośrednich niż przy koncesji Anglo-Iranian. Nie koniec jednak na tym, bo 4) wydobyć ropę naftową i oczyścić ją, to nie dosyć: trzeba móc wyeksportować ją i umieć sprzedać. Tego Persowie nie mogą zrobić, bo nie mają statków-cystern, a odbiorcy rzadko się godzą na przewożenie nafty własnymi statkami. Persowie nie mają też żadnej organizacji handlu zagranicznego. Oprócz tego 5) w kontekście szerszych zagadnień Mossadek nie wziął pod uwagę, że bez wpłat od Anglo-Iranian skarb perski zbankrutuje, bezrobocie stanie się groźne, Plan Siedmioletni pozostanie na papierze, postęp gospodarczy i kulturalny Iranu zostanie zahamowany, nędza się ustabilizuje, i w ostatecznym rezultacie kraj zostanie opanowany przez Rosję, czemu przecież sam Mossadek był jak najbardziej przeciwny. Wreszcie 6) Mossadek wykazał kompletny zanik umiejętności negocjowania z czynnikami anglo-amerykańskimi, które robiły jak najdalej idące, cierpliwe i długotrwałe wysiłki, aby tylko zna-

leże z nim jakiś *modus vivendi*. Mossadek w żadnej jednak sprawie nie ustępował nawet o krok i żądał od U.S.A. wciąż nowych pieniędzy, szantażując niebezpieczeństwem komunistycznym. Nie prowadził też żadnej sensownej polityki gospodarczej, zastępując ją szeregiem nieprzemyślanych odruchów i prymitywnych pociągnięć, które pogrążały kraj w coraz większy chaos bez wyjścia. Wreszcie ustala wszelką pomoc finansowa Ameryki, i Persja stanęła oko w oko z nieuchronną katastrofą. Zawrzała dramatyczna walka o władzę i ostatecznie Mossadek znalazł się w więzieniu. Następny rząd perski, generała Zahadiego, zawarł porozumienie z Anglikami.

POROZUMIENIE NAFTOWE

Działalność Anglo-Iranian w Persji opierała się na koncesji udzielonej przez rząd perski w roku 1933 na 60 lat. Bieg tej koncesji został przerwany przez uchwałę parlamentu perskiego z marca 1951 w przedmiocie nacjonalizacji przemysłu naftowego. Od tej chwili rząd perski stanął na stanowisku, że całokształt inwestycji i urządzeń przemysłu naftowego, stworzony przez koncern, stanowi własność państwa perskiego. Ustawa o nacjonalizacji zawierała mglistą klauzulę o odszkodowaniu, w praktyce jednak rząd perski usiłował sprowadzić jej wartość do zera, a prasa irańska żądała, aby od daty nacjonalizacji do chwili zupełnego wycofania się koncernu z Persji płacił on skarbowi perskiemu 75% swych dochodów brutto, osiągniętych na terenie Persji. Te fakty tłumaczą wielkie trudności załatwienia sporu, który mimo osobistych starań premiera brytyjskiego i prezydenta U.S.A. włókł się przez dwa i pół roku. Dopiero ostatnie rokowania, prowadzone przez osiem miesięcy, doprowadziły do porozumienia. Wyraża się ono w szeregu umów zawartych na 25 lat z ewentualnym trzykrotnym przedłużeniem po pięć lat. Podajemy poniżej tylko niektóre istotne punkty porozumienia, i to te tylko, które się wiążą z końcowymi naszymi wnioskami szerszej natury politycznej.

Przede wszystkim uderza sposób załatwienia sprawy kompensacji. Jej suma ustalona została w wysokości £25 milionów, płatnych równymi ratami rocznymi przez 10 lat, poczynając od stycznia 1957. Ponieważ wartość inwestycji angielskich w samym Abadanie wynosi przeszło £350 milionów, a straty na przymusowej beczynności przemysłu naftowego i na psuciu się beczynnych urządzeń technicznych wynoszą olbrzymie sumy — to ustalona suma odszkodowania ma charakter symboliczny tylko. Rząd brytyjski uznał jednak, że zarówno ze względów finansowo-gospodarczych jak politycznych warto na to się zgodzić raczej niż zupełnie się wycofać z tego kraju. Tak więc rząd brytyjski pogodził się z faktem, że przemysł naftowy na terenie Persji stanowi własność nie Anglo-Iranian, lecz National Iranian Oil Com-

pany, to jest towarzystwa czysto perskiego, które przejęło ten przemysł w myśl ustawy o nacjonalizacji.

Drugą rzeczą niezmiernie charakterystyczną jest to, że producentem dopuszczonym do kontynuowania prac dawnego koncesjonariusza jest nie żaden jednolicie narodowy koncern, jakim był Anglo-Iranian, lecz nowozałożone międzynarodowe Konsorcjum, do którego wchodzi: Anglo-Iranian z 40% udziałów, dalej Royal Dutch Shell z 14% oraz Gulf Oil Company, Socony-Vacuum, Standard Oil (New Jersey), Standard Oil of California i Texas Company — każde z tych towarzystw z 8% udziałów, wreszcie Compagnie Française des Pétroles z 6% udziałów. Nowe towarzystwa „wkupią się” do Konsorcjum, placąc koncernowi Anglo-Iranian 600 milionów dolarów. Współpraca tych wszystkich towarzystw odbywać się będzie tylko na terenie produkcji; sprzedaż dokonywana będzie przez każde z nich osobno.

Tak więc stoją dziś naprzeciwko siebie National Iranian Oil Company, uosabiający znacjonalizowany przemysł naftowy z jednej strony, i Konsorcjum, zwykły kontrahent handlowy z drugiej strony. Konsorcjum płacić będzie perskiemu National Iranian za całą naftę przez siebie eksportowaną, zaś National Iranian ze swej strony płacić będzie rządowi perskiemu podatek w wysokości 50% swego zysku. Przewiduje się, że w ciągu trzech pierwszych lat działania umowy skarb perski będzie miał z tego źródła dochód 150 milionów funtów. Ponadto National Iranian otrzyma w trybie uprzywilejowanym, po cenie kosztu, na wewnętrzne potrzeby kraju, naftę w granicach 12 i pół procent całego eksportu oraz we własnym zakresie prowadzić będzie prace na polach naftowych Naft - i - Shah oraz rafinerię w Kermanshah itd. W sumie oznacza to, że zysk netto z przemysłu naftowego przypada stronom: perskiej i zagranicznej w równych częściach.

Wreszcie — najbardziej kontrowersyjna sprawa kierownictwa przemysłem naftowym została rozwiązana w ten sposób: stworzone zostaną dwa towarzystwa, jedno dla poszukiwań i wydobywania ropy naftowej, drugie dla rafinowania jej. Każde z tych towarzystw będzie miało siedmiu dyrektorów, w tym dwóch mianowanych przez Persję i pięciu przez dane towarzystwo.

Powyższa umowa co do porozumienia naftowego ma być obecnie ratyfikowana przez Majlis (parlament perski). Jeżeli zostanie ratyfikowana, to w krótkim czasie nafta perska znów popłynie na rynki światowe. Wtedy o znaczeniu tego — z punktu widzenia ekonomiki krajów zachodnich oraz ich polityki w stosunku do Z.S.S.R. — napiszemy w jednym z dalszych przeglądów gospodarczych. Dziś byłoby to przedwczesne, gdyż nie ma stuprocentowej pewności, że „pokój naftowy” zostanie ostatecznie podpisany. Ale niewątpliwie jest już czas na to, aby uświadomić sobie, jakie nauki wynikają z tego wielkiego zatargu. Nafta perska okazała się bowiem dla obu stron — wielkim nauczycielem polityki.

NAUKI Z WOJNY NAFTOWEJ

Że Persja dostała bolesną nauczkę, to rzecz oczywista. Rozwój wypadków pokazał bowiem, że raczej świat może się obejść bez nafty perskiej niż Persja bez współdziałania świata. W okresie 1951-1954 Persja straciła wielkie korzyści gospodarcze, które byłyby jej udziałem, gdyby Anglo-Iranian pracował pełną parą. Dalsze straty Persji, nawet po realizacji porozumienia, są nieuchronne, bo trzy lata muszą upłynąć do chwili, gdy nowe Konsorcjum zdoła dojść do poziomu produkcji, która była przed wypędzeniem Anglików z Iranu. Dziesiątki milionów dolarów trzeba teraz włożyć w przemysł naftowy tylko po to, żeby mógł ruszyć z miejsca po długim zastoju — pieniądze te w normalnych warunkach mogłyby iść na potrzeby Planu Siedmioletniego. Persja i inne kraje Środkowego Wschodu nauczyły się, że historyczne slogany i maksymalne żądania polityczne — nawet w dobrej zasadniczo sprawie — nie zastąpią kapitałów obcych oraz fachowej pomocy technicznej i handlowej. Kraje gospodarczo zacofane — w całym świecie — zapewne jasniej niż dotychczas uświadomią sobie, że bez pomocy Zachodu nie zdołają podnieść poziomu swego życia gospodarczego i kulturalnego. Świadomość ta może w pewnej mierze stać się czynnikiem, ułatwiającym współpracę państw zachodnich co najmniej z krajami Środkowego Wschodu, które z bliska przyglądały się tragedii perskiej pod rządami demagoga. Można sądzić, że nie pójdą na marne doświadczenia Persji, która przy mądrzejszej polityce mogła była zabezpieczyć sprawę niezależności narodowej bez klęski gospodarczej. W każdym razie widać, że głos rozsądku brzmi dziś w Persji znacznie mocniej.

Ale i Zachód powinien przy tej okazji dużo się nauczyć. Jakkolwiek w buncie Persów przeciwko Anglii dużo było pierwiastków chorobliwych, a nawet bezsensownych, to jednak rdzeń dążeń perskich bynajmniej nie jest godny potępienia, a w każdym razie — wart zrozumienia. W ruchu tym, choć do obrzydliwości frazeologicznym i ekstremitycznym, ujawniają się pewne elementy odrodzenia w tym choćby sensie, że społeczeństwo perskie obudziło się z wiekowej apatii i poderwało do walki o niezależność narodową. Prawda, że tej niezależności nikt Persji nie odbierał, ale wskutek jaskrawych błędów angielskich powstała atmosfera, rewoltująca dumę perską, i to dziś — w epoce powszechnego wyczulenia na niezależność polityczną. Mossadek nie stworzył tego ruchu, skapitalizował tylko strach Azji wobec „obcych”, nieuczciwie ale skutecznie przerzucając na nich odpowiedzialność za nędzę ludności perskiej. Irańska partia komunistyczna Tudeh i reakcyjni właściciele ziemscy podsycali patologiczną politykę Mossadeka.

Na czym jednak, konkretnie, polegały błędy angielskie? Największy był ten, że rząd brytyjski nie docenił siły tego ruchu

i nie podjął środków, które — zastosowane w porę — mogły były zapobiec wybuchowi. Dla Persów było rzeczą szczególnie drażniącą, że w zarządzie koncernu bądź co bądź angielsko-irańskiego, operującego bogactwami naturalnymi Iranu, zatrudniającego irańską siłę roboczą, pracującego na irańskiej ziemi — Persowie nawet w przybliżeniu nie mieli tego wpływu, który im się słusznie należał. Danie im tego wpływu przed kilku laty mogło być jednym z ważnych środków spacyfikowania sytuacji. Persowie nie mogli strawić tego, że Anglo-Iranian więcej płacił podatku skarbowi brytyjskiemu niż wynosiły royalties plus podatki, płacone skarbowi perskiemu i że z grubsza biorąc aż połowa zysków Anglo-Iranian szła do skarbu brytyjskiego. Przy przewidywanej polityce można było ukształtować stosunek tych liczb bardziej na korzyść Persji, co z pewnością, w ostatecznym wyniku, kosztowałoby Anglię mniej niż jej obecna Dunkierka ekonomiczna w Persji. Persja przeprowadziła nacjonalizację przemysłu naftowego, co było nie gorszym jej prawem niż prawo Anglików do nacjonalizacji przemysłu węglowego. Ale rząd brytyjski ociągał się z uznaniem nieodwracalnego faktu dokonanego, a ówczesny premier Attlee sformułował swój stosunek do niego w sposób niekoniecznie harmonizujący z zasadniczymi poglądami Labour Party w sprawie nacjonalizacji. Rząd brytyjski, prowadząc swoją politykę nacisku na Mossadeka, raz oczekiwał, że Persja bez dochodu z nafty szybko skapituluje, to znów rozważał sprawę użycia siły. Oczekiwanie zawiodło, gdyż organizm gospodarczy Persji okazał się odporniejszy niż sądzono. Rzecz paradoksalna: jego prymitywizm to sprawił, zasilany zresztą dotacjami pieniężnymi U.S.A. w pewnych momentach. Zastosowanie siły było niemożliwe, gdyż jego implikacje i komplikacje polityczne na to nie pozwalały. Rząd brytyjski operował wciąż jednym tylko argumentem: nienaruszalnością zobowiązania perskiego, zawartego w koncesji 1933, udzielonej Anglikom przez rząd perski. Ale wszelkie legitymizmy i legalizmy są niczym wobec wielkich wypadków, na które można wpływać tylko odpowiednią polityką, nigdy zaś bezsilnym powoływaniem się na zwietrzałe paragrafy. Toteż ostatecznie rząd brytyjski przegrał, dając Persji w zawartym ostatecznie porozumieniu to, czego poprzednio odmawiał, plus cały szereg dodatkowych korzyści.

Gdy wmyśleć się w istotę porozumienia naftowego, to widać, że wszystkie zasadnicze idee perskie zostały w umowie uwzględnione. Kompensacja dla Anglików jest właściwie żadna, czyli że zasada nacjonalizacji została uznana i podkreślona w sposób aż nazbyt jaskrawy. Właścicielem i sprzedawcą ropy naftowej jest Persja a nie żaden obcy kraj. Konsorcjum jest międzynarodowe, a więc w pojęciu perskim wyłącza dominację jakiegokolwiek pojedynczego obcego narodu nad narodem perskim. Konsorcjum jest siłą techniczną i eksporterem a nie władcą. National Iranian Oil Company jest stuprocentowo perska, zaś w zagranicznych towarzystwach pomocniczych, powołanych do współpracy, Persowie mają swoich dyrektorów, przeto wpływ ich jest

istotny. Nowy klucz podziału zysków pomiędzy Persją i Konsorcjum oparty jest na parytecie. Poczucie moralne rządu perskiego jest zupełnie inne, gdy ma dochód ze sprzedaży własnej nafty niż było, gdy miał równy mu dochód z royalties, itd., itd.

Tak więc zasadniczym błędem rządu brytyjskiego było to, że odpowiednio wcześniej nie zgodził się na *iranizację* swego koncernu, która gdyby nawet nie usunęła na zawsze widma *nacjonalizacji*, to przecież zapewniłaby *pacyfikację* stosunków angielsko-perskich i wyłączyła trzyletnią przerwę w produkcji. Nie licząc się zupełnie z faktem, jak w zmienionym subiektywnym odczuciu Persów przełamują się dziś zasady starej koncesji naftowej, Anglia nie umiała się w porę wycofać z niektórych jej klauzul. Doświadczenia angielskie w Suezie i Abadanie mówią jednak, że są pewne wypadki, w których kto późno wychodzi sam sobie szkodzi.

Widzimy zatem, że aby robić interesy handlowe w krajach azjatyckich i w ogóle w krajach owdlańniętych zdeterminowaną wolą niezależności narodowej, nie wystarcza być tylko *businessmanem* w typie myślenia. Potrzebne są jeszcze trzy umiejętności. Przede wszystkim trzeba ubrać działalność gospodarczą w formy, przystosowane do ambicji narodowych, panujących na tych terenach. Po drugie, trzeba zdobyć się na przyznanie tym narodom odpowiedniego udziału w wyprodukowanym „bochenku chleba”. I wreszcie po trzecie trzeba mieć pewną umiejętność współżycia z autochtonami. Anglo-Iranian nie doceniał wagi tych rzeczy, przynajmniej typu emocjonalnego, choć niewątpliwie dawał Persji bardzo duże korzyści. Atmosfera moralnej eksterytorialności otaczała ten koncern, a postawa angielskich jego pracowników wobec miejscowej ludności była wyniosła. „Podobnie jak w Indiach, tak też w Persji, tragiczna cecha Brytyjczyka — uzewnętrznianie przezeń poczucia wyższości — przekreśliła wielkie dobro, które on uczynił”, pisał kiedyś korespondent londyńskiego *Economista*. Jest to wielka prawda psychologiczna. Tak jak sztaby wojskowe rozumieją dziś, że nie można mieć baz w kraju nieprzyjawnym, tak też przemysł musi zrozumieć, że nie może prosperować w obcym kraju, o ile jest otoczony powszechną niechęcią, która w każdej chwili może się przerodzić we wrogość. Ustalenie *modus vivendi* z miejscową ludnością jest jednym z warunków powstania pomyślnego *modus operandi* przemysłu.

Stanisław ZARZEWSKI

Przeгляд niemiecki

“Kombinat” górnośląski

Od paru lat rozwój ciężkiego przemysłu w Zagłębiu Polskim skupia na sobie coraz większe zainteresowanie opinii zachodniej, a przede wszystkim — niemieckiej. Ukazuje się na ten temat wiele artykułów w prasie fachowej, pracują tzw. biura studiów, a ostatnio ukazała się nawet książka specjalnie poświęcona temu zagadnieniu, pióra p. H. Seraphima (*), którego niektórzy Niemcy uważają za autorytet w sprawach polskich i w ogóle wschodnich.

Praca Seraphima zasługuje na omówienie nie tyle może z uwagi na wartość materiału informacyjnego, czerpanego przeważnie z prasy codziennej, ile z powodu tendencji, jakie się w niej bardzo wyraźnie przejawiają.

Zwraca uwagę przede wszystkim tytuł książki, dla którego naciągnięto całą teorię kombinatu. W Rosji słowa „kombinat” używa się tylko dla określenia zespołu wielu zakładów, połączonych w jednym przedsiębiorstwie. Nawiasem mówiąc nazwę tę noszą przedsiębiorstwa bardzo różnej skali, zarówno kombinat uralsko-kuźniecki imienia Stalina, który jest gigantem górniczo-hutniczym, jak przedsiębiorstwa usługowe, łączące chemiczne pralnie i zakłady zelowania butów! W każdym razie „kombinat” to przedsiębiorstwo, a żadnego przedsiębiorstwa pod nazwą „Górny Śląsk” nie ma ani w Polsce ani w Czechach.

Seraphim dorabia do przez siebie wymyślonej terminologii teorię kombinatu, jako narzędzia „mieszania narodowości” i komunistowania sproletaryzowanych i wyrwanych ze związków narodowych robotników. Prawda, że kombinat kuźniecki może odgrywać tę rolę wobec narodowości syberyjskich. Ale podobnie wygląda socjologia mas robotniczych we wszystkich okręgach wielkoprzemysłowych, wyrastających w sposób nie-organiczny,

a więc posługujących się masowo robotnikami różnych narodowości. Można to zastosować również dobrze do Zagłębia Ruhry, jak do Nordu czy Kuzniecka, ale właśnie nie do Śląska, który jest rzadkim w Europie przykładem zagłębia, wyrastającego stopniowo i organicznie w oparciu o miejscową ludność — od czasów po prostu przedhistorycznych. Jeżeli był na Śląsku kiedyś element napływowy, to był to element przedsiębiorców czy fachowców, Czechów, Włochów, Niemców, Anglików. Ilościowo wielkiej roli nigdy nie odgrywał, jeżeli zmierzonych Ślązaków wyłączymy.

Zobaczmy później do czego Seraphimowi jest potrzebna jego terminologia i dorobiona do niej teoria kombinatu, teoria sztuczności współpracy polsko-czeskiej, narzuconej przez Sowietów stosujące metodę „kombinowania” dla celów politycznych. Przypomnijmy jeszcze tylko, że w Rosji Sowieckiej nikt nie nazywa Zagłębia Donieckiego „Kombinatem”, a nazywa się je Zagłębiem: Don(ieckij) Bas(ien). Jeżeli w Kuzniecku jedynym przedsiębiorstwem górniczo-hutniczym jest Kombinat imienia Stalina, to można używać terminu kombinat Kuzniecki na określenie okręgu, ale w odniesieniu do Zagłębia Polsko-Czeskiego doprowadza to tylko do bałamuctw. Czeskie kopalnie w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim podzielono między trzy kombinaty, czyli na trzy przedsiębiorstwa. Takich przedsiębiorstw jest w Zagłębiu Śląskim kilkadziesiąt i te znowuż do kupy nazywa Seraphim tak samo „kombinatem”.

Seraphim twierdzi że przy tworzeniu kombinatów w Rosji bliskość lub odległość powiązanych ze sobą przedsiębiorstw „nie odgrywa najmniejszej (!) roli” (str. 15). Wydaje się nam, że odległość węgla od rud żelaza, czyli koszty przewozu odgrywają w gospodarstwie rosyjskim znacznie większą rolę, niż na Zachodzie. Dopóki nie zrozumiemy, w jakim stopniu odległość surowców od miejsc przerobu zmniejszają wartość bogactw naturalnych rosyjskich, dopóty nie będziemy z gospodarki rosyjskiej rozumieli wiele. Cóż mają Rosjanie zrobić, jeżeli nie mają, jak Francuzi i Niemcy, lotaryńskich rud tuż obok węgla Ruhry. Ale ta właśnie sytuacja jest raczej wyjątkowa!

Teoria „tworzenia kombinatu” zbiega się z tezą, że Okręg Śląski nie stanowi jedności geograficznej i historycznej. Teza ta jest po prostu śmieszna: Zagłębie obejmuje powierzchnię około 6.500 km. kwadratowych, o jednolitej formacji geologicznej, jako teren dawnego morza podsudeckiego. Brak granic naturalnych jeszcze o niczym nie świadczy. Drugą cechą wyodrębniającą Śląsk jest jego geograficznie kluczowe położenie u zbiegu trzech dorzeczy (Wista, Odra, Dunaj). Stąd też historycznie Zagłębie było jednością: gdy do Śląska należały księstwa siewierskie, zatorskie i oświęcimskie (czyli, używając języka dzisiejszego, Zagłębie Dąbrowskie i Krakowskie) oraz opawskie i cieszyńskie (czyli dzisiejszy okręg Karwiński i Opawski). Obszar zwany przez Seraphima „wielkim Górnym Śląskiem” jest po prostu historycznym Górnym Śląskiem.

(*) *Industrie Kombinat Oberschlesien, das Ruhrgebiet des Ostens*, Köln, Braunsfeld 1953.

W ogóle niemiecka wiedza historyczna o górnictwie i hutnictwie śląskim nie odznacza się wysokim poziomem, co oczywiście odbija się na historycznej części pracy Seraphima. Na literaturze niemieckiej na temat historii gospodarczej górnictwa i hutnictwa ciąży przekleństwo złych czynów. Mając do dyspozycji doskonale opracowane Abta z roku 1792 Niemcy trzymali je pod korem, bo ujawniało rzeczy niezgodne z „linią propagandy”. Nawet publikując źródła woleli z trzeciej ręki reprodukcje fragmenty jego rękopisu, spoczywającego we wrocławskim archiwum, niż przypominać jego istnienie. Tak samo postępowali z innymi archiwaliami, a także z informacjami *Schlesische Provinzialblätter* i innych źródeł drukowanych z XVIII wieku. Za to w XIX wieku usłużni urzędnicy spreparowali parę panegiryków ku pokrzepieniu ducha niemieckiego i odtąd wymyślone przez nich historyjki powtarzane są bez końca przez fabrykantów tez doktorskich, redaktorów rocznicowych *Festschriftów*, oraz patriotycznych broszurek, wydawanych przed plebiscytem i po plebiscycie, przed wojną i po wojnie. Nafabrykowano tego śmiecia tyle, że każdy autor może się bez trudu pochwalić bogatą literaturą przedmiotu, która razem nie daje prawie żadnej prawdziwej informacji. Dopiero w ostatnich dekadach ukazało się parę przyczynków, stojących na znośnym poziomie, a nawet odznaczających się pewnym obiektywizmem, ale są to rzadkie wyjątki, które do Seraphima widać nie dotarły.

Skutki tego stanu rzeczy są bardzo oplakane i historyczny rozdział książki Seraphima stanowi po prostu humorystyczną literaturę dla każdego, kto ma jakie takie pojęcie o przedmiocie. A więc na przykład gdy Śląsk przyłączono do Prus „produkowane żelazo było tak złej jakości (*schlechter Beschaffenheit*)... że początkowo zakazano jego wywozu do innych prowincji”.

Człowiek nie znający zagadnienia przejdzie nad tą informacją obojętnie. W rzeczywistości zahaczamy tu o podstawową trudność dla autorów patriotycznych broszurek o dobrym królu Fryderyku, bardzo kochającym Śląsk. Fryderyk miał swoje królewskie huty w starych prowincjach pruskich (*Zanzhausen*) i bardzo się bał, że żelazo śląskie zrobi mu konkurencję, bo było lepsze od produkowanego w jego hutach. Nie tylko więc zakazał jego przywozu, ale także zgodnie ze swą polityką kolonialnej eksploatacji Śląska nałożył kupcom wrocławskim przymusowy kontyngent zakupu żelaza z własnych hut. Jako pretekst zakazów służyła kiepska jakość żelaza produkowanego przez parę dolnośląskich dymarek w minimalnej ilości — stanowiącej drobny ułameczek (może dwa procent) produkcji wielkich pieców Górnego Śląska. Blisko 40 lat trwało przekonywanie starego Fryca, że żelazo z Górnego Śląska może wyprzeć import żelaza szwedzkiego, zanim uległ on tym perswazjom. Żeby napisać prawdę należałoby ujawnić cały eksploatacki system Fryderyka Wielkiego na Śląsku — więc powtarza się stare bajeczki — Seraphim cytuje dwu ignorantów, Folwarcznego i Diekmanna, na poparcie swej tezy. Ale choćby Heinitz stojący na czele de-

partamentu górniczego w swoim „*Mémoires sur les produits du règne minéral dans la monarchie prussienne*” wyjaśnia sprawę całkowicie. W ogóle na temat stosunku Fryderyka do Śląska pisze też obiektywnie G. Keil (*Das Niederschlesische Industriegebiet*, Berlin 1935, str. 17-18) lub G. Felsch (*Die wirtschaftspolitik des Pr. St. bei der Gründung des Oberschles. Kohlen u. Eisenindustrie*, Wrocław, 1919). Oczywiście łatwiej jest znaleźć w literaturze bzdury o złej jakości żelaza śląskiego, niż prawdę o polityce Fryderyka Wielkiego wobec Śląska, która przeziiera jednak z każdego współczesnego dokumentu!

W dawniejszą przeszłość Seraphim przezornie się nie zapuszcza, ale to co pisze na temat wieku XVIII i XIX jest przeważnie błędne. Trudno nawet się dziwić, że szlachcic sandomierski Jerzy Giza występuje w charakterze wrocławskiego kupca Georga Giesche (sam się tak nie nazywał) — zajmował się handlem we Wrocławiu, więc niech mu będzie. Ale już nie można twierdzić, że hutę w Ozimku założono poza starym okręgiem przemysłowym, skoro dolina Małej Piany była niemniej ważną częścią starego okręgu hutniczego niż dolina Kłodnicy (str. 35), albo że założenie huty w Szczecinie (jedna z najlepszych spekulacji Guidona Donnersmarcka!) nie było uwienczone powodzeniem! Nie można też zaliczać do koncernów feudalnych majątku Goduły, który przeszedł później na Schaffgotschów, skoro właściwie był to *jedyny* koncern powstały w sposób kapitalistyczny. Wszak Goduła, który go stworzył, nie był feudałem, lecz chłopem z Kieleckiego, a Schaffgotschowowie „wzlenili się” w ten koncern i byli arystokratami dość świeżej daty, zresztą pochodzącymi od górnika Schaffa Gotscha. Błędem jest także przypisywanie wielkiego znaczenia ustawie górnicznej pruskiej z roku 1865 — miała ona duże znaczenie dla Ruhry, a na Śląsku zmieniła niewiele i raczej na niekorzyść przez impuls jaki dała Zagłębiu Ruhry. Oczywiście w broszurkach patriotycznych piszą tak jak Seraphim.

Szczytem wszystkiego są jednak informacje o Zagłębiu Dąbrowskim: górnictwo zainicjował tam kapitał niemiecki (str. 36) a na ten temat... nie ma żadnej literatury, poza jakąś broszurą niemiecką o H. Mauve. Autorzy niemieccy uważają, iż na wszystko można sobie pozwolić gdy się pisze o sprawach polskich: od Łabęckiego po Gąsiorowską łatwo na temat Zagłębia Dąbrowskiego podać kilkadziesiąt wartościowych pozycji bibliograficznych, ale Seraphim zamiast napisać, że tej literatury nie zna, pisze po prostu, że jej nie ma w ogóle. O Lubeckim nie słyszał.

Niektóre z tych omyłek mają może swoje podłoże w tendencjach, inne wynikają po prostu z nieznajomości przedmiotu i z bardzo marnego poziomu niemieckich opracowań, na których się Seraphim opiera. Rzecz charakterystyczna, że Niemcy, którzy uważani są za twórców szkoły historycznej w ekonomii, nie potrafili właściwie stworzyć żadnej prawie poważniejszej literatury historyczno-gospodarczej na tematy górnictwa i hutnictwa ślą-

kiego. Przypuszczam, że wynika to z dwu przyczyn. Po pierwsze Śląsk był dla Niemców zawsze jakimś marginesem, rodzajem zesłania, gdzie można było zrobić karierę, ale gdzie nic poza tym nie ciągnie. Literaturę robiło się na zamówienie ze z góry określonej (przez państwo lub koncerty) tendencją, a poważni pracownicy nauki nie chcieli takich „społecznych zamówień” wykonywać. Na przykład najbardziej znany historyk gospodarczy *górnictwa* Gothein, był docentem we Wrocławiu a o Śląsku nie pisał nic!

Zatrzymam się nad wywodami historycznymi Seraphima, by zwrócić uwagę na to źródło jego istotnych błędów w ocenie współczesności. Uparta obrona fantastycznej tezy, że w ogóle Polacy nauczyli się górnictwa i hutnictwa od Niemców prowadzi oczywiście do wniosku, że teraz musiał Niemców zastąpić kto inny. Najpierw dwa fragmenty o utracie personelu niemieckiego przez hutnictwo i górnictwo:

„Wysiedlenie niemieckiej ludności w latach 1945-1947 zmniejszyło (liczebność) robotników fachowych i technicznego oraz gospodarczego personelu kierowniczego... Ponieważ jednak zakłady rozporządzały... warstwą robotników... produkcja mogła iść dalej...” (str. 46).

„Wprawdzie wydalenie ludności niemieckiej zmniejszyło substancję siły roboczej, ilość robotników wysokokwalifikowanych oraz kierowników gospodarczych, ale w każdym razie, gdy się bierze pod uwagę cały obszar wielkiego Górnego Śląska, większa część robotników pozostała na miejscu” (str. 71).

Widać tu pewne zakłopotanie, bo trudno zaiste bronić tezy, że bez niemieckiego personelu kierowniczego, z którego spływały na Śląsk dobrodziejstwa, wszystko musi stanąć. Można się jednak pocieszyć ekspertami sowieckimi, których rolę na Śląsku Seraphim niezgodnie z prawdą przejawia.

„Wielkie przedsiębiorstwa kierowane są na ogół przez sowieckich dyrektorów” — pisze Seraphim, choć jest to oczywiście nieprawda. Urządzenia huty Bieruta w Częstochowie dostarczone były wyłącznie przez Sowiety (str. 57) co jest też nieprawdą, bo właśnie huta Bieruta nie ma wcale urządzeń sowieckich.

20.000 robotników Niemców ze strefy wschodniej zaangażowano na kontrakty terminowe w roku 1952 do pracy na polskim Śląsku. „Nie leży poza zasięgiem możliwości (!), że będzie się dążyć do spowodowania takiego samego ruchu powrotnego także dla czeskiej części obszaru kombinatu. Ale nie można oczekiwać rozstrzygającego zlikwidowania w ten sposób braku robotników fachowych”.

O personelu sowieckim pisze Seraphim na str. 75: „Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że ZSSR będzie także w przyszłości dostarczać wydatnego kontyngentu kierowniczego personelu technicznego i gospodarczego w okręgu przemysłowym wielkiego Górnego Śląska. Wspomniano już o dotychczasowym narzuceniu sowieckich doradców, rzeczoznawców, konstruktorów,

nadzorców, inżynierów i kierowników ruchu... Tak więc przyszły kombinat będzie wyraźnie kierowany przez siły sowieckie”...

I dalej:

„...,Jeżeli Sowiety będą popierać napływ robotników przemysłowych do tego obszaru z krajów Europy południowo-wschodniej to Górny Śląsk stanie się swojego rodzaju tygłem do mieszania narodów satelickich”.

Tu już Seraphim pomieszał wszystko i popuścił wodze fantazji. Jest trochę techników sowieckich, niemieccy robotnicy może zostaną (tymczasem już odjechali), a nie wykluczone, że przyjadą Niemcy na Śląsk czeski, a robotnicy z południowo-wschodniej Europy na cały obszar górnośląski. Ma to dowodzić, że Śląsk spełni wymyśloną mu przez Seraphima rolę „tygla, mieszającego narody i sowietyzującego je”. W taki sposób można postawić całą rzeczywistość na głowie, zapominając o tym, że Śląsk jest właśnie, jeśli idzie o narodowy skład robotników, najbardziej jednolitym Zagłębiem węglowym w Europie. Polacy na polskim Śląsku, Czesi z domieszką Polaków na czeskim.

Chodzi o kilka celów propagandowych równocześnie: najpierw wykazać, że Polacy sami nie mogą sobie dać rady z powodu braku personelu kierowniczego, potem że zabraknie im nawet robotników, wreszcie, że powstanie centrum sowietyzacji, a w ogóle cały problem jest międzynarodowy i bez ekspertów, rzeczoznawców i doradców, Polacy i Czesi sobie z nim nie poradzą.

Seraphim martwi się nawet o przyrost ludności w Polsce, ale w innym znaczeniu niż to myśli czytelnik. Ludzi zabraknie. To że teraz jest duży przyrost nie gra roli, bo obecnie „wchodzą w pracę produkcyjną roczniki 1937-1945, przy których naturalny przyrost ludności w obu krajach wynosi około 10 o/oo. Skłonni jesteśmy raczej przypuszczać, że przyrost naturalny w rocznikach 1937-1945 w chwili gdy Seraphim pisał swą pracę wynosił równo zero, a teraz może się tam parę dzieci urodziło niepełnoletnim kobietom (do 17 lat) na terenie całej Polski i Czechosłowacji! Ale Seraphimowi chodzi o co innego, umyślnie pomieszał terminologię. Chce powiedzieć, że roczniki 1937-1945 są *nieliczne* i wykazuje to przy pomocy stopy przyrostu naturalnego całej ludności. Wiadomo, że przyrost naturalny jest wynikiem zliczenia zgonów i urodzeń, może być mały mimo dużej liczby urodzin. Przypomnieliśmy mu już kiedyś, że ilość urodzin w Polsce podczas wojny była spora, co wyjaśniły badania prowadzone w kraju. Przyrostu ludności nie było po pierwsze wskutek złych warunków zdrowotnych ale przede wszystkim wskutek tego co Seraphim nazywa „stratami okupacyjnymi i wojennymi”, a także wskutek „wyszczerzenia i *emigracji* (sic!) Żydów”. Ale owe straty biologiczne obejmowały poza Żydami, chętnie to przyznajemy, w większym stopniu starsze roczniki, gdzieś od 12-go roku życia, niż dzieci. Dzieci tylko wyjątkowo, na przykład w „Samoscher Gebiet” (Okręg zamojski) przy jego „regermanizacji” (Wiederverdeutschung). Widzimy więc, że stopa przyrostu lud-

ności nie mówi *nic* o liczebności roczników, które podejmują pracę produkcyjną. Wydaje mi się rzeczą absolutnie wykluczoną, by autor tego nie rozumiał.

Rzecz jasna, że w Polsce presja na ściąganie ludności do przemysłu i w związku z tym nacisk na kolektywizację będą trwały, ale jest to stałe zjawisko w systemie komunistycznym, dla którego postępy ciężkiego przemysłu nigdy nie będą wystarczające. Jeśli się chce jednak udowodnić, że brak robotnika doprowadzić musi do sprowadzania go z zewnątrz, to należałoby wskazać taki teren rekrutacji, w którym bilans demograficzny w zestawieniu z bilansem potrzebnych sił robotniczych przedstawia się korzystniej niż w Polsce. Czy ma być nim strefa sowiecka Niemiec, gdzie liczba urodzeń jest wyjątkowo niska? Bo inne kraje „ludowo-demokratyczne” mają podobną sytuację jak Polska!

Daliśmy tu próbkę łamańców autora, mających uzasadnić jedną z tez jego pracy: że Polacy i Czesi sami nie mogą sobie dać rady ze Śląskiem. Teza ta mogła być postawiona tylko przez człowieka, nie znającego i nie rozumiejącego historii Śląska, który był rzeczywiście tygłem do przerabiania „Ślązaków” („różniących się pod względem krwi i języka od ludności Galicji i Królestwa Kongresowego”, Seraphim, str. 19), na Niemców i z tego powodu przestrzegał zasady awansu społecznego *tylko dla zniemczonych*.

Ten proces właśnie — a nie jakiś przyrodzony geniusz wyższej rasy — prowadził do zniemczenia kadr kierowniczych. To się skończyło raz na zawsze.

Po drugie Śląsk zawsze opierał się o robotnika polskiego, zarówno Ślązaka, jak przybysza z innych ziem polskich. Układ stosunków był nawet taki, że Ślązacy emigrowali na zachód, bo znali język niemiecki, a na ich miejsce przybywali robotnicy z innych zaborów. Wstrzymanie migracji zachodniej przy niezwykle silnej dynamice biologicznej stwarza rezerwy, które i pokryją straty wojenne i umożliwią dalszą rozbudowę okręgu śląskiego, czego nie można powiedzieć o Zagłębiu Ruhry w Republice Związkowej.

Rozbudowa ta jest oczywiście wywołana sowiecką polityką zbrojeniową, ale nie wszystko co się robi w okręgu śląskim i dookoła niego jest „sztuczne”. Tu znów niezrozumienie historii odbija się na tezach Seraphima. Całe stulecie XIX było w rozwoju Śląska czymś sztucznym. Podzielenie Śląska między trzech zaborców (przypomnijmy, że Dąbrowa i Jaworzno to też historyczny Śląsk) uniemożliwiało racjonalną gospodarkę. Rudy częstochowskie były eksportowane „zagranicę” do odległych o 30 klm. hut Górnego Śląska. Koks z rybnickiego czy karwińskiego węgla był eksportowany do hut w Sosnowcu, ten ostatni nawet „transzytem” przez trzecie państwo. Kruchy i mało kaloryczny węgiel jaworznicki wożono daleko koleją, a twardy i wysokokaloryczny węgiel z okręgu centralnego spalano pod kotłami elektrowni na miejscu. Związanie trzech dorzeczy kanałami nie mogło dojść

do skutku, bo było wielkim zagadnieniem międzynarodowym, wymagającym uzgodnienia przez Berlin, Petersburg i Wiedeń, a bez wielkiej przesady powiedzieć można, że przekształciłoby ono oblicze gospodarcze Europy Środkowej. Borsig robił lokomotywy ze śląskiego żelaza i na śląskim węglu w Berlinie. Można by całymi stronami wyliczać dziesiątki podobnych nonsensów ekonomicznych, wynikających z podziału Śląska i jego gospodarczej separacji od zaplecza. Położenie Śląska na samym krańcu języka pruskiego, wysuniętego między ziemie monarchii Austro-Węgierskiej, a ziemie państwa carów, stworzyło taką sytuację, jaka istniałaby np. w Ameryce gdyby bogate pokłady węgla leżały na Alasce. Rzecz jasna byłyby one upośledzone na rzecz położonych bardziej korzystnie wobec amerykańskich ośrodków konsumpcji.

Sowiety wyzyskują Śląsk dla swoich celów, co do tego nie ma między nami różnicy zdań. Ale błędny jest pogląd, jakoby w polityce intensywnej rozbudowy Śląska i jego dalszego zaplecza na zasadach współpracy i wzajemnego uzupełniania się krajów przyległych, w pierwszym rządzie Polski i Czechosłowacji, było coś sztucznie z zewnątrz narzuconego, bez liczenia się z kalkulacją gospodarczą czy przewozową.

Wprost przeciwnie: Sowiety dostrzegły (zresztą każdy znający zagadnienie o tym wiedział od dawna), że istnieją możliwości osiągnięcia wielkich korzyści gospodarczych przez rozbudowę okręgu śląskiego i korzyści te zmobilizowały dla siebie. Hitler chciał zrobić dokładnie to samo, nie wyłączając kombinacji węgla śląskiego z rudami ukraińskimi. Seraphim sam cytuje *Frankfurter Zeitung* z 1952 roku, która o przerobie rud ukraińskich na Śląsku pisała: „Współpraca górnictwo-hutnicza śląsko-ukraińska jest wprawdzie wynikiem nowej sytuacji politycznej na wschodzie, ale opiera się przecież na naturalnych związkach geograficzno-gospodarczych”.

Nie sądzę, by ta współpraca musiała oznaczać „włączenie państw satelickich do gospodarstwa sowieckiego”. To już zależy od układu stosunków politycznych, ale w każdym razie związek istnieje raczej między ziemiami narodów ujarzmionych, a nie między nimi i ziemiami rosyjskimi.

W pewnym sensie rozumie to też Seraphim, który naturalnego związku gospodarczego nie chce rozbijać. Oto co pisze na ten temat:

„Rozdzielanie obszaru wielkiego Górnego Śląska i przywracanie dawnych granic, dzielących jednolity obszar gospodarczy, nie może być celem zachodu. Skądinąd planowane związanie tego potencjału gospodarczego z sowieckim oznacza, że dąży się do ostatecznego wyrwania tego okręgu z całości ogólnoniemieckiego obszaru gospodarczego. Na dawnym terenie niemieckiej kultury i w dawnych granicach Rzeczy ma powstać ośrodek siły gospodarczej w ręku obcym. Jego rozwój w porównaniu z Niemcami Zachodnimi wykazuje błyskawiczne wznoszenie się ku górze.”

Na uzasadnienie tej nieco przesadnie sformułowanej tezy cytuję Seraphim dane o wydobywaniu węgla i produkcji stali (w milionach ton):

WĘGIEL:

	Niemcy Z.	Wielki G. Śląsk
1913	135	72
1952	123	93
1953/5 plan		113

STAL SUROWA:

	Niemcy Z.	W. G. Śląsk
	17	3
	11	6
		7

W cyfrach tych, powiada Seraphim, przejawiają się zasadnicze przemiany, które „postawią całą gospodarkę ogólnoniemiecką przed bardzo zasadniczymi pytaniami”.

Na końcu znajdujemy stwierdzenie znanego faktu: dodany do potencjału Związku Sowieckiego potencjał Śląska przesuwa równowagę między Zachodnią Europą a Rosją na rzecz tej ostatniej. Cała książka Seraphima stara się wykazać, że jedyna alternatywa jaka istnieje, to albo „Wielki Górny Śląsk” w ramach bloku sowieckiego, albo tenże Śląsk w ramach „ogólnoniemieckiego obszaru gospodarczego”. Prawdopodobnie ta teza ma obrzydzić Polakom alternatywne rozwiązanie. Na szczęście jest jeszcze trzecie rozwiązanie, które wynika logicznie i z historycznego rozwoju i z naturalnych warunków: regionalna federacja we wspólnocie europejskiej.

W. ZALESKI

P.S.: Niezawodny współpracownik Seraphima, Gerhard Fischer, sporządził kilkadziesiąt wykresów i map z granicami Niemiec z 1914 roku — jak zwykle. Donbas umieścił, dla rozmaitości, nad Dnieprem.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.

W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.).

Redakcja, administracja, drukarnia:

MANNHEIM-SCHCENAU, Gendarmerie Kaserne

Najnowsza historia Polski

Kombatantki

Jeszcze 22 września, na pięćdziesiąty trzeci dzień powstania, kołatał się do Rosjan stojących za Wisłą. Generaliści, dowodzący obroną Warszawy, depeszą radiową sugerował im uderzenie, ofiarowując przy forsowaniu Wisły współdziałanie z puszczy Kampinoskiej, Żoliborza, Śródmieścia i Mokotowa tzn. ze skrawków pozostałych w naszych rękach. Depesza została odebrana, potwierdzona i bez odpowiedzi.

Że Zachód nie da pomocy także już było jasne. Długa noc leżała na upatrzonym dla zrzutów miejscu krzyż sformowany z milicjantek P.P.S. Na powitanie samolotu miały zapalić latarki. Ale krzyż leżał czarny do świtu.

Wreszcie przed czterema dniami, w biały dzień, huczące za chimurami niebo poznało się kolorowymi spadochronami. Mimo ognia klęczeliśmy wśród krzyży, modląc się. Ale to były tylko zasobniki. Wiatr przewiał łagodnie rozpaloną Warszawę i pozgarniał je ku Niemcom.

Na próżno kołatałyśmy do autorytetów moralnych świata:

Ojciec Święty — radiowałyśmy w trzecim tygodniu — my, kobiety, walczyliśmy..., bronimy się już trzy tygodnie... Warszawa jest w gruzach. Niemcy mordują rannych w szpitalach. Kobiety i dzieci pędzą przed czołgami. Nasi synowie, mężowie i bracia, walczący o wolność, nie są uważani za kombatantów. Świat nie chce wiedzieć o naszej walce. Jedyne Bóg jest z nami.

We ask you why are we not receiving help from the Allies? — radiowałyśmy w piątym tygodniu do kobiet anglosaskich — walczyliśmy w 1939 roku, wiernie przetrwaliśmy w walce pięć lat, a teraz od czterech tygodni walczy Warszawa ostatkiem sił na ruinach miasta. Czternastoletnie dzieci walczą na barykadach. Słemy wam S.O.S.

Our British and American sisters — answer!...

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Nie odpowiedział Wschód, nie pomógł oręż Zachodu, milczały autorytety moralne.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy zdani na siebie.



Byłam zastępczynią kierowniczką P.Ż.R. (Pomoc Rannemu Żołnierzowi).

W tym dniu nic nie zostało z rozbudowanego planu szpitalnego. Składy Polskiego Czerwonego Krzyża, których nie pozwolono nam dekoncentrować, zgorzały; padły szpitale Św. Ducha, Ujazdowski, padły szpitale prywatne, lecznice. Improwizowałyśmy drobne szpitale, teraz przydały się ciulane myszowym sposobem, przechowywane po piwnicach, po prywatnych mieszkaniach opatrunki, papierosy, wory z kaszą, z cukrem, z mąką, z sucharami.

Jeszcze kiedy urządzałyśmy na sto łóżek szpital w szkole Staszica, wkraczałyśmy z gotowymi napisami: „Sala Operacyjna”, „Świetlica”, „Biblioteka”. Kierowniczka kuchni wieszała ostatni rondel na schludnych półkach. Na chwilę błysnął szpital.

Wkrótce przemaszerował z rannymi na noszach pod czczą fanaberią flag z Czerwonym Krzyżem tak wymuskany jeszcze wczoraj, dziś rozbity, szpital maltański.

Zaraz za szpitalem przyszedł ogień. Zapadła w gruzy właśnie poświęcona kaplica. Mrowiłyśmy się z noszami ku piwnicom, gmach się walił, niesliśmy ich daleko, aż do sklepu Wedla na Wilczej, kładliśmy na gazetach, myślałyśmy co robić, nim noc minęła, urządziłyśmy nowy szpital na Marszałkowskiej 77.

Na pracę do tego szpitala biegłyśmy połączonymi piwnicami, przelazami w murach, przekopem pod ulicą, przebiegami przez ostrzeliwane miejsca. Przed skokiem przez te miejsca trzeba się było czaić, czekać na znak. Jeszcze w osłoniętych miejscach dyżurne, zwykle starsze kobiety, udzielały wskazówek, częstowały herbatą. Przedwczoraj przebiegała szczęśliwie Helena Sujkowska, żona geografa i — pocisk ją trafił na podwórzu szpitala.

Wczoraj idąc piwnicami, spostrzegłam kobietę w skurczach porodowych. Przeniosłyśmy ją do szpitala. Potem omawiałam z aktorem program koncertu na jutro.

„Podwieczorki przy Muzyce” od początku były urządzane co tydzień i w tej marnej ostatniej resztkę szpitala chorzy nie chcieli się ich wyrzec. Muzyk wydebił na aktorze muzykę poważną.

A dzisiaj szłam z naszego punktu na Lwowskiej 1 (z którego teoretycznie zarządzałyśmy „siecią szpitali” całej Warszawy) na odprawę decydującą — bo już nie było czym rannych żywić.

Punkt na Lwowskiej, wysunięty na Pole Mokotowskie, przez które strzelają Niemcy, stoi przynajmniej w słońcu i w oddechu powietrza. Kiedy wydobywam się z głębin piwnicznych ku temu podwórku, na którym wczoraj zginęła Helena Sujkowska — szpital „chodzi”, jak się mówiło w gwarze warszawskiej, jego

ściany drżą i chwieją się pod ciężkim ogniem. Chorzy zwleczeni do piwnic. Odprawa odbędzie się w przyległym domku drewnianym, przeznaczonym na bibliotekę szpitalną. Toteż chwilowo nie ma w domku dziewczynin z myślami warkoczami, pracownice wypisujących katalogi kłamrowe i roznoszących po łózkach książki z kajetem pokwitowań. Bo domek przepelny jest „Peżetkami” (Pomoc Żołnierzowi), wezwanymi na odprawę. Odprawę zarządził szef sanitariatu, dr Jur. Biegnę po niego, widzę położną wczoraj dostawioną. „Czuję się znacznie lepiej” — mówi — „czeka mnie jeszcze poród”. — „Ależ pani ma śliczną córeczkę!” Poszła na stół nieprzytomna, poród odbył się poza jej świadomością. W szarej piwnicy wąty uśmiech rozjaśnia jej delikatną młodość. Już wiemy, że jej mąż poległ, odpieramy czarny odmet wzbierający nad płomyczkiem tego uśmiechu.

Dr Jur kończy rozmowę z przełożoną: „Są zebrane? Zaraz przyjdę”.

Na górze miota drewnianym domkiem i zebranymi dziewczętami. Młoda aktoreczka wyjmując z kartonu śliczną bluzeczkę i przypasowuje przed lustrem. Jej narzeczony poszedł na odcinek, powiedział: „Na pewno wrócę”. Jest więc zupełnie szczęśliwa. Od tej cudnej bluzeczki z naiwną koronką udziela się Peżetkom spokój.

Dr Jur — młody, energiczny — mówi: „Wiem, że Peżetki potrafią cuda. Musicie — podkreśla z naciskiem — wyżywić szpitale jeszcze przez sześć dni.

— Jak? — pytamy struchlałe.

Patrzę w plan miasta. Przydzielam domy. Wysuwają się po dwie, pójdą po ludziach.

Wyszły. Wyszli doktor. Ogień przesunął się. Aż cicho. We drzwiach coś chrzęści, wsuwa się para warkoczyków.

— Czemu nie siedzisz w piwnicy.

— Ja nie jestem szczer piwniczny — nadąsana buzia zabiera się do swoich katalogów kłamrowych (*).

Patrzę na wąskie ramionka pochylone nad pisaniem. Ramionka są krnąbrne „ceterum censeo”. Przypominam sobie wybuch wojny, kiedy w Przysposobieniu Wojskowym Kobiet w czasie nalotu kazano wszystkim zejść do schronu. Kiedy lustrowałam, czy rozkaz wykonano, na podłodze zobaczyłam dziecinne niewyformowane, ale tak samo krnąbrne, jak te tu ramionka, tydeczki: ich właścicielka z wielką starannością kaligrafowała — *Wejście bez meldowania wzbronione*.

Taka dwunastoletnia dziewczynka biegła z meldunkiem przez Starówkę kruszoną bombami i ogniem ciężkiej artylerii, wołając z płaczem: „Ja jeszcze jestem dziecko, ja się boję”.

Cisza i ta dziewczynina, która na mnie nie zwraca uwagi i ten pozostawiony kartonik z bluzką, grzecznie obwiązany ko-

(*) Harcerki zgrupowane w Szarych Szeregach liczyły ponad 4.000 dziewcząt powyżej 15 lat, zgrupowanych w około 250 miejscowościach. Pracowały w łączności i w sanitariacie.

lorowym sznurkiem powodują, że nagle odczuwam odpływ energii. Chyba to nie dlatego, że jestem głodna. Chowałam swoją porcję „plujki” dla Stasia. Przyszedł z oddziałkiem kanałami z Placu Narutowicza i był bardzo czupurny, ale miał szesnaście lat. Obsadzili barykadę przed naszym punktem na Lwowskiej. Chłopak wieczorami się wślizgiwał, jadł łapczywie, bardzo chwalił: „Dobre było — proszę pani”. Kierowniczką kuchni w gmachu komendantury na Lwowskiej wysłedziła te praktyki i donosiła Stasiowi od siebie. Dziś świtanie zaalarmowała: „Proszę pani, Staś śpi na barykadzie”. Pobiegłyśmy. Chłopak siedząc spał i ręka na broni świeciła bezradnie w ukośnym słońcu. „Wstawaj, synu, jesteś na warcie”.

Nie, to nie głód powoduje ten odpływ energii. Nie śmierć p. Sujkowskiej, tyloletniej towarzyszką pracy. To raczej ten kartonik czekający na radosne spotkanie i ten uśmiech matki, która ma pokazać swe pierwotne mężowi. A przecież ten wąty domek, ta nikła ruina szpitala idzie nie ku życiu, a pędzi po nieubłaganie wykreślonej paraboli do zguby. Między początkiem tej paraboli, znaczoną nieustępliwością tych tydeczek, a jej — chyba kresem — znaczoną krnąbrnością wciąż wiernych, wciąż ufnych ramionek tego podlotka — jakież przeżyłyśmy, my kobiety, pięć lat?

Wieszałyśmy bieliznę po kółkach pokojowych egzystencji, a kiedy to przyszło, nie rzuciłyśmy się na jeden rozkaz na stanowiska — tylko do każdej przyszła ta chwila oddzielnie.

Pamiętam taką chwilę dla siebie. Przed dziewiątą rano pojawiły się „budy” na Żoliborzu. Obskoczyli wszystkie wyloty, wyciągali mężczyzn z wielkich gmachów spółdzielczych, z bloku „Szklanych Domów”, z domu „Pod Matką Boską”. W powietrzu stał krzyk odciganianych za włosy kobiet. W naszym domu wyprawiliśmy mężczyzn na płaski dach, odciągnęłyśmy drabinę. Na szczęście do nas nie doszli. Po łapance pobiegłam do znajomych w osaczonym bloku. Młoda żona architekta szalała. Już siadała do tramwaju, kiedy go wzięli. Podniosłam z łóżeczka trzyletnie dziecko, podawałam jej: „Musi pani żywić dziecko, posyłać mężowi paczki”. Pieszczonego kobietą spojrziała półprzymotnie: „Jak?” Na tejże klatce schodowej wzięto ojca z dwoma synami. Gdy wyszli, chłopcy rozbiegli się. Strzelono, uszli. Teraz doszła wiadomość, że jeden jest ranny, trzeba zabrać. Blok cały paruje nieszczęściem wyższym ponad możliwości tych kobiet.

Wówczas poszłam do patronatu Opieki nad Więźniami, w którym pracowałam do końca.

Patronat istniał z przedawnych filantropijnych czasów sprzed obu wojen i Niemcy pozwalali mu działać jako organowi legalnej R.G.O. (Rady Głównej Opiekuńczej). Pod tą przykrywką działały się różne rzeczy. Każda łapanka dawała przypływ interesantów. Sąsiedzi dawali znać, że pozostały same dzieci. Pie-

kłyśmy suchary dla więźniów oświęcimskich, robiłyśmy swetry, zbierały ubrania, lokowały dzieci. Nasza delegatka miała wstęp na Pawiak, na którym wiele można było robić, póki Niemcy nie rozstrzelali Polek strażniczek. Przed samym powstaniem Niemcy oddali Patronatowi wszystkie dzieci, które tam przebywały z aresztowanymi matkami. Pamiętam małego czteroletniego Jureczka, który urodził się na Pawiaku. Pamiętam jak szalał na widok konia i drzew. Rozumiem co znaczyła fuksja, którą otrzymał dr Korczak, kiedy dobrowolnie poszedł za dziećmi żydowskimi do ghetta. Dziękował mi za tę fuksję więcej niż za cokolwiek bądź innego.

Kwiatów nie mogłyśmy posyłać na Pawiak, ale na Boże Narodzenie wszmuglowałyśmy miniaturowe choinki i opłatki, a na Wielkanoc posypał się na więźniów deszcz wesółych pisanek. Widać tak były potrzebne, jak teraz koncerty tym biedakom, których nie było ani czym opatrywać, ani czym karmić.

Kwiatów nie mogłyśmy posyłać, ale z zezwolenia kościoła wystanniczki szły na Pawiak z torebkami komunikantów uwieszonymi na szyi. Równocześnie ksiądz siedzący w konfesjonale w kościele udzielał rozgrzeszenia na odległość.

Naszim wystanniczkom udawało się wślizgnąć do sortowni ubrań na Pawiaku; z krwi przywartej odcyfrowywały losy; czasem znajdowały przeoczoną kartkę, rachunek ze sklepu, adres.

Na dworcach miałyśmy dyżury. Dawały znać, kogo wywołać. Tak przyszła wiadomość, że wywołać matkę i córkę, które z mego domu zabierały jeńców angielskich. Była jesień, były bez płaszczy. Ale kierowniczką naszych składów odmawiała płaszczy, bo z takiej sprawy idą już tylko na śmierć. Na moją interwencję płaszcze otrzymały, potem kierowniczką przy podobnych okazjach je wymawiała. Bo nie było tych środków, które by sprostwały szeroko rozlanemu nieszczęściu. Więc słyśmy z kwestami po domach, gdzie nikt o nic nie pytał, dawano skwapliwie co kto mógł i pośpiesznie zamykano drzwi. Każda naiwna inicjatywa wbierała w ogromne żagle współudział ludzki. Obrączki w formie kajdan sprzedawaliśmy masami. Kopia Obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej, zrobiona z oryginału, który wyrobił w cynfolii więzień na Pawiaku, stała się źródłem poważnych dochodów. Czarno-białe chorągiewki sprzedawane na rzecz Patronatu w Zaduszki rozchwywane zostały momentalnie i kiedy nadjechali Niemcy, stolików sprzedających nie zastali, tylko całe cementarze pokryte tymi chorągiewkami. Skąd, kto, jak wiedział natychmiast, że obrączka, że obrazek, że chorągiewka jest sprzedawana na Patronat? Wiedziało o tym bez legitymacji serce Warszawy. W pewnej chwili wymyśliłyśmy „lizaki”, które w niedzielę sprzedawano pod kościołami. Poważni panowie kupowali jeden płacąc za tuzin i wstępowali do kościoła z kolorową kulka na patyczku i te kulki zbiorowe błyskały po całym kościele jak znaki wtajemniczenia. Patronat wyrabiał na Boże Narodzenie opłatki w futeralikach dla przesyłania do obozu jeńców, na Wielkanoc pisanki, urządzał loterie na wymalowanie portretu

dziecka, deklarowane bezinteresownie przez malarzy. Wobec tego, że widowiska były w rękach Niemców, kościoły zgodziły się na płatne na rzecz patronatu koncerty, ale ślub odbywając się w kościele, na który raid urządzili Niemcy, przekreślił te plany.

Kiedy rezultaty tych zbiórek, przeistoczone w dobra materialne, nie docierały do rąk więźniów, w Patronacie panowała ciężka zgryzota. Nasze cudowne swetry, ofiarowywane przez sklepy, Niemcy wymieniali na porwane szmaty. Nasze świetne suchary, darmo wypiekane nocami przez piekarzy z ukwestowanych produktów, suchary na cukrze, na masle, na mleku, na jajkach — byle było najpożywniej, bo innej żywności Niemcy nie pozwalali posyłać — zjadali czasem wygłodniałe rodziny uwięzionych. Zdarzało się, rzadko, że i więźniowie wracali do domów. Jakże zmienieni. „Proszę pani — taki był dobry ojciec... daję mu ile mogę... mimo to wyżera naszej trzyletniej córeczce z rączki każdy kęs”.

Ale to były tylko drobne czarne plamki w świetlistości zbiorowej duszy, która nagle objawiła się w czasach próby.

W czasie łapanek ulica i dom organizowały się samorzutnie. Tam wszędzie kobiety były odzwierciadłami, które spotykały Niemców przy drzwiach, z każdego domu patrzyły czujne oczy kobiece, kelnerki były wywiadem, strażniczeki więzienne opieką, straganiarki pikietą, a szmuglerki żywicielami.

Kiedy w Polsce stanie pomnik Polsce Walczącej, wśród postaci łączniczek, kurierek, szyfrantek, peżetek, sanitariuszek, znajdzie się — szmuglerka. Objuczona węzłami, bita, szykanowana, wspomagana przez tłum; po każdym, zdaje się, całkowitym skonfiskowaniu wszystkiego co wiozła, wynurzająca się z jakimś przemyślnie ukrytym tobolem. Wtedy pod jej stopy, jeśli nam dane będzie wrócić, dołożę swoją wiązkę ze wspomnieniem szmuglerki, która po powstaniu w luty mróz zdjęła mnie z lory i odgrzała i przywróciła do życia. Miejsce w którym to się zdarzyło nazywało się Stalowa Wola.

W tych latach okupacji, jadąc na Żoliborz, ze zdziwieniem skonstatowałam, że na każdym przystanku konduktor coraz bardziej podniecony wykrzykiwał z naciskiem: „Proszę wysiadać!...” Nie rozumieliśmy o co chodzi, aż na Placu Muranowskim nie wytrzymał: „Do cholery!... Łapanka na wiadukcie...”. A kiedy rzucono się do wyjścia, zagroził drogę: „Nie wszyscy, bo padnie na mnie”. Wypchnęliśmy naprzód młodzież, potem starszych mężczyzn i ruszyliśmy rozsiadłszy się na ławkach.

Kiedy dyżurne podały wieść o stojącym na rampie pociągu z dziećmi wywozonymi do Niemiec po lubelskiej pacyfikacji — kobiety Warszawy ogarnął zbiorowy szal: darły się na tory, na nic nie pomne. Kiedy przesunięto pociąg na dalszy przystanek, zwęszyły jego postój, zatłoczyły przystanek.

Kiedy na Elektoralnej Niemcy otoczyli dom, szukając zapewne czego innego, niż tajnej szkółki, dzieci z tej szkółki w jednej chwili zostały rozdane po mieszkaniach; natychmiast w każdym z nich zmówiono się na alibi: że ta dziewczynka, to

krewna z prowincji, albo, że przyszła pożyczyć rondel, albo że przyniosła sprawunek ze sklepu itd. Te fakty były codziennym życiem zbiorowości, walczącej, wcielającej „opór na każdym terenie, na każdym odcinku życia społecznego, w każdy możliwie sposób” — dyrektywę Rządu Podziemnego.

Ten opór stwarzał wspólne życie duchowe, które wybuchało radością ulicy na wiadomość o wybuchu wojny z Rosją, o bitwie pod Monte Cassino, albo wspólną boleścią na wieść o aresztowaniu Grota, na widok czerwonych plakatów, obwieszcających nazwiska rozstrzelanych.

Te lata strasznej nienawiści do Niemców były pełne jeszcze żarliwszej miłości. Okupacja paczyła, ale samoobrona z dna dusz wydobywała ludzkie wartości. Ten bilans zobaczyłam przed samym powstaniem. Od mostu wlekły się niedobitki niemieckie. Straszny był widok tych zwycięzców, tych katów, tych morderców. Wielu czołgało się. Bez kropli krwi w białych twarzach z poodmrażanymi kończynami, ślani się, padali. Wkoło stał ponury tłum, w którym przeważały przekupki z Mariensztatu, ze Starego Miasta. Patrzyły na tych, z których ręki poginęli ich mężowie i dzieci. Wreszcie ktoś wysunął się z pomocą leżącemu na chodniku młodemu Niemcowi. Nie patrząc sobie w oczy, w milczeniu, poczęto znosić Niemców do szpitala na Pradze.

Szerokie warstwy kobiet w kraju, to była plazma, w której poczynają się komórki konspiracji. Nie z dedukcji, że należy coś robić, więc zbierzmy się i omówmy plan. Tylko z konkretnego zdarzenia, jak ta łapanka na Żoliborzu, po której należało coś zrobić z dzieckiem i z rannymi.

Ileż działań, potem związanych organizacyjnie, poczynano się takim indukcyjnym sposobem. Jesienią 1939 po godzinie policyjnej ktoś zadzwonił i zobaczyłam w progu pokrwawionego chłopca, który po rynn timer uciekł z kajdankami na rękach z Gestapo w czasie przerwy w badaniu. Był podebrany przez przygodnego dorożkarza. Był już rozkuty — przez przygodnych ludzi. Przenocował w moim przygodnym domu, poszedł łańcuszkiem przygodnych (wówczas) kontaktów na głęboką wieś.

Z czasem przesuwanie zagrożonych po domach przestało być improwizacją, stało się uzusem praktykowanym powszechnie przez kobiety. Kiedy sanitariuszki wydawały innym kobietom więźniów z Pawiaka, z Jana Bożego, z Dzieciątka Jezus, wyciągały się za bramą ku nim dziesiątki rąk. Tych z Jana Bożego przechodnie w mig pokryli własnymi płaszczami. Ci z Pawiaka brzęceli kajdanami, ten brzęk wchłonęły domy. Nic nie rozumiejące nieme postaci jeńców angielskich, którzy uciekali zza drutów, podchwytywały pierwsze z brzęga ręce kobiece, pilotowały przez Polskę do środowisk organizacyjnych, aby ich przywrócić walce. Pierwsze pieniądze od rządu na wygnaniu, które ranny i ścigany kurier rzucił kobiecie pracującej w ogrodzie z wołaniem, że to pieniądze Polskiego Rządu, powędrowały do dziedziczki, od niej do jej znajomej w Krakowie i wreszcie znalazły się w kasie Z.W.Z.

W początku okupacji przechodząc Długą, posłyszałam strzały. Zaraz wieść poszła, że broni się drukarnia, którą osłaniała staruszka, właścicielka domu. Działała od siebie i za siebie, bez żadnych przysiąg i przynależności, na rzecz doraźnego zadania, które podjęła i za które zapłaciła życiem.

Tworzenie opinii też poczęło się od odruchów samorządnych. Usta kobiecie dmuchały w żuźle oporu. Przez nie było wiadomo, że zatknięto sztandar na gruzach Zamku — więc wszyscy pędzą na Zjazd. One wszystkosiężnym telegrafem bez drutu dawały do każdego domu wiadomość, że „sterroryzowani” zecerzy gadzi-nówki złożyli antyniemieckie komunikaty i gazeta już pędzi na żaglach ulicznikowskiego szczęścia. To one uprzedzały, o której godzinie szczeniaki rozebrzmiały hymnem narodowym. I że na murach ukazał się sfingowany plakat niemiecki. To one skutecznie trąbiły o drapanych wytrwale znakach V, albo Polski Walczącej, albo Żółwia-sabotażyści, o tym, że z cokołu przemówił polskim napisem Kopernik, że napisem odezwał się ukryty w piwnicy Muzeum Narodowego Kiliński: „Ludu Warszawy — jestem tutaj”.

A kiedy i w wyrabianiu opinii inicjatywę przejęła organizacja, kobiety były wyłącznymi kolporterkami prasy podziemnej. Jak stwory amfibialne powstawały jako stopień pośredni między płazem i ptakiem, tak i tu pamiętam taką pierwszą stworę wieszczącą bliski wylot w świat prasy. Pewnego dnia rozległ się dzwonek, weszła starsza pani, nie przedstawiając się spytała, czy jesteśmy ciekawi nowin, siadła w fotelu i wygłosiła szereg wiadomości. Odtąd regularnie odwiedzała wszystkie domy na naszym osiedlu, wygłaszając komunikat.

Na jej miejsce przyszedł aparat kolportażu. Jego mechanizm był naoliwiony, co do minuty — na punkty należało się zgłaszać po bibułę dosyć późno, by nie ujrzyć dostawiającej z centrum i dosyć wcześniej na podpunkty, by nie zostać dojrzanym przez kolporterki. „Halina” dla niepoznaki nosiła oprócz paki z gazetami — paczkę z papierowymi torebkami, którymi rzekomo handluje. Przy kolejnej łapance, uderzona kolbą, padła na pakę bibuły, a rozwścieczony Niemiec dwa razy ją jeszcze uderzył. Paka pękła, gazety mogły się rozsypać. Siadła na pace, rozwścieczeni wykopalili ją wraz z paką z kociółka.

Znana pisarka nie tylko redagowała ale i kolportowała pismo katolickie. Zagarnięta na ulicy, tłumaczyła się, że paczkę za napiwek kazano jej wręczyć czekającemu na przystanku. Badający znalazł w tej torebce pisany ołówkiem artykuł do następnego numeru, kazał czytać, wskazując palcem ustęp wybrany i kontrolując. Było o darowaniu win. W innym miejscu — o miłowaniu nieprzyjaciół. Drab był zdezorientowany. Kobięcina wyjaśniła, że notuje kazania. Nierozpoznana, wysłana dla pewności do Oświećcimia, który przetrwała otaczana czujną opieką kobiet, w Londynie otrzymała rekompensatę: dziennikarz, który spędził wojnę w dobrobycie emigracyjnym, nazwał ją na publicznym odczytanie agentką reżymową.

W tej atmosferze wiązała się konspiracja (1). 35.000 kobiet było zaprzysiężonych. Kobiety objęły szereg odpowiedzialnych funkcji. Kobieta była szefem Łączności w Sztabie Głównym (5. K.) Kobieta przeprowadziła reorganizację łączności ze Wschodem (Watra), kobieta jakiś czas prowadziła łączność z Zachodem (Zadra). Kobieta była podkomendantką kobiecej podchorążówki dywersyjnej i kadry dywersyjnej kobiecej „Dysk” (2), liczącej sto dwadzieścia instruktoerek. Kierowniczką kurierskich punktów przetokowych była kobieta. Kobieta była szefem wszystkich składów materiałów w czasie powstania. Na kobietach ciążyła łączność operacyjna, praca szyfrantek, łączność z jenieckimi obozami, sanitariat, uprzątnięcie zagrożonych lokali, pikietowanie zebrani konspiracyjnych i stacji radiowych, transporty pieniędzy, broni, bibuły. Kobiety współdziałały w łączności z kacetami, w wywiadzie, partyzancie, dywersji, sabotażu (3).

Tu już funkcje opiekuńcze „podfrontowe” się kończyły — poczyniała się pierwsza linia frontu. Gorące bryzgi padały z niej aż na Patronat. „Małgorzata”, pyszna dziewczyna z koroną jasnych warkoczy, przyszła i pyta: „Idziemy z akcją na Wschód, ale czy zaopiekujecie się naszymi rodzicami, bo my jesteśmy z O.N.R.?”

Zginęła w lesie z karabinem w dłoni w nieszczęsnej wyprawie za Bug.

I znowu „petent” — żona tego architekta wziętego wówczas w łapance na Żoliborzu. Pomogliśmy materialnie, ale nie miałyśmy możliwości wydobyć jej męża z obozu. Nosila datki Junosza-Stępowskiej. Dziś przyszła, bo Stępowskiej zachciało się kaczki. Potem Niemcy zabili jej męża. Potem Polacy zabili męża Stępowskiej. Straszne były czasy.

I znowu przyszła o pomoc dla rodzin kurierów „Marta”. A.K. zorganizowało wytwórnice zabawek, w których szmuglowały „ibisy” (instrukcje bojowe). Miały swoje przesady: jedne nie chciały jechać w trzynastkę, inne w piątek, inne naraz miały złe przecucia. „Danuta”, ich szef, otaczała te szarpnięte nerwy macierzyńską pobłażliwością, dziewczyny znów podrywały się, znowu szły w ciężkiej służbie i ginęły. Sama „Marta” zginęła w dziesiątej misji do Wilna.

„Marylka” wydobyla ciężko rannego męża z pobojo-wiska we wrześniu, pielęgnowała w domu we Lwowie, nie było co jeść za bolszewików, nie mogła pracować za domem, wzięła pracę krótką: przytwardzano jej do ciała pudełeczko z wszami hodowanymi dla celów przeciwtfusowych. Po nakarmieniu wszy brała

(1) Pierwsza egzekucja dwu kobiet miała miejsce na Pawiaku 3. XI. 39.

(2) Dysk był podzielony na dwa plutony. W czasie akcji konspiracyjnej przeprowadzał rozpoznania dla Kedywu (Dywersja) i dokonywał akcji sabotażowo-dywersyjnych. W czasie powstania walczył na Starym Mieście.

(3) W.S.K. (Wojskowa Służba Kobiet) przeszkoliła w ramach A.K.: w dziale wojskowym 3.500 kobiet, w sanitariacie — 5.000, w łączności 700, w administracji wojskowej 550, w służbie wartowniczej 500.

zapłatę i biegła do męża. Gdy go odhodowała, został wysłany na wywiad w głąb Rosji. W Kijowie była wyspa. Może wiemy co? Ale nie dowiedzialiśmy się nigdy gdzie zginął. „Marylka” całkowicie weszła w sanitariat dywersji. Po akcji ciężko rannego w głowę wzięła na przygodną platformę, przygodni lekarze, przygodne siostry wzięły go na stół operacyjny. I oni i woźnica ryzykowali życie.



Kiedy powstanie zbliżało się, linia między służbą etapową⁽¹⁾ a frontem zatarła się jeszcze bardziej. Wiedzialiśmy, że idą zdarzenia rozstrzygające, kiedy nasza komendantka w banalnie urządzonym saloniku o zielonych pluszowych meblach zdjęła ze ściany wielki krzyż. Przebudzony gwarem głosów kanarek darł się i przeskadzał, gospodyni mieszkania nakryła klatkę. Kładliśmy ręce na krzyżu — „W obliczu Boga i Najświętszej Marii Panny kładę rękę na ten święty krzyż i przysięgam...”

Spojrzałam na stojącą obok matkę, tak jak i ja dorosłych córek. Zrozumiałam jej stan — jakby ziemia usuwała się pod nogami.

Kiedyż to było, kiedy przysięgę składało się młodym przepelnionym radością sercem? Przed dwudziestu laty, w Mińsku Litewskim, w konspiracji Związek Broni. Po ulicach sunęły bolszewickie patrole, a my przysięgałyśmy: „Przysięgam na tę Polskę, którą w sercu noszę, że wiary pokładanej we mnie nie zawiodę...” Wtedy — nie zawiodłyśmy: przechowywałyśmy żołnierzy z rozbitych polskich oddziałów do dnia, kiedy wypłynęli na ulice Mińska, wzięli arsenał, wyrzucili bolszewików w kamiennym mińskim powstaniu.

Jak teraz będzie?

Nagle wstrząs nas przeszedł. Spod chusty rozległy się ostre cztery takti „Jeszcze Polska”:

— Ta-ra-ri-ra — umiał zaśpiewać kanarek, po czym przechodził na swoje „la-la-la-la-la...”

W czasie walk wpadłam do Teresy Potockiej, jednej z tych, które przysięgały wówczas w Mińsku. Teresa była sparaliżowana. We wnętrzu za jej łóżkiem do którego była przykuta, przechowywało się w czasie okupacji dziecko żydowskie. Jej mieszkanie było punktem przetokowym dywersji na Niemcy.

Dziecka już nie było. Od Pola Mokotowskiego bili Niemcy, linia walki zbliżała się. Teresa, myśliwy mający na rozkładach grubego zwierza, musiała leżeć bezczynnie.

— No i widzisz — powiedziała — ja nie mogłam, to front do mnie przychodzi. Nikt mnie z przysięgi mińskiej nie zwolnił — sięgnęła do niszy, ukazała precyzyjny sztucer. — Poprosiłam o przysunięcie łóżka ku oknu. Widzisz, jaki tu obstrzał?

(1) Kobiety, z chwilą wybuchu powstania uruchomiły w Warszawie 200 kuchni, około dwustu punktów sanitarnych oraz około 800 patroli sanitarnych.

Walka dała kobietom przywilej nawrotu młodości.

Irki, rówieśniczki zabaw w przeświecanych sadach nad Wisłą, nie spotkałam od tych dzieciennych lat.

Musiałam dostać się do szpitali położonych na północ od Alei Jerozolimskich. Wzdłuż Alei na przejście na wysokość. Kruceży szedł ogień i z gmachu B.G.K. i z Dworca Głównego. Co noc wznoszono osłony przejścia, co rano je Niemcy burzyli. Przeskakiwało się po jednej osobie. Po tamtej stronie dostałam się nagle w niespodziewaną atmosferę. Na podwórzu jakby nieknuętej kamienicy odbywała się msza polowa między gęstymi rzędami krzyżów pod ścianami. Była niedziela i msza jak się patrzy: chorągwie, oddział w dwuszeregu, dygnitarze z Czerwonego Krzyża, śpiewy na cały głos. I tam w oficynie znalazłam mieszkanie, w którym młode dziewczęta spały, czesały włosy, szyły, prasowały bluzki. Po raz pierwszy od dwu dni dostałam gorącą herbatki. Podawała mi ją... Irka, już przyprószona siwizną.

— Co wy tu robicie? — spytałam wskazując na dziwne towarzystwo.

— To... minierki⁽¹⁾. Szkoliłam je, przed powstaniem wysadzałyśmy tory. Teraz robimy podkop pod Pastę (gmach telefonów).

Wielopiętrowej Pasty, obsadzonej przez Niemców, wziąć nie można było frontalnym atakiem, saperki ciągnęły podkop, wysadzając mury. Tym podkopem poszły nasze oddziały i zdobyły Pastę — piętro po piętrze.

Byłam potem w tym miejscu raz jeszcze. Nie było ani saperów, ani domu.



Życie obrońców coraz bardziej upodobiło się do życia w kopcu termitów, które, nawet wyszedłszy za mrowisko, podążają zasklepionymi kanałami. Właśnie — kanałami. Do ich odkrycia jeszcze we wczesnych fazach powstania przyczyniły się kobiety. Potem zorganizowanie komunikacji przez kanały stało się kobiecą specjalnością.

W pierwszej fazie powstania łączniczka Ziotka, mając złecone nawiązanie łączności ze Starego Miasta do Śródmieścia, namówiła dwumetrowego Maksa, aby spenetrować kanał. Zao- patrzyli się w latarkę, sznur, kredę. Kanał okazał się starego typu (90 na 45), szło się w postawie zgiętej w ekskrementach po kostki, ciemność ich ogarnęła całkowicie, niewiadome groziło coraz bardziej z każdym krokiem — wrócili.

Maks ponowił próbę sam. Błąkał się, wzięwszy złe rozgalenie, uparcie nawracał, po dobie zgiętego przesuwania się wyłonił się na Placu Wareckim. Pierwsza łączność została przetranszowana. Maks zabrał dwie łączniczki — wylądował z nimi na

(1) Oddziały saperów w czasie powstania budowały tunele pod ulicami, zakładały miny, pracowały przy produkcji materiałów wybuchowych.

Barokowej (Stare Miasto). Odtąd kanalarstwo staje się kobiecą specjalnością.

Wynaleziono drążki — tak szerokie jak średnica kanału. Można je było przesuwac wzdłuż kanałowej tuby i opierać się na nich. Niejedną ustrzegły, aby w chwilowym zamroczeniu nie osunęła się w kał, albo w bystro sunącą wodę, która w niektórych kanałach sięgała kolan.

Tymi kanałami poszła nie tylko poczta i amunicja. Wynaleziono kanały wysokie na 1 metr 20 cm., którymi wyprowadzano chorych i rannych, ludzi w gorączce, o kulach, z łubkami na nogach i rękach. Gdybym nie widziała, że przeszli, nie uwierzyłabym. Niestychaną akustykę powielekrotniał krzyk przerażenia człowieka, który poślizgnął się i pada w ekskrementy, albo porywanego przez prąd, jęk mdlejących zagazowanych, eksplozje granatów ciskanych w studzienki przelotowe. charczenie umierających, płacz, jęki, zbiorowe, histerie. Na miejscu uciszano te paniki ponownie i wciąż ponownie przywracano porządek, ale odgłosy szły, potężniały, żyły życiem samoistnym po nieskończonych załomkach, mroziły krew w żyłach.

Któż panował nad tym życiem podziemnym? Dziewczęta przeznaczane do śmiechu, do radości życia. Pochód każdej partii otwierały dwie kanalkarki, co sto pięćdziesiąt ludzi szła kanalkarka z latarką, z tyłu partii szły znowu dwie kanalkarki.

Wzdłuż kanałów przeciągnięto kable. Zarządzono mijanki na platformkach studzienek. Ruszenie każdej partii sygnalizowano kodem — na przykład, że 45 kilo kosztuje 14 złotych 35 groszy. Znaczyło to, że o godzinie 14 minut 35 ruszy partia licząca 45 osób. Kod był niezbędny, Warszawa była przespiciowana. Na każdy nowo uplasowany szpital kierował się natychmiast celowy ogień.

Jakiś czas Niemcy jednak nie domyślali się co się dzieje w kanałach, natomiast na wyłazach kładli ogień. Kobiety więc ubezpieczały. Wielka frekwencja panowała między włazem na Daniłowiczowskiej i Gmachem Sądu, w którym mieściła się Komenda Główna A.K. Trasa przetarta przez kobiety stała pod ciężkim ogniem, kazano ją przebiegać pojedynczo. Ale meander tej przepiętanej ścieżki między gruzami był mdły i mylący, więc każdego przebiegającego przeprowadzała kobieta, doprowadzała do miejsca poza ostrzałem i wracała przez ogień po następnego. Za taką funkcję w regularnym wojsku przedstawia się do odznaczania kwalifikowanych żołnierzy.

Niemcy dowiedzieli się o kanałach dosyć wcześnie. Nie mogąc dać rady obsadzić Giełdy, Niemcy poczęli się pod nią podkopywać i posłyszeli głosy w przechodzącym kanale. Tak ujawniła się tajemnica termitów tak poszły w ruch granaty gazowe rzucane we włazy.

A więc byliśmy już zaciśnięci : nie było dla nas od początku powietrza, które służyło niemieckim bombowcom, wypierano

nas z powierzchni, nie dawano poruszać się pod ziemią. Spłoneęły składy, rozbito szpitale i czegoż miał oczekiwać ostatni w naszym rejonie na Marszałkowskiej 77? Skłoniło się na wieczór, kanonada cichła, Niemcy mieli spokojną pewność gada, który owinął ofiarę splotami, z końcem dnia kończyli krwawą robotę, myli się, szli spać. Jutro zaczną na nowo pracowity dzień, który będzie zapewne ostatnim dniem tej nędznej i świętej rzeczy, która nazywa się szpitalem polowym Armii Krajowej.

Żeby ich choć nakarmić...

Napływają z kwesty Peżetki — głodne wysłanniczki, chodzące po głodnych ludziach w ten ostatni czas. Przez ich wyprostowane meldowanie (nie chce odkleić się fason od tych dziewczurek) przebijają zdumienie : Że, proszę pani, nie ma tego domu... I tego... i tego..., które pani wypisała.

Składają przy meldunku kolejno na stół, z którego niezadowolonemu podlotkowi zsunęły się jego katalogi kartkowe — woreczki mąki, stwardniałe kromki chleba, groch, fasolę, cebulę, czasem przerośnięty kartofel, czasem nieco skamieniałego sera.

Bożenka melduje :

— Paczka suszonych owoców... Słoik miodu... Torebka ma...ka...ro...nu.

Bożenka blednie i osuwa się na ścianę. W rękę ma jeszcze pudełko, które widać przygotowała jako efekt końcowy :

— Ka...ka...o — kończy z wysiłkiem.

Chybił efekt, puszka potoczyła się aż między katalogi. Myślałam, że ranna. Chwyciłam dziewczyninę. Zaciążyła mi na chwilę dziecinnie na ręce.

— Tatusz — przytuliła się bezradnym słowem.

Ale zaraz już — nie ma dziecka :

— Przywalił go dom — mówi zimnym, odgradzającym się głosem — odkopują go teraz. Czy mogę już tam pójść?

Na drugi dzień szpital jeszcze stał. Rozdzielono pomiędzy chorych zebrane produkty, podlotek krążył z miną uroczystą, rozdając książki, jeden ranny drugiemu zalecał książkę Mostowicza. Aktorka przyszła, bo to był dzień koncertu. Jej narzeczony poległ. Brała mnie za rękę, mówiła z naciskiem, patrząc w oczy jakby z pretensją i jakby czekając odpowiedzi :

— Proszę pani, przecież on mówił, że na pewno wróci.

Muzyk dotarł z opóźnieniem, w drodze ich złapało, aktor był ranny. Będzie mógł bez sprzeciwu dać muzykę poważniejszą.

Nie czekam na rozpoczęcie koncertu, mając sprawę na Placu Zbawiciela. Tam znowu było dokuczliwie, bo z drugiej strony placu siedzieli Niemcy. Ze dwie godziny przeczekiwałam bombardowanie, nim można było wracać na nasz punkt na Lwowskiej. Póki dotarłam do znajomych przesmyków, kluczyłam nieco

po omacku. Myślałam, że zmyliłam drogę, bo cała prawa strona ulicy Śniadeckich zapadła się po bombardowaniu.

Teraz czułam się już w domu. Przekopem skrzyłam na placu, na środku którego stała willa. Mijało się ją zawsze z uczuciem zadoścuczynienia. Mieściło się w niej dowództwo odcinka, stały warty, był ruch łączników, było jakoś wojskowo, podciągnięto i rzeźko. Willa była zburzona, na placu pusto. Nurknęłam w dobrze znaną dziurę w murze na dom Banku Polskiego przy Lwowskiej 4. Stamtąd już tylko rękę podać na stronę nieparzystą, tylko przebiec Lwowską do naszego punktu. Nie była to trudna rzecz, bo normalnie Niemcy posyłali pocisk wzdłuż Lwowskiej co siedem minut. Po przejściu pocisku można by więc było iść spokojnie, gdyby nie dokuczliwi gołębiarze. Na tym odcinku zginęła przed paru dniami drobna Nina, łączniczka przy dowództwie w tej willi. Widziała moją Krysię jeszcze po mnie, w pierwszym dniu powstania, kiedy Kryśia przywiozła na rowerze worek z orzełkami.

Potem przy przeszkakiwaniu Lwowskiej ciężko raniono przydzieloną do P.R.Ż. dziennikarkę. Kiedy wracałam, jej dziecko ucepilo się mojej spódnicy.

Mając przeskoczyć Lwowską, schyliłam się umocnić sznurwadło. Miał mnie jakiś oficer. Ruszywszy, zobaczyłam, że padł na chodnik, trafiony przez gołębiarza.

Nasz punkt — nie istniał. Wyskoczyła postać czarna od sadzy, w której poznałam kierowniczkę P.R.Ż. Rzuciła mi się na szyję, myślała że zginęłam w tym bombardowaniu. Z naszego domu zostały nienaruszone marmurowe schody, z których opadły ściany. Na ich szczycie na wysokości drugiego piętra wisiał obraz Matki Boskiej. Wieczorami, gdy cichła kanonada, modliła się do niej natłoczona klatka schodowa. Teraz obraz świecił na jezdnię.

— Pójdziemy do cioci Łodzi — powiedziała kierowniczka. W rękę trzymała płaszcz ocalony dla syna, rannego — w Śródmieściu — w brzuch, który od kilku dni leżał w sąsiednim szpitaliku.

Przyjęłam propozycję z odprężeniem. Wśród pociech, które w te dni dawała młodość dziewcząt, dzielność chłopców, samopomoc ludzka, ten drill przy willi dowództwa — nie najmniejszą pozycję stanowiła ciocia Łodzia.

Ciocia Łodzia mieszkała na Wilczej w mieszkaniu z kanarkiem, w którym odbierano od nas przysięgę. Przychodziła do nas co dzień na Lwowską wieczorami, „po zabawie”, jak mówiła, rozsiadała się i wysypywała nowinki. W nowinkach jednak nie było o ludziach poległych czy rannych ani o zburzonych domach. Natomiast otrzymywałyśmy drobiazgowy biuletyn cen z czarnogieldziarskiego rynku żywności i drobne kłopotania się o wodę, o możliwość prania i prasowania. Troski cioci Łodzi nie przekraczały niepokoju, że „tak źle wyglądać” i biadać, że ona rozumie, że powstanie ma swoje konieczności, ale że nie aprobuje nadmiernie nieregulowanego trybu naszego życia. Jej

zgorszone „jakże tak można” przenosiło nas w spokojniejsze czasy.

Rozgrzeszyliśmy się na wyprawę do cioci Łodzi tym łatwiej, że obok na Wilczej rezydowała lekarka rejonowa. Myślałam, że uszczknę jej coś z leków dla szpitala, bo była w dobrych stosunkach z właścicielem apteki, który miał tam coś ocalonego w piwnicy.

Ale w miejscu, gdzie było mieszkanie cioci Łodzi ziała odwalona ściana. Po klatce schodowej można było dostać się do mieszkania, w którym podmuch wysadził drzwi. Nie było śladu cioci Łodzi. Mieszkanie było puste i nieme. W klatce pośrodku pokoju z otwartymi ścianami leżał spalony kanarek.

W punkcie rejonowym nie zastaliśmy również ani cioci Łodzi, ani lekarki, która została zabita. Objęła rejon po niej doktor Klara. Doktor Klara była w mundurze i wymagała drillu od podwładnych dziewczyn. Na moją lekką obiekcję zwróciła się jednym ze swoich kancistych porywczych ruchów i spojrzała zimnymi oczami:

— Przyniosła pani może im jeść? Stworzy im pani ambulatorium? Da im pani kwaterę? Wskrzesi pani brata tej Bronce? Nie?... To czymże je podtrzymam? Siostró Bronko...

— Tak jest...

— Proszę wziąć torbę. Idziemy w obchód.

Tyle miały, co w tej torbie. Nadzieje na wydostanie leków upadły, bo i aptekarz się zadział i jego piwnicę przysypała zwalona kamienica.

Z gruzu jednak wyłoniła się łączniczka mająca dawać skierowania. Wyprostowała się widząc podwójną opaskę na moim rękawie. Ta druga opaska, po prawdzie, była samowolą i improvizacją: w pierwszy dzień powstania i na godzinę przed piątą weszło do naszego mieszkania kilku chłopaków w granatowych kombinezonach. Ich dowódca powiedział:

— Niech panie nie zwracają uwagi, proszę robić swoje; my tu tylko będziemy rzucać z okien butelki z benzyną.

Ale ponieważ zwracaliśmy na nich nieco uwagę, więc pod wieczór powiedzieli:

— Nie wszyscy z naszego pułku zdołali się przedostać na miejsce zbiórki; mamy zbywające opaski z numerem pułku; proszę, dobrze będzie, jeśli panie, działając na naszym odcinku je nałożą.

Teraz dziewczynina meldowała z przejściem do tej PZR-skiej i tej pułkowej opaski, że szpital jest „wywakuowany” na punkty przy byłych ulicach Wilczej, Hożej, Piusa XI i Koszykowej. Dziewczyna miała tyle kartek, ile tych punktów i na każdej rozrysowane dojście.

— Czy doktor to narysował?

— Nie, naczelny (podkreślone z emfazą) do końca ratował, zejść nie mógł, wyskoczył oknem, stan ciężki, jest na punkcie przy Koszykowej — pokazywała planik.

Szpitalne dogasały jak całe powstanie. Ale patrząc wstecz nie widzę, aby dogasała dusza tych wspaniałych dziewcząt i kobiet. Kiedy Starówka padła, ewakuowały rannych kanałami — tym słynnym kanałem Żoliborskim, w którym woda sięgała po ramiona.

Znalazły nie na długo przystań w gmachu szkolnym Sióstr Zmartwychwstanek, którego słoneczne korytarze przetuły nóżki moich dzieci. Gmach runął, rozparcelowały rannych po prywatnych domach.

Nie na próżno pisały kobiety walczącej Warszawy, że tylko Bóg jest z nimi. W czasie okupacji znajdowałam się w tramwaju, kiedy na Nowym Świecie rozległy się salwy publicznej egzekucji. Klękliśmy w tramwaju, odmawialiśmy zbiorowo Ojcze Nasz.

W czasie powstania — Bóg, coraz bliższy był Warszawie, schodził ku niej z każdym tchnieniem śmierci. Przed atakiem na Mokotowie wśród głębokich szeregów klęczących wzdłuż ulicy powstańców przesuwiał się ojciec Jan rozdając Komunię Świętą. Kiedy Niemcy wybijali przyczółek nad Wisłą, kapelan „Zośki”, ojciec Paweł, udzielał abszolucji *in articulo mortis*.

Tu, na Żoliborzu, kiedy łączniczki, idąc z chłopcami do ataku na wiadukt, przystępowały przedtem zbiorowo do Komunii świętej i wszystkie poległy, siostra Teresa kończyła urządzać się ze swymi rannymi na Krechowickiej. Więc skoro nie chroniło ich żadne prawo, ani żadna moc, bo obrona Żoliborza pękła, ustawiono u wejścia do szpitala, wysoko, w bieli, w zieleni, w adoracji Monstrancje, świecącą nad przybytkiem bólu i nędzy.

To nie był jeszcze ten ostatni koniec, kiedy von Bach był niewątpliwym zwycięzcą i kiedy za zamkniętymi barykadami oczekiwano się wymarszu w niewolę, a uniesienie obu stron opadało. Niemcy, pijani walką, szli od wiaduktu.

Miażdżyli tak od tygodni dzielnicę po dzielnicy. Wszak od nich uszły ze Starówki. W tę Starówkę, gruchotaną przez działa oblężnicze spod Stalingradu, przez sześciolufowe sprzężone „nebelwerfery” tzw. przez warszawiaków „krowy”, wypróbowane po raz pierwszy pod Sewastopolem, z samolotów, tu, nad tym miastem improwizowanego oporu latających nisko i bezkarnie — w tę Starówkę błyskającą na wszystkie strony przez wiele tygodni strzałami, odradzającą się kąśliwymi pozycjami po każdej nocy, wdarły się wreszcie czołgi, za nimi opancerzone wozy, z których bluznęła straszliwa *Rache* niemiecka. Głuchym echem kanałów przyszła za nimi wieść, jak ta niemiecka zemsta wepchnęła tłum żołdactwa do pół zawalonej katedry Św. Jana, gdzie w lewej ocalonej nawet skupiono rannych z siostrami, które pozostały przy nich, jak handgranaty zatoczyły elipsę i tłuły w żywą masę, eksplodowały w niej, ponownie padały w martwych, rozrzucały bryzgi ciał na powietrzne przeczyste kapitele leżące teraz w złomie posadzki.

Teresa słyszała nadciągający zgłęb, chrzęst maszyn, ochryply szcęk komend, wyszła przed ten kłab kurzu, z którego

wynurzali się obłąkani z granatami w rękę, z żądzą mordy, aby roznieść szpital, rozwalić, wbić kły, włóczyć szczątki po gruzach.

Teresa stanęła w przedsionku, mając nad głową monstrancję. Rozkrzyżowała ręce, zagrządzając wejście.

Pierwszy biegnący, z łbem uhelmionym, pochylonym ku ziemi, wyrwał przetyczkę, zatoczył rękę do rzutu i podniósł wzrok. Szaleństwo przełamało się o białą krechę rąk w szpitalnym fartuchu pod monstrancją w zapalonych świecach. Zatoczył się — cisnął granat wstecz, przez mur. Niemcy popadali na ławy dysząc ciężko. Tak dyszeć musiał opętany, kiedy Chrystus wyganiał z niego szatana. Czy byli to katolicy? Czy może, po prostu, ludzie, którym bezbronna ale nie bezsilna kobieta przywróciła człowieczeństwo.

Przed dwoma miesiącami New York oglądał triumfalne obwożenie „Anioła z Dien-Bien-Phu”. Dobrze, że Megalopolis czci bohaterstwo. Koleżanki Teresy nie mogły przyłączyć się do hołdu. Dla nich był dzień powszedni i tkwiły po fabrykach. Dzień powszedni, któremu nie ma końca.



Wtedy do jednego z tych punktów szpitalnych dobiegła Jaga, koleżanka z lat uniwersyteckich. Powstanie zastało ją na Saskiej Kępie, jej córki, Basię i Jankę w Warszawie. Matka, jak wilczyca, potrafi dokonać rzeczy niemożliwych. Przeprowadziła się górą Wisły, pod Wilanowem, dnie całe kluczyła polami, przesiąkła linie niemieckie, barykady powstańcze, odnalazła mnie, pytała — gdzie dzieci.

Był cud, a raczej pół cudu : Basia leżała na jednym z tych naszych ostatnich punktów szpitalnych. Była siedem razy ranna, ale za każdym razem lekko; za tydzień mogłaby wyjść. O Jance nic nie wiedziałam.

Szliśmy łomotami, grzmotami, przeciskami, gruzem, pyłem po rozbitym szkle. Królewska to była droga po tej, którą przebyła z Wilanowa. Dopadliśmy punktu na Hożej. Kierownicza, dostojna starsza pani, rozłożyła ręce :

— Poszła...

Jadze krew uszła z twarzy :

— Gdzie?

— Na Czerniaków.

Na Czerniakowie był jej narzeczony.



Był — koniec. Było osiem tysięcy kobiet zaprzysiężonych, gdy wybuchło powstanie. Zostawałam w komórce Czerwonego Krzyża, jedynej małej grupie, autoryzowanej przez Niemców do zostania w Warszawie. Patrzyłam na ten pochód wyjętych spod prawa, którzy szli ze swymi brudnymi opaskami na rękawach w nagłym dostojęństwie — jeńców wojennych. Smutny żołnierski sukces. Za nimi szły łączniczki, sanitariuszki, peżetki, mi-

nerki — 3.000 kobiet-żołnierzy, które ocalały. Artykuł szósty umowy kapitulacyjnej nadawał kobietom prawa kombatantów. Widziałam w mgiełce październikowego dnia jak poprawiały szaliki na szyjach chłopców, mających ręce na temblakach. Nie miały dystynkcji, tak jak i w pierwszym dniu. Rozkaz o awansach z dnia 23 września ich nie doszedł (1). Szarość jesieni zamknęła się za nimi. W szarość wsiąknęło światło, które miały na twarzach.

Od pierwszych chwil powstania niosły tę jasność przez piekło. Jakże radośnie w te pierwsze dni. „Witaj, królowo!...” wołała barykada pod naszym punktem, kiedy przesłiczna wiotka Madzia przesuwiała się wzdłuż niej z garneczkiem gorącej kawy.

W strasliwym końcu ta kobiecość świeciła blaskiem tragicznym. Kiedy ze Starówki przedostali się jej obrońcy, wszedł na nasz punkt dowódca, przesłiczny chłopak w panterce, z jasnym uśmiechem, ze zdecydowaną zmarszczką na czole. Światło biło z niego, półboga. „A gdzie Beata?” — pytał. „Umarła z imieniem pana porucznika na ustach” — powiedziała łączniczka. Ci ich dowódcy — to byli Archaniolowie Wolności. „Nasz porucznik, to taki porucznik!” mówiła czupurna dziewczyna — „ze wszystkiego wyprowadzi”.

I może nad wszelką pomoc kobiecą: ponad łączność, ponad rany opatrywane, głód żywiony, moszczenie ubogich noclegów, ponad tę całą pomoc rzeczową, dały kobiety walczącego powstania jego żołnierzom dar najwyższy — glorię.

A teraz, kiedy ścichło, kiedy już wygnano i starowienki bibliotekarki z Biblioteki Publicznej, krzątające się jeszcze koło ratowania książek, kiedy już niszczycielska ekipa podpałała sąsiedni dom na Koszykowej — po długich dniach śmiertelnej pustki, w których zwolna milkły nawet wrzaski zdziczałych kotów — powoli mdłym odrostem poczęło znów kielkować życie na ruinach.

I teraz, teraz dopiero — matki mogą pełnić swoje matczyne dzieło.

Tylko teraz... W te straszne lata macierzyństwo było podane prawu walki. Walki do nieludzkiego kresu. Młoda dziewczyna, bywająca w naszym domu, wyszła w czasie wojny za męża. Kiedy ją wzięto, była w ciąży. Torturowano ją. Przesłała gryps, że nie wyda. Na drugim badaniu złamano jej krzyż. Po-dała nazwiska niezamieszanych, wysłała gryps ostrzegawczy, który przyszedł za późno. Gdy ją skonfrontowano, powiesiła się.

(1) Dekret Prezydenta R.P. z 27. X. 1943 mówi: „Żołnierze kobiety mają te same prawa i obowiązki co mężczyźni”. — Rozkazem D-cy A.K. z 23. IX. 44 przyznane zostały kobietom stopnie wojskowe podoficerskie i oficerskie.

W tych strasznych latach przed powstaniem matki przechodziły stan lęku straszniejszy nad wszystko. Matka poległych braci Morro, która wiedziała o każdej ich dywersyjnej wyprawie, kiedy rozległy się strzały powstania, powiedziała do mnie z rozświetloną twarzą: „Już teraz tylko mogą zginąć walcząc”.

Obecnie — szukała miesiącami ich ciał, rozkopywała ze strasliwą cierpliwością groby w towarzystwie niezliczonych matek, które krażyły po miejscach walk, odczytywały spełzone napisy na prowizorycznych krzyżach, pytały kolegów, rozpoznawały rozkładające się ciała. Jeśli legowiska w ruinach można nazwać domami, to na domach tych polskich matek nikt nie zawieszał „Silver Star”, nie przyjmował ich przedstawicieli z kondolencjami żaden prezydent. Przygięte do ziemi, wsiąknęły staroły się w niepamięć, ujść mściwej rosyjskiej rozprawie.

Jaga, jak lunatyczka pracowała w kancelarii powstającego gimnazjum żeńskiego; cała jej czujna przytomność była skierowana na poszukiwania. Przyszedł dzień w rozbitym kościele, przez którego strop przeglądało niebo. Jaga stała zapatrzona w urnę, stojącą na katafalku. W urnie były prochy zbiorowe oddziału Giewonta. Nad całym oddziałem zapadła się kamienica na Franciszkańskiej, odkopano zetlałe resztki z pół roku po powstaniu. Jaga po warkoczach poznała swoją drugą drógkę — Jankę. Patrzyła suchymi oczami w ostatni materialny ślad przeszłości — tę szczyptę prochów, zmieszanych z prochami innych.

Wyszliśmy po nabożeństwie, kierując się ku byłemu mostowi Poniatowskiego, gdzie była przeprawa na Saską Kępę.

Wtedy dowiedziałam się o Basi.

Matka dotarła do ostatnich wieści, za które już nie było gdzie iść. Bo i Basia poległa.

Były to ostatnie dni przyczółka nad Wisłą. Obrońcy zbili się na odsoniętym brzegu, czekali na obiecaną z tamtej strony pontony. Ci, którzy obiecywali, żołnierze Berlinga, nie żyli. Chłopa wiejskie, na prędcie pobrane w jasyr wojskowy pod Lublinem, nie mając zaprawy, nie umiejący się chronić, bezradnie mówili do opatrujących sanitariuszek: „Gdybyż kartoflisko jakie, jaki krzaczek...” Nie było krzaczka, waliły się ostatnie kamienice. Przydzielony politruk, wepchnąwszy się do łodzi z rannymi, wył ze strachu, energiczna Dorota rąbnęła go w pysk: „Nie strasz mi rannych”.

Niemcy szli z wysokiej kamienicy w tę pusta nadbrzeżną. Andrzej Morro, ostatni dowódca „Zośki”, która tam przysłała swój ostatni kres, wysłała łączniczkę Krystynę do Radość. Dotarła czołgając się, uzyskała rozkaz wycofania się. Spieszyła z powrotem z tym skarbem-rozkazem. Nie mogła tracić czasu na przeczekiwanie nawał, na wyszukiwanie schronów. Padła ciężko ranna. Mogła czołgać się tylko na wznak. Doczołgała

się, aby dowiedzieć się, że Andrzej Morro zabity. Straciła przytomność. Podbiegła do niej lekarka, kierowniczką lecznicy w Otwocku, która przedostała się na własną rękę z Pragi. Ranna przy przeprawie, z ręką na temblaku, podkładała zdrową rękę pod głowę Krystyny, pomagała zwlec ją do łodzi. Na tamtym brzegu Krystyna straciła przytomność, obudziła się w kosztownym futerku, które ściągnęła z siebie przygodna przechodząca.

To wtedy, w te ostatnie dni dotarła na przyczółek Basia. Wiadomości mówiły, że jeszcze ujrzała swego chłopca. Rzucił się w pław po łódź na tamtą stronę, każąc czekać, że wróci, że ją weźmie. Noc była, ale Niemcy jaskrawo oświetlili skrawek krwawej plaży, dzierżyli ją wilczym uchwytem. Z tego światła w noc skakali obrońcy zwolnieni rozkazem Radosława. Część uratowała się kanałami na Śródmieście, część na Mokotów. Basia została sama. Czekala. Bo on powiedział, że wróci. Znalezione potem jej trupa z twarzą pokrehowaną pomadką do ust. Niemcy naigrawali się, nim zabili.

Zeszliśmy ku przeprawie. Był tam jedyny salon polityczny Warszawy, raut nieustający. Byłam kiedyś świadkiem nagłego zamieszania:

- Żołnierz tonie....
- O Matko Boska!...
- P-a-n-i — ktoś przeciąga perswadując — to sowiet...
- Sowiet? — babina wznosi oczy ku niebu. — Matko Boska, omyłkowie było proszone.

Nieposkromiona żywotność wyrosła znów spod ziemi sznurem nędznych straganów. Na przystani można było nabyć kiełbaski, lemoniadę, grała harmonia.

Łódź już nadchodziła, ale Jaga wysunęła się spod ulewy sztajerka, poszła w dół rzeki, aż pod Żolibórz, do mostu na pontonach.

Zrównaliśmy się z płaczącą kobietą. Widać i ona uchodziła śmiechom.

- Pani też szuka? — w te czasy pytanie było jasne.
- Syna.

Już na uginających się pontonach spytałam, czy do domu wraca.

- Ramiona pod chustką ściągnęły się:
- Ziąb tam... Nie ma za co szyb wstawić.
- Gdzie syn poległ? przecknęła się Jaga.
- Na Czerniakowie.

Wówczas Jaga wyszarpnęła z kieszeni kurty wszystkie pieniądze zarobione przez nocne przepisywanie formularzy matralnych. Były zbierane na kupno prześcieradeł dla owinięcia szczątków poległych córek.

Kobieta przyjęła pieniądze bez słowa. „Pani też?” — powiedziała. Poszła.

Życie — natychmiast poczęło odrastać. Nie siane, nie pro-szone, nie organizowane przez żadne czynniki kierownicze. Ze-wsząd ciągnęły jego zielone smugi zarastając tragiczne popioły.

Lusia, moja krewna, przywędrowała w łachmanach z wię-zienia w Moabicie, w którym siedziała dwa i pół roku za tak zwaną szwedzką sprawę szpiegowską. Jej męża zatłuczono kol-bami, jednego syna powieszono na Pawiaku, drugi zginął jako lotnik nad zatoką Biskajską, trzeci siedział w Dachau, łudziła się, że wróci. Na ruinach domu, w którym mieszkali przed wojną zawiesiła kartkę z adresem uzyskanego legowiska na Kruczej, gdzie doglądałem ją, bo zachorowała na tyfus. W pewnej chwili posłyszaliśmy z ulicy świeży młodzieńczy głos:

— Jak Boga kocham, moja buda stoi!...

I zaraz potem gdzieś z piętra głos kobiecy nabrzmiały nieopi-sanym szczęściem:

— Syneczku!...

Lusia skuliła się. Wszystko co mogłam, to okryć jej opuchłe nogi.

Łączniczki, które ocalały, pomagały matkom żołnierzy swoich oddziałów szukać ich ciał, szukały dla nich mieszkania, pracy. Peżetki, których nie wywieziono, urządziły samorządnie szpitale w kręgu podwarszawskich osiedli — w pierwszych powstanie-owych dniach porody odbywały się na gazetach, położnice żywio-no użebraną żywnością. Kobiety podejmowały troskę o swoje i cudze dzieci. Młodzież, która odnajdowała matki, oglądała się na szkoły.

Na Saskiej Kępie, przy odtworzonym gimnazjum żeńskim zorganizowałyśmy oddział komisji maturalnej, wydającej ma-tury tym, którzy ukończyli szkoły w ciągu pięciu lat tajnego szkolnictwa. Były trudności z maturami dla tych, którzy polegli. Rodzice często nie byli w stanie dostarczyć fotografii. Nie mieli ani jednej. Ani jednej...

W uroczystym dniu rozdania sala wypełniła się po brzegi.

Maturzystki szkoły im. Konopnickiej wyznaczyły zbiórkę przy ruinach swej szkoły. W piwnicach znalazły przechowany jej sztandar, zwinęły, przemknęły z nim, dopiero wkroczyły, rozwi-nąwszy orla w koronie, Boga, Ojczyznę i wszystko co trzeba. Sala była pełna po brzegi, sami swoi. Na stole stał wielki bukiet kwiatów „jak za dawnych lat”. Aż dziwno...

Kiedy padało nazwisko nieżyjącej, z sali odpowiadano:

- Zginęła na Woli...
- Na Starówce...
- Na Czerniakowie...
- Na Mokotowie...
- Na Żoliborzu...
- Zmarła w obozie...
- Bez wieści...

Szumiała sala koroną żałobną, a do stołu podchodziły w proch starte kobiety, odbierały świadectwo — córce poległej a sobie: że oto przepchnęły dziecko do jakiegoś punktu, wypełniły zadanie, wypełniły co było do wypełnienia w ręku ludzkim.



I jeszcze, po tej uroczystości inaugurującej pokój, pamiętam bryzg buntowniczy. „Grażyna” wróciła z Mińska Litewskiego. Siedziała w więzieniu bolszewickim, w którym znalazła Polaków trzymanych z tamtej wojny. Przeważnie szlachta zagrodowa, bohaterowie powieści Czarnyszewicza, nieustępliwie wierzący przez cały czas w przyjsie Polski. Zetknęła się z obrosłym człowiekiem, który, zamknięty przez dwadzieścia lat w ciemnicy bez żadnego, ani dziennego, ani sztucznego światła — wierzył... Grażyna załamywała ręce: „Nie mogę ich opuścić”. Poszła z powrotem. Woda zamknęła się nad nią.



Woda zamknęła się nad krajem. Wypryski z Polski padały w świat z innej planety — świat zachodni. Do Rzymu przyszła, bo raczej tak trzeba określić jej drogę, czternastoletnia dziewczynka, „starszy strzelec” z barykady warszawskiej. Otrzymała naszywkę, bo zdarzyła się chwila, że skutecznie użyła broni maszynowej. Po powstaniu wzięta krótko przez ciotkę, nasuszyła w tajemnicy chleba i z pełną torbą poszła przez Karpaty. Aresztowana trzy razy, trzy razy salwowała się dziecinny płaczem, odstawiana z powrotem koleją, przerabiała ponownie utraconą przestrzeń nogami. „Starszy strzelec” miał małe warkoczki i znowu dobroczynne panie zaganiały ją do szkoły. Ulitowałam się nad nią, prowadziłam po Rzymie. W katakumbach penetrowała ściany i przejścia:

— Fiu!... Co za komfort. Wielki można by się bronić...

Napływały wówczas te dziewczęta, napływały. Cechowała je niespożyta żywotność. Posypały się śluby, w których trzeba było matkować. Wyjeżdżając do Anglii na drzwiach wywiesiłam ogłoszenie: „Kontyngent na śluby wyczerpany. W Londynie przyjmuje się zamówienia na matkę chrzestną”.

Jakoż istotnie...

A potem pierwszą z nich spotkałam w małym mieście amerykańskim. Stała przy kubie z wapnem. Pracowała, jak i jej mąż, Akowiec, w fabryce, wieczorami wznosili dom.

Tak mi zostali w oczach.

Kombatanci...

Zofia WĄKOWICZOWA

Kraj

Plan sześćioletni a rolnictwo

Zmiany w polityce gospodarczej reżimu komunistycznego — zatwierdzone na IX Plenum K.C. P.Z.P.R. i rozprowadzone do wszystkich komórek partyjnych na II zjeździe P.Z.P.R. — których celem, rzeczywistym lub pozornym, jest poprawa warunków życia ludności, budzą szczególne zainteresowanie stanem rolnictwa w Polsce. Jest bowiem rzeczą oczywistą, iż należyty poziom produkcji rolnej stanowi warunek konieczny lepszego zaopatrzenia ludności w przedmioty spożycia. Łatwo przeto także zrozumieć, dlaczego po IX Plenum K.C. P.Z.P.R. posypały się uchwały Rady Ministrów poświęcone różnym aspektom gospodarki rolnej. Na zjeździe P.Z.P.R. Bierut uzasadniał szeroko kluczowe stanowisko i decydującą rolę rolnictwa w „rozwoju w pożądanym kierunku całej gospodarki narodowej w celu szybkiego podniesienia stopy życiowej ludności pracującej”. Dla podniesienia rolnictwa, dodał on, „musimy podjąć prawdziwą bitwę, tak jak podjęliśmy w swoim czasie bitwę o uprzemysłowienie kraju”.

Zwiększenie produkcji rolnej jest jednak tylko warunkiem koniecznym, w żadnym zaś razie warunkiem wystarczającym do podniesienia standardu życia ludności w Polsce. Reżym jest niewątpliwie zainteresowany tą sprawą niezależnie od tego, czy zamierza naprawdę przeznaczyć więcej ziarna, ziemniaków, cukru, mięsa, mleka i innych produktów rolnych na spożycie wewnętrzne. Po pierwsze, konieczność sprowadzania z Rosji i innych krajów strefy sowieckiej wzrastającej ilości ziarna, obciąża bilans handlowy i zmniejsza import maszyn i surowców dla przemysłu. Nie ulega zaś wątpliwości, iż maksymalna ekspansja przemysłowa była i nadal pozostała głównym i nadrzędnym celem polityki gospodarczej reżimu. Bierut określił jako „imperialistyczną propagandę” spekulacje na Zachodzie na temat dalszego rozwoju gospodarczego „krajów socjalizmu”. W każdym razie jeśli chodzi o Polskę, „założone w Planie Sześćioletnim

podstawowe zadania w dziedzinie inwestycji, w szczególności w dziedzinie dalszej rozbudowy ciężkiego przemysłu będą, jako niezbędne, kontynuowane w niesłabnącym tempie" (1). Zamierzenie podniesienia stopy życiowej ludności jest funkcją tej decyzji i jednocześnie miarą jak nisko spadł standard życia w Polsce, zagrażając dalszej ekspansji przemysłowej.

Zainteresowanie rolnictwem podyktowane jest nie tylko troską o zmniejszenie importu środków spożycia, lecz również wielkimi i niewykorzystanymi możliwościami produkcji rolnej dla celów eksportowych. Na Zachodzie istnieje pojemny i zapewniony rynek zbytu na ziarno, nabiał, mięso i inne produkty rolne. Ograniczenia w handlu między Wschodem i Zachodem są między innymi następstwem faktu, iż kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie są w stanie produktów tych dostarczyć. Podniesienie produkcji rolnej w Polsce do poziomu przedwojennego (na tym samym terytorium) pozwoliłoby nie tylko zaspokoić całe zapotrzebowanie wewnętrzne, lecz również pozostawiłoby znaczny margines na eksport. Za życia Stalina sama myśl o rozwoju produkcji rolnej przed przeprowadzeniem „socjalistycznej przebudowy” wsi była niebezpieczną herezją. Hilary Minc zawsze uważał to za nonsens, lecz wołał schylić głowę niż ją stracić. W swym słynnym przemówieniu z 9 października 1951 roku, które kiedyś znaleźć się może w ręku prokuratora oskarżającego go o akty sabotażu, Minc wywodził przeto, że „dysproporcje między tempem rozwoju przemysłu i tempem rozwoju rolnictwa są *nieuniknione* i na dłuższy okres są zjawiskiem towarzyszącym naszemu rozwojowi gospodarczemu” (2). Po przemówieniach Malenkowa na V sesji Rady Najwyższej Z.S.S.R. i Chruszczowa na Plenum K.C. K.P.Z.R. we wrześniu 1953 roku, ta ortodoksyjna teza stalinizmu stała się z kolei „sekciarskim i lewackim awanturnictwem”. Jesteśmy obecnie świadkami pełnego odwrotu od niej pod hasłem „podniesienia stopy życiowej mas pracujących”.

Decyzja skierowania energii partii i środków finansowych państwa na podniesienie produkcji rolnej była poprzedzona, jak to nakazuje rytuał komunistyczny, obrachunkiem sumienia, wyliczeniem błędów i zaniedbań, chociaż ich główny winowajca spoczywa w mauzoleum na Placu Czerwonym w Moskwie. Umysł wolny od dogmatu komunistycznej doktryny znajdzie w tym obrachunku sumienia wiele pozycji fikcyjnych, podczas gdy błędy podstawowej natury pominięte zostały całkowicie lub podniesione do rzędu cnót. Lecz wspomniany obrachunek ma tę niewątpliwą zaletę, iż pozwala zarysować przybliżony obraz stanu rolnictwa w Polsce. Komunikat P.K.P.G. o wykonaniu N.P.G. w roku 1949 był, jak się zdaje, ostatnim dokumentem podającym konkretniejsze informacje z zakresu produkcji rolnej. Od tej daty nieprzenikniona zasłona milczenia zapadła na wszystko, co mogłoby ujawnić prawdziwy stan rzeczy. Prowadziło to do domys-

(1) *Nowe Drogi*, Nr 52, str. 30.

(2) *Nowe Drogi*, Nr 28, str. 16.

łów, obecnie potwierdzonych ponad wszelką wątpliwość, iż produkcja rolna znalazła się na równi pochyłej ku ruinie. Była to niewidzialna strona księżyca, którego częścią oświetloną była pochyło wznosząca się krzywa produkcji przemysłowej. W ten sposób rzeczywista lub pozorna — co rozstrzygnie przyszłość — zmiana polityki gospodarczej na odcinku rolnym pozwala obserwatorowi z zewnątrz podsumować sytuację w rolnictwie po czterech latach komunistycznych eksperymentów w kolektywizowaniu ziemi i ta sposobność nie powinna być stracona. Temu zadaniu poświęcone są poniższe rozważania. Nie są one czystym opisem, ponieważ wiele wniosków opiera się z konieczności na żmudnych obliczeniach i niesprawdzalnych przesłankach, zestawienia zaś statystyczne niejednokrotnie posługują się cyframi interpolowanymi, przybliżonymi i orientacyjnymi.

I

W Polsce, w obecnych granicach, grunty orne zajmują około 16.479.000 ha, z czego w 1938 roku około 700.000 ha stanowiły ugory płodozmianowe. Powierzchnia wszystkich zbiorów wynosiła przeto 15.780.000 ha. Do tej pory obszar zasiewów gruntów ornych nie osiągnął poziomu przedwojennego i wynosił (3):

TABELA I.

(w tysiącach ha, cyfry zaokrąglone)

1948	1949	1950	1951	1952	1955 (plan)
14.265	14.804	15.180	15.362	15.504	15.900

Na II zjeździe P.Z.P.R. Bierut oświadczył, iż „w naszym kraju istnieje jeszcze około 400 tysięcy ha ziemi nie uprawianej” (4). Wskazuje to, że w 1953 roku obszar zasiewów nie uległ większej zmianie w stosunku do 1952 roku. Nawet przy obecnym niskim plonie z hektara, zagospodarowanie odłogów dałoby pół miliona ton ziarna dodatkowo. Wysiłki w tym kierunku były w przeszłości podejmowane i reżym prowadził rok rocznie akcję „zmobilizowania pracującej wsi” do zagospodarowania „użytków rolnych, które dotychczas bądź leżały odłogiem, bądź były nieracjonalnie wykorzystane”. Odpowiednie zarządzenia przewidywały całkowite zwolnienie od podatku gruntowego i obowiązkowych dostaw z obsianego odłogu w pierwszym roku oraz znaczne obniżki od normalnych stawek w latach następnych. Obowiązek dopilnowania, by odłogi były stopniowo zagospodarowywane, spoczywa na radach narodowych. Nie wywiązywały się

(3) *Rocznik Statystyczny* 1949, str. 62 oraz Komunikaty P.K.P.G. o wykonaniu N.P.G.

(4) *Nowe Drogi*, Nr 57, str. 39.

one jednak z tego obowiązku, za co były niejednokrotnie publicznie ganione (5). W praktyce likwidacja odłogów dokonywała się przez ich dołączanie do istniejących lub tworzenie nowych P.G.R. Uchwała II zjazdu P.Z.P.R. nadal nakłada na P.G.R. ten obowiązek (6).

Obszar gruntów ornych w posiadaniu chłopów wzrósł w okresie 1946-1949 z 10 do 13,6 milionów ha (7). Od tej daty obszar ten faktycznie stale maleje, w miarę postępu kolektywizacji ziem. Ponieważ jednak członkowie spółdzielni produkcyjnych zachowują formalnie tytuł własności do ziemi wniesionej do spółdzielni, a spółdzielnie często otrzymują od państwa grunty z Funduszu Ziemi do użytkowania, obszar użytków rolnych w gospodarstwach chłopskich wzrasta w statystykach reżymowych także po 1949 roku.

Zazwyczaj przyjmuje się, na podstawie „Rocznika Statystycznego 1949”, iż liczba gospodarstw chłopskich wynosi ogółem 3.342.000. Jest to cyfra zbyt duża. Zambrowski podał, iż według Spisu Powszechnego z 3 grudnia 1950 roku, liczba gospodarstw wynosiła 2.930.211 (8). Jest ona podstawą wszystkich obliczeń tego opracowania.

II.

Rok 1950 jest ostatnim rokiem, o którym posiadamy dokładne informacje dotyczące powierzchni wszystkich zasiewów. Powierzchnia ważniejszych z nich była jak następuje:

TABELA 2.
(w tysiącach ha, cyfry zaokrąglone)

	1934-38(a)	1950(b)	1955 (plan)
Zyto	5.352	5.136	4.450
Pszenica	1.343	1.494	1.650
Jęczmień	1.040	845	1.150
Owies	1.952	1.720	1.750
Ziemniaki	2.756	2.643	2.650
Buraki cukrowe	225	287	320
Len i Konopie	71	142	170
Rzepak i Rzepik	48	142	167
RAZEM	12.787	12.409	12.307

(a) W obecnych granicach. (b) B. Puczyński, *Geografia Gospodarcza Polski*, Warszawa 1953, oraz F.A.O. *Yearbook of Statistics*.

(5) Zob. np. *Trybuna Ludu*, 17. 5. 53.

(6) *Nowe Drogi*, Nr 57, str. 500.

(7) *Nowe Drogi*, Nr 27, str. 55.

(8) *Trybuna Ludu*, 2. 7. 52.

Rośliny pastewne zajmowały 2.300.000 ha, strączkowe — 106.000 ha, chmiel, gryka, proso i tytoń — około 700.000 ha.

Informacje o stanie zasiewów po 1950 roku są ogólnikowe i niedokładne. Jak się zdaje, łączny obszar pod uprawą zbóż chlebowych pozostał z grubsza ten sam co w roku 1950, lecz powierzchnia zasiewów pszenicy wzrosła — kosztem żyta — do 1.650.000 ha (9). Wzrósł również obszar pod uprawą jęczmienia i owsa, buraków cukrowych i roślin oleistych, zmniejszył się natomiast znacznie areal roślin pastewnych. Powierzchnia pod uprawą ziemniaków i roślin włóknistych pozostała niezmieniona.

W 1952 roku łączna powierzchnia ważniejszych ziemiopłodów — zboża, ziemniaki, buraki cukrowe, rośliny włókniste i oleiste — kształtowała się mniej więcej na tym samym poziomie co w okresie 1934-1938 (na tym samym obszarze) i przekroczyła o pół miliona ha stan przewidziany na koniec Planu Sześcioletniego. Obszar zbóż chlebowych jest znacznie większy, obszar zbóż paszowych — mniejszy niż przewiduje plan na 1955 rok. W obrębie zbóż chlebowych tendencja do stałego powiększania obszaru pod uprawą pszenicy kosztem obszaru pod uprawą żyta stwarzała niebezpieczeństwo niedoboru żyta w roku nieurodzaju, co faktycznie nastąpiło w znacznych rozmiarach w 1952-1953. Biorąc pod uwagę znaczenie zasiewów żyta, jęczmienia i owsa dla hodowli zwierzęcej oraz spadek arealu roślin pastewnych o ponad 1/3 w stosunku do 1950, nasuwa się przypuszczenie, iż skłagi reżymu na „niedostateczny rozwój bazy paszowej” są częściowo uzasadnione obszarem zasiewów tych ziemiopłodów.

Chociaż obszar pod uprawą czterech zbóż z grubsza odpowiada stanowi zasiewów w okresie przedwojennym (na tym samym terytorium), przeciętny plon czterech zbóż w okresie 1950-1953 nie osiągnął nawet 4/5 zbiorów przedwojennych. Obszar pod uprawą ziemniaków jest jakieś 100.000 ha mniejszy niż w latach 1934-1938, lecz przeciętne zbiory w okresie 1950-1953 wynoszą zaledwie 3/4 zbiorów przedwojennych. Tylko buraki cukrowe, rośliny oleiste i włókniste przekroczyły przedwojenny poziom zbiorów, jednak jedynie w wyniku znacznego wzrostu arealu tych ziemiopłodów (Tabela 3).

Wykazuje to nie tylko, że zbiory w osiem lat po wojnie są nadal znacznie niższe od przedwojennych, lecz również iż 1949 rok stanowi kamień graniczny w rozwoju rolnictwa w Polsce. Do 1949 roku wzrasta zarówno powierzchnia zasiewów jak i zbiory, proporcjonalnie do obszaru i absolutnie. W okresie po 1949 r. wzrasta powierzchnia zasiewów, lecz zbiory wzrastają tylko proporcjonalnie do zwiększonego obszaru. „Średni wzrost zbiorów zbóż w okresie Planu Sześcioletniego, stwierdził Bierut na II zjeździe P.Z.P.R., w stosunku do okresu Planu Trzyletniego wynosi

(9) Uchwała Prezydium Rady Ministrów z 24. 1. 1951 oraz Komunikat P.K.P.G. za II kwartał 1951.

tylko 5%. Dla kartofli średni wzrost liczony analogicznie wynosi tylko 4% (10). Bierut nie wyjaśnił jednak, iż przeciętny obszar zasiewów czterech zbóż w okresie Planu Sześcioletniego był ponad 6%, przeciętny obszar pod uprawą ziemniaków — około 8 procent większy niż w okresie Planu Trzyletniego.

TABELA 3.

	1934-38(a)	1949	1950	1953	1955 (plan)
Zyto	6.850	6.759	6.290		6.900
Pszenica	1.965	1.781	1.840	11.100(b)	2.800
Jęczmień	1.633	1.028	1.076	11.350(b)	1.960
Owies	2.836	2.333	2.126		2.800
Ziemniaki	37.088	30.900	36.836	31.950(c)	39.750
Buraki Cukrowe ..	954	745	828	1.105(d)	1.100
(zawartość cukru)					

(a) W granicach obecnych.

(b) Cyfra szacunkowa oparta na własnych obliczeniach. Według *Gospodarki Planowej*, 12, 1953, str. 10, łączny plon czterech zbóż osiągnął około 11.350.000 ton.

(c) *Gospodarka Planowa*, Nr 12, 1953, str. 10 oraz komunikat PKPG na III Kwartał 1953.

(d) *Nowe Drogi*, Nr 57, str. 32. *Życie Gospodarcze*, Nr. 4, 1954, str. 144 podaje cyfrę 1.092.500 ton.

Porównywanie produkcji rolnej w całym okresie Planu Trzyletniego z pierwszymi czterema latami Planu Sześcioletniego budzi znaczne wątpliwości. Rok 1947 był zbyt bliski wojny i jej skutki dawały się wówczas w Polsce i w innych krajach zniszczonych wojną bardzo dotkliwie we znaki. Ponadto 1947 rok jest nieporównywalny z latami następnymi. W 1947 roku powierzchnia zasiana wynosiła niespełna 13 milionów ha. W następnych sześciu latach powierzchnia ta wzrosła o ponad 2,5 miliona ha, z czego ponad połowa przypada na 1948 rok. Prowadzi to do wniosku, iż porównanie lat 1948-1949 i 1950-1953 daje obiektywniejszy obraz dynamiki rozwojowej produkcji rolnej.

(10) *Nowe Drogi*, Nr 57, str. 38.

TABELA 4

Przeciętna powierzchnia zbiorów: Przeciętny zbiór:
(W tysiącach hektarów i ton)

1948-1949:			
Cztery zboża	9.160	11.620	
Ziemniaki	2.500	28.800	
1950-1953:			
Cztery zboża	9.420	11.630	
Ziemniaki	2.640	31.900	

Rozpatrzenie poziomu zbiorów łącznie z ich powierzchnią pozwala bliżej scharakteryzować „krzywą” produkcji rolnej po roku 1949. W okresie Planu Sześcioletniego „krzywa” ta stabilizuje się na tej samej wysokości, względnie oscyluje poniżej i powyżej poziomu z 1949 roku. Dotyczy to nie tylko zbóż i ziemniaków, lecz również roślin przemysłowych. Z wyjątkiem buraków cukrowych brak jest wprawdzie informacji na ten temat, lecz pewne względy wskazywały na to, że około 1950 roku wystąpiło ohamowanie we wzroście produkcji roślin włóknistych i oleistych, a IX Plenum K.C. P.Z.P.R. potwierdziło te przypuszczenia. Zadania dla rolnictwa na 1954-1955 mówią o konieczności rozszerzenia i zwiększenia zbiorów roślin włóknistych i oleistych oraz osiągnięcia „przełomu” w ich produkcji (11). Na IX Plenum reżym zrezygnował z osiągnięcia poziomu produkcji ziarna i ziemniaków przewidzianego na 1955 rok. Zamiast pierwotnie oczekiwanych 14,5 miliona ton ziarna (czterech zbóż), reżym zadowolni się obecnie 12,7 - 13,0 milionami ton w 1955 roku. Wzrost plonów ziemniaków o 7 - 9 kwintali z ha w stosunku do 1953 r. pozwoli zbliżyć się do zapowiadanych 40 milionów ton w 1955 roku, lecz niedobór rzędu kilku milionów ton nadal się utrzyma.

Nasuwa się przypuszczenie, iż pomimo wzrastającego — w okresie Planu Sześcioletniego — parku maszyn rolniczych i zaopatrzenia w nawozy sztuczne, plony wykazują jedynie wahania roczne, związane z mniej lub bardziej pomyślnymi warunkami atmosferycznymi, nie zdradzają natomiast symptomów tendencji zwykłej. Zestawienie wydajności z hektara umacnia to przypuszczenie.

(11) *Nowe Drogi*, Nr 52, str. 73.

TABELA 5

(w kwintalach z ha)

	1934-38(a)	1949	1950	1953	1955 (plan)
Zyto	12,8	13,1	12,4		15,5
Pszenica	14,6	12,3	12,4		17,0
Jęczmień	15,7	12,2	12,7		17,0
Owies	14,7	13,1	12,4		16,0
Ziemniaki	138	122	140	121(b)	150
Buraki Cukrowe ..	254	184	222	199(c)	240

a) w granicach obecnych. b) *Gospodarka Planowa*, Nr 12, 1953, str. 10. c) Na podstawie *Życia Gospodarczego*, Nr 4, 1954, str. 144. g) B. Puczyński, *Geografia Gospodarcza Polski*, str. 187, 188.

Spadek produkcji rolnej zaznaczył się nie tylko w Polsce, lecz i w innych krajach satelickich, na Węgrzech, w Czechosłowacji, a w szczególności w Niemczech Wschodnich. Jest on widoczny w porównaniu globalnych cyfr produkcji — jak i wydajności z hektara — poszczególnych ziemiopłodów w okresie przed i po wojnie (12). Od 1950 roku Polska musiała importować wzrastającą ilość zboża chlebowego z Rosji, a w roku 1951 również ziemniaki z Niemiec Wschodnich. W 1953 roku import ziarna chlebowego wzrósł do 1 miliona ton. Jak reżym przewiduje, także w roku bieżącym import ziarna nie spadnie poniżej tej cyfry (13).

Rozważania tego rozdziału dają się streścić w następujących wnioskach. W produkcji rolnej (roślinnej) rok 1949 stanowił w sposób widoczny datę przełomową. Do 1949 roku produkcja stale wzrastała. Plan trzyletni w rolnictwie był w pełni osiągnięty, tak co do powierzchni zasiewów, jak i plonów z hektara (14). Od zniw 1949 roku nastąpiło wyraźne zahamowanie dalszego rozwoju. Istnieją tylko roczne oscylacje związane z warunkami klimatycznymi, a wzrost produkcji jest funkcją zwiększanego obszaru zasiewów. Najbardziej uderzającym przykładem obniżenia się plonów jest fakt, iż przeciętny zbiór czterech zbóż w latach 1948-1949 z obszaru mniejszego dorównywał zbiorom tych zbóż w latach 1950-1953 z obszaru większego.

(12) *Economic Survey of Europe since the War*, str. 272.

(13) *New Statesman and Nation*, 10. 4. 54.

(14) Plan Odbudowy Gospodarczej. Liczby Podstawowe oraz Komunikat P.K.P.G. o wykonaniu N.P.G. w roku 1949.

III.

W końcowej fazie Planu Trzyletniego stan hodowli zwierzęcej osiągnął — podobnie jak produkcja roślinna — poziom przewidziany lub nawet wyższy od pierwotnie zamierzonego, chociaż niższy od poziomu przedwojennego. Jedynym wyjątkiem była hodowla trzody chlewnej, której stan nie dorównał zamierzeniom Planu.

TABELA 6.

	Plan (w tysiącach sztuk) 1938(a)	Osiągnięcie 1949(b)
Bydło	9.924	5.200
Świnie	9.684	9.000
Owce	1.940	1.100
Konie	3.148	2.470

(a) W granicach obecnych. (b) Stan na 30 czerwca. Źródło: U. N. Yearbook 1951, str. 112. Biorąc za podstawę stan na 30 czerwca 1948. (Rocznik Statystyczny 1949, str. 72) oraz Komunikat PKPG o wykonaniu NPG w roku 1949 otrzymujemy następujące cyfry: bydło — 6.380.000, świnie — 5.551.000, owce — 1.636.000, konie — 2.550.000. (c) Według innego źródła — H. Minc, *Nowe Drogi*, Nr 28, str. 17 — 6.120.000.

Podobnie jak w wypadku produkcji roślinnej, rok 1949 był także w hodowli zwierzęcej rokiem przełomowym, od którego datuje się jej znacznie wolniejszy wzrost, wahania i odchylenia od planowanego stanu pogłowia. Ten rozwój wydarzeń ilustruje poniżej podana tabela.

TABELA 7.

(w tysiącach sztuk, stan na 30 czerwca każdego roku)

	1949	1950	1951	1952	1953
Bydło	6.345	6.837(a)	7.200(b)	7.400(c)	7.385(d)
Świnie	5.818	9.350(e)	8.450(f)	8.700(g)	9.730(d)
Owce	1.617	2.068(a)	2.194(h)	2.480(g)	3.330(d)
Konie	2.541	2.677(a)	2.797(b)		2.720(d)

(a) *Nowe Drogi*, Nr 27, str. 55. (b) *Wies w Liczbach*, wydanie drugie, str. 95. Według Spisu Powszechnego z 3. 12. 1950 7.163.000. (c) *Gospodarka Planowa*, Nr 9, 1953, str. 15. (d) Uchwała Rady Ministrów z 17. 12. 1953. (e) *Gospodarka Planowa*, Nr 2, 1952, str. 52. Według H. Mince, *Nowe Drogi*, Nr 28, str. 17, stan trzody chlewnej na 30 czerwca wynosił 8.135.000, na 31 grudnia — 9.928.000 sztuk (por. Spis Powszechny z 3. 12. 1950). (f) *Wies w Liczbach*, str. 96. (g) Komunikat PKPG o wykonaniu NPG w roku 1952 oraz *Wies Polska wobec Zadań Czwartego Roku Naszej Sześciolatki*, str. 17. (h) U.N. Yearbook 1952 i *Spis Powszechny* z 3. 12. 1950.

Stan hodowli w połowie 1953 roku spowodował rewizję pierwotnych zamierzeń Planu Sześcioletniego na 1955 rok. Nowe cele zostały ustalone uchwałą Rady Ministrów z 17. 12. 1953 roku — na podstawie decyzji IX Plenum K.C. P.Z.P.R. i później zatwierdzone bez zmian na II zjeździe P.Z.P.R.

TABELA 8

Cel na 1955 rok :

	Plan pierwotny (w tysiącach sztuk)	Plan przewidziany
Bydło	9.500	7.900— 8.100
w tym Krowy	6.460	5.500
Świnie	10.500	10.600—11.100
Owce	3.800	4.200— 4.300

Cechą uderzającą powyższych zmian jest skoncentrowanie wysiłków na poprawienie stanu hodowli trzody chlewnej i owiec. Jedynie liczba owiec przewyższyła dotąd stan przedwojenny (na tym samym terytorium) i rozwija się pomyślnie z roku na rok. Niemniej cel na 1955 rok został podniesiony. Może to pozostawać w związku z decyzją dalszego uniezależnienia się od dostaw wełny z zagranicy, w praktyce od rynków zachodnich. W 1953 roku przemysł wełniany otrzymał z kraju 16% zapotrzebowania na wełnę, reszta natomiast była pokryta z importu (15). Zamierzony wzrost hodowli owiec o 25-30% w 1955 roku pozwoliłby zredukować import wełny do około 4/5 całkowitego zapotrzebowania, względnie — jeżeli zrealizowane będzie zamierzone powiększenie produkcji materiałów wełnianych — utrzymać stosunek wełny importowanej i krajowej w zaopatrzeniu przemysłu włókienniczego.

W wypadku trzody chlewnej względy eksportowe odgrywały, jak się zdaje, poważną lub nawet decydującą rolę w decyzji dalszego podwyższenia stanu pogłowia. Należy przypomnieć, iż kontraktacja trzody chlewnej mięsno-słoninowej i bekonowej została w 1954 roku znacznie powiększona (16). Wymaga to wzmoczonego wysiłku w hodowli reprodukcyjnej i towarowej, jeżeli jednocześnie ma się utrzymać grunt stracony w 1950-1951 i nawet podnieść stan pogłowia o 1 milion sztuk w okresie 1954-1955. Remont stada kształtuje się przy obecnym stanie pogłowia na wysokości około 400.000 sztuk rocznie. Ponadto, licząc się z koniecznością pewnych nadwyżek, które w wypadku trzody chlewnej trzeba uwzględnić, przeciętny roczny przyrost winien wynieść w najbliższych dwóch latach, łącznie z remontem, około 1 miliona sztuk. Stan pogłowia trzody chlewnej obecnie przewidy-

(15) *Nowe Drogi*, Nr 52, str. 158.

(16) Uchwała Rady Ministrów z 17. 12. 1953.

wany na 1955 rok jest przeto celem ambitnym, którego wykonanie napotka na trudności a osiągnięcie wymagać będzie wysiłku. Polityka gospodarcza reżymu, skoncentrowana na rozbudowie przemysłu ciężkiego i przemysłowej ekspansji, każe wątpić, iż ten szczególny wysiłek jest podejmowany z myślą o konsumencie.

Znaczne obniżenie pierwotnie planowanej liczby bydła w 1955 roku było zapewne spowodowane niepowodzeniami w tak zwanym „pionie reprodukcyjnym”, tzn. w wychowku rozplodników na remont stada i zwiększenie stanu pogłowia. Dla osiągnięcia pierwotnych zamierzeń roczna produkcja remontowa — przy czteroletniej i odpowiednio trzyletniej rotacji — winna była wzrastać progresywnie w okresie Planu Sześcioletniego od ponad 1,0 do 1,7 miliona sztuk. Uchwała Rady Ministrów z 17. 12. 1953, która nakłada na Ministerstwo Rolnictwa kwantytatywnie wysokie obowiązki w zakresie stada zarodowego oraz ofiarowuje znaczną materialną zachętę dla hodowli zarodowej gospodarce chłopskiej ujawniła przyczynę — a w każdym razie jedną z przyczyn — zastoju we wzroście pogłowia bydła. Zastój ten zarysował się w połowie 1951 roku i utrzymuje się do chwili obecnej. Był to poważny błąd i wynik pozostawienia tej dziedziny produkcji rolnej, która bardziej niż wytwórczość roślinna dopuszcza planowanie, na flukty, jak się to mówi w Polsce, „żywiolu” i „procesów spontanicznych”. Błąd planistów leży u podstaw zahamowania procesu wzrostu hodowli. To zaniedbanie wyjaśnia konieczność zrewidowania i obniżenia poziomu zamierzonego na 1955 rok oraz zredukowania rocznego przyrostu w okresie 1954-1955 do około 300.000 sztuk, to znaczy tyle ile w okresie 1948-1951. Ilościowe osiągnięcie obecnego celu 8 milionów sztuk w 1955 roku nie jest rzeczą trudną. Lecz jeżeli ma to być stan trwały, a nie przelotny, wymaga on odpowiedniego zaplecza — stada zarodowego i produkcji remontowej. Na tych dwóch odcinkach hodowlanych skupia się obecnie uwaga reżymu.

Na marginesie można zauważyć, iż wahania w pogłowie trzody w Polsce ukazują uderzające podobieństwo do wahań zaobserwowanych w Rosji. Stan pogłowia świń i owiec spadł po rozpoczęciu kolektywizacji, w wypadku owiec nawet poniżej po-

TABELA 9
(w milionach sztuk)

	1916	1928	1941	1953
Bydło	58,4	66,8	54,5	56,6
w tym Krowy	28,8	33,2	27,8	24,3
Świnie	23,0	27,7	27,5	24,3
Owce	96,3	114,6	91,6	109,9

Źródło : Referat Chruszczowa na Plenum KC KPZR we wrześniu 1953.

ziomu przed rewolucją, lecz obecnie kształtuje się mniej więcej na poziomie z 1928. Największe straty poniosła hodowla bydła. Spadła ona bardzo gwałtownie w okresie kolektywizacji i to poniżej stanu przed rewolucją, a nawet obecnie (1953) utrzymuje się poniżej poziomu z 1916 roku. Pozostaje to w związku z charakterem hodowli. Wymaga ona większej umiejętności, systematycznej, codziennej pracy obliczonej na długą metę, której owoce zbiera się po latach. Stan niepewności hodowcy, jaki istnieje w Polsce od 1949 roku, oraz obawy, czy warto jest wkładać pracę i zasoby finansowe w hodowlę, ma w wypadku bydła dotkliwsze następstwa aniżeli ma to miejsce w odniesieniu do trzody chlewnej i owiec. Obecnie stosowane koniunkturalne „bodźce ekonomiczne” do zwiększenia pogłowia, czasem skuteczne w hodowli świń i owiec, nie wystarczają dla zwiększenia stanu rogowatych.

Chociaż reżym stwarza pozory, iż zmiany w zakresie hodowli podyktowane były względami „nowej polityki” zmierzającej do „szybkiego podnoszenia stopy życiowej mas pracujących”, zmiany te dopuszczają także inne wyjaśnienie. Było ono już poprzednio wspomniane. Zwiększenie hodowli owiec pozwala zarówno podwyższyć produkcję materiałów wełnianych, jak i obniżyć import wełny. Zwiększenie hodowli świń może zarówno polepszyć zaopatrzenie konsumenta w mięso, tłuszcz i wędliny, jak i dostarczyć większej masy tych produktów na eksport. Ich zbyt na Zachodzie jest zapewniony. Reżym wielokrotnie stwierdzał, iż pragnie powiększenia obrotów z Zachodem, do czego obecnie istnieje dodatkowa zachęta na skutek rewizji listy towarów, na które uprzednio państwa zachodnie nałożyły embargo w eksporcie za Żelazną Kurtynę. Wśród artykułów, jakie Polska mogłaby zakupić na Zachodzie, są niektóre typy traktorów, obrabiarek i urządzeń fabrycznych (17). W tym jednak celu Polska musi wzamian zapewnić dostawę artykułów przez Zachód poszukiwanych, w szczególności środków żywnościowych. W latach 1950-1952 Polska eksportowała na Zachód od 30 do 40 tysięcy ton mięsa. Na konferencji ekonomicznej w Moskwie delegacja warszawska twierdziła, iż eksport mięsa na Zachód może wzrosnąć w okresie 1953-1955 do 150.000 ton rocznie. Ta obietnica nie jest dotąd spełniona. Lecz zwiększenie produkcji wspomnianego i innych środków żywnościowych jest zamierzeniem ze wszech miar uzasadnionym, niezależnie od potrzeb konsumenta w Polsce. Nawet jeżeli będzie ono zrealizowane, to z tego jeszcze nie wynika, iż konsument na tym skorzysta. Te wątpliwości wzmacnia sytuacja w zakresie hodowli bydła, w której konsument jest szczególnie zainteresowany, ponieważ od niej zależy jego zaopatrzenie zarówno w mięso i tłuszcz, jak i mleko.

(17) Hearings by the Senate Foreign Relations Committee z 9. 4. 54.

IV.

O produkcji mleka, tłuszczów i mięsa posiadamy tylko fragmentaryczne informacje.

TABELA 10
(w milionach litrów)

1934-38(a)	1949(b)	1950(c)	1951(d)	1953(e)	1955 plan
10.425	5.250	7.000	7.760	9.000	12.274

(a) W obecnych granicach. (b) *Economic Survey of Europe in 1950*, str. 45. (c) B. Puczyński, *Geografia Gospodarcza Polski*, str. 165. (d) *Economic Survey of Europe in 1951*, str. 30. (e) Cyfra szacunkowa, oparta na uchwale Rady Ministrów z 17. 12. 1953, która podaje, iż roczna produkcja na jednego mieszkańca wyniosła 342,1 litra. Obliczenie, które wychodzi z liczby krów (5.200.000 — *Gospodarka Planowa*, Nr 9, 1952, str. 15) i przeciętnej rocznej wydajności 1.716 litrów mleka od krowy w 1953 roku prowadzi do tego samego rezultatu.

Powyższe cyfry obejmują całkowitą produkcję mleka, wliczając w to mleko zużyte do wyrobu masła, sera i mleka pasteryzowanego. Przy obniżonym stanie stada krów mlecznych osiągnięcie celu zamierzonego na 1955 rok jest obecnie wysoce nieprawdopodobne. Wymagałoby to bowiem podniesienia rocznej wydajności mleka od krowy z 1.716 do ponad 2.230 litrów. W porównaniu z wydajnością mleka w przodujących krajach zachodnich nie byłby to wynik rekordowy, lecz w stosunku do obecnej wydajności w Polsce byłoby wzrostem niezwykle gwałtownym. Należy przypomnieć, że wydajność mleka w 1953 roku wykazuje wzrost o 200 litrów w stosunku do przeciętnej w 1950 roku.

Produkcja mięsa kształtowała się następująco :

TABELA 11
(w tysiącach ton)

1934-38(a)	1949(b)	1950(c)	1953(d)	1955 plan)(e)
1.168	850	1.250	933	1.688

(a) W obecnych granicach. (b) *Economic Survey of Europe in 1950*, str. 45. (c) Ustawa z 19. 4. 1950 o NPG na rok 1950. Waga żywa. (d) Cyfra szacunkowa oparta na uchwale Rady Ministrów z 17. 12. 1953. (e) Wagi żywej.

Brak informacji o stanie jakiegokolwiek gałęzi produkcji w Polsce jest zazwyczaj świadectwem, iż jej wysokość pozostawia wiele do życzenia i nie przebiega stosownie do planu. W 1953 roku przypadało 35 kg. mięsa na jednego mieszkańca — dla po-

równania można przypomnieć, iż w latach racjonowania mięsa w Wielkiej Brytanii rzeczywista konsumpcja wynosiła 52 kg., co oznacza, iż nie można zanotować praktycznie żadnej poprawy w stosunku do okresu poprzedzającego Plan Sześcioletni. W 1949 roku wytwórczość mięsa wynosiła co najmniej 34 kg. na głowę ludności, przy korzystnym dla reżymu założeniu, iż liczba ludności sięgała 25 milionów osób. Liczba ta była jednak z pewnością mniejsza — 25 milionów wykazał dopiero Spis Powszechny z 3. 12. 1950 — a w konsekwencji produkcja na głowę ludności była niewątpliwie większa. Ponadto cyfra 35 kg. na jednego mieszkańca jest niezwykle niska i wystarcza na tygodniową rację w wysokości niespełna 675 gr. Wreszcie produkcja 35 kg. na jednego mieszkańca wcale nie oznacza, iż każdy tyle mięsa faktycznie spożywał. Polska eksportowała znaczne ilości artykułów mięsnych i nie jest zapewne przesadą powiedzieć, iż zaledwie połowa całkowitej produkcji faktycznie docierała do konsumenta (18). Chociaż wiemy niewiele, jak kształtowała się produkcja w pierwszych czterech latach Planu Sześcioletniego, to co wiemy w pełni wyjaśnia wysokie ceny mięsa oraz trudności nabycia go w sklepach.

W produkcji mięsa przeważa żywiec wieprzowy. Stanowi on około 70% całkowitej produkcji, żywiec wołowy — około 25%, pozostałe gatunki — 5%.

Zbigniew JORDAN

Od Aragona do Orwella

W KRAJU O OBCEJ LITERATURZE

„Nowa Kultura” wydała ostatnio (29. 8. 1954) specjalny numer poświęcony „zagadnieniom kultury francuskiej”. Poza słowem wstępnym Iwaszkiewicza i krótkim artykułem Grodzkiego o międzynarodowym festiwalu teatralnym, wszyscy współpracownicy tego numeru to Francuzi. Lista ich nazwisk dobitnie mówi jak w tym wypadku interpretowano pojęcie „francuskiej kultury”: Aragon, Elza Triolet, André Wurmser, Jean Marsenac, Charles Marse, Vercors, Pierre Gamarra, Henriette Psichari-Renan, Louise Mamiac, Marcel Cornu, Pierre Abraham, Georges Sadoul.

Jak widać, nawet Sartre, mimo podróży do Moskwy, nie jest godzien figurować obok plejady z „Lettres Françaises”.

(18) Por. U.N. Yearbook 1951, str. 293.

André Wurmser, czołowy propagandzista francuskiej literatury komunistycznej, stara się w swoim artykule odpowiedzieć na potencjalne zarzuty polskiego fikcyjnego czytelnika, który by go zapytał:

„Słuchaj, czy książka, którą chwalisz, jest *naprawdę* tak dobra?” lub w odwrotnym porządku: „Słuchaj, czy książka Mauriaca czy Tartempiona (*) jest *naprawdę* taka zła?”

Wurmser uspokaja śmiałka: Aragon, Elsa Triolet, André Stil, Vercors, Pierre Daix, Courtade, Gamarra, André Kedros, Claude Roy i George Sadoul — to *naprawdę* najlepsi francuscy pisarze współcześni...

Ale polski czytelnik nie wydaje się podzielać tego zdania. Świadczy o tym chociażby artykuł („dyskusyjny”, jak ostrożnie podkreśla redakcja) Lecha Budreckiego w poprzednim numerze „Nowej Kultury” (22. 8. 1954) pt. „Milczenie i Ucho Igielne”.

„Ucho Igielne” — to wymagania cenzury w stosunku do cudzoziemskich pisarzy, których książki można tłumaczyć i wydawać w Polsce.

„Pierwszy warunek zawarty w teorii „ucha igielnego” — pisze Budrecki — dotyczy nie książki, lecz jej autora. Żąda, by był on osobiście związany z ruchem robotniczym, by głosił jego hasła w swoich artykułach, by podpisywał odezwy i apele, by przemawiał na wiecach”. Następują „ketmanowe” zapewnienia, że tych oczywiście, tych w pierwszym rzędzie. Ale...

„Uzasadnieniem przekładu, usprawiedliwieniem krytycznego studium staje się osobisty stosunek tego pisarza, którego się tłumaczy, o którym pragnie się opublikować rozprawę, do ruchu robotniczego. Cóżby się wówczas stało z Flaubertem, serdecznie nienawidzącym paryskiej Komuny? „Pani Bovary” i „Szkoła Serc” nie doczekałyby się nowego przekładu. Nikt nie śmiałby poświęcić autorowi nawet małego artykułu, nie mówiąc już o monografii...”

„...Drugi warunek, ustalony przez teorię „ucha igielnego” — ciągnie Budrecki — mówi, że jedynie dzieła bliskie realizmowi socjalistycznemu... zasługują na omówienie i wydanie...”

Policzmy teraz, mówi autor artykułu, straty spowodowane teorią „ucha igielnego”. Następują skomplikowane rozważania — zapewne znów „ketmanowe” — o pisarzach służących „mimowoli” rewolucji. Najciekawsza jest jednak lista autorów cudzoziemskich, których Budrecki uważa za godnych przykładu. Jest kilku Francuzów: Robert Merle, Pierre Gascar, Hervé Bazin (tutaj autor natrafił na pisarzy dla których nawet komunści francuscy są „laskawii”). Ale zastanawia ogromna i bardzo różnorodna lista Amerykanów: Faulkner, Steinbeck, Hemingway, Scott-Fitzgerald, Caldwell, Nathanael West, John O'Hara, Norman Mailer, Carson McCullers, Eudora Welty, Dorothy Parker,

(*) „Tartempion” — to po francusku tyle co „Igrek”, lub „Iks”. Redaktorzy „Nowej Kultury” musieli się głowić kim jest ten tajemniczy francuski reakcyjny pisarz.

Irving Shaw, Glenway Wescott, Jems Farrel, Jerome Weidmann, Edward Dahlberg, Benjamin Appell, James Cain...

A teraz kwestia „milczenia”. Budrecki stwierdza że krytyka polska nie reaguje na najlepsze książki, „które będąc arealistycznym pamfletem, bezpośrednio mierzą w socjalizm”:

„...Czy któryś z naszych publicystów rozprawił się z „Ciemnością w Południe” Koestlera? Skądże znowu. Wszem, powieść tę wspomniano kilkakrotnie i niestety z reguły w tonie dość przychylnym, nigdy jednak nie polemizując z jej problematyką, zawsze jednak ostrożnie obchodząc jej, wroga nam, ideologię. Czy któryś z naszych krytyków wymierzył sprawiedliwość „Zwierzęcemu Folwarkowi” i „Rokowi 1984” G. Orwella lub „Sprawie komisarza Tulajewa” V. Serge’a? Czy ktoś rozpoczął dyskusję z „Przygodami Młodego Człowieka” J. Dos Passosa lub z „Gdy Krzak staje się Popiołem” M. Sperbera? Nikt. A przecież podajemy tutaj tytuły książek otwarcie atakujących socjalistyczne społeczeństwo... Powieści Koestlera, liryka Eliota, dramaty Saroyana domagają się wręcz polemicznego odzewu, który demaskowałby ich ideologiczne treści. Tymczasem nasi krytycy uchylają się od tego obowiązku. Traktują owe książki jako sprawę „przykrą i drażliwą”, której lepiej nie poruszać. Mówią o niej, ale nie piszą... Koestler czy Waugh, Wilder czy Camus... oddziałują silnie, sugestywnie. Dlatego ich właśnie trzeba demaskować, dlatego z nimi trzeba walczyć... Nie łudźmy się, książki Koestlera i Orwella, Waugh’a i Camusa kursują po Polsce. Są czytane, wypożyczane, ba, poszukiwane nawet. Ślęczą nad nimi nie tylko jawni lub skryci wrogowie. Pochylają się nad ich kartkami i ci, których dotychczas nie przekonaliśmy, a których przekonać warto”.

Budrecki nawiązuje do artykułu J. Lisowskiego w jednym z poprzednich numerów „Nowej Kultury”, w którym Lisowski stwierdzał, że w Polsce „słucha się” nie tylko Polskiego Radia, ale również i „Wolnej Europy” i „Głosu Ameryki”. Tak, tak, pisze Budrecki. Do polskich słuchaczy

„dobiegają słowa o rzekomej wielkości burżuazyjnej sztuki, na cześć której peany wyśpiewują szczekaczki.”

Z powyższych rozważań wynikałoby:

„Wątpiący, niezdecydowani, opierają się tym pochwałom, ale oporu swego nie umieją uzasadnić. Słyszają argumenty wytaczane przeciw socjalizmowi. Nie ufają im. Szukają odpowiedzi. A tej nie ma, lub prawie nie ma. Iluż z nich daremnie wyczekuje repliki na fałszywe, perfidne racje wroga? Milczenie naszych pisarzy nie pomaga, raczej nieświadomie pogarsza sytuację. Tego kto milczy wielu uznaje za pokonanego...”

Po pierwsze — książki takie jak „1984”, czy „Ciemność w Południe” są w Polsce ogólnie znane, poszukiwane i dyskutowane. Jest w tym jakby ilustracja tezy Hostowca o związku pomiędzy cenzurą i wiarą w potęgę literatury...

Po drugie — pisarze i czytelnicy polscy, choć po kryjomu czytają nawet Orwella i Camusa, chcieliby móc jawnie czytać przynajmniej Gascara i Hemingwaya. Prawdopodobnie skończy się na „artykułach dyskusyjnych”. Należy wątpić aby ich argumenty mogły przemówić do cenzury...

(a. n.)

Sprawy emigracyjne w prasie warszawskiej

W prasie krajowej coraz częściej — po paru latach niemal całkowitego milczenia — pojawiają się artykuły i wzmianki o emigracji. Nie tylko na temat „emigracyjnej Guatemali” co jest zrozumiałe, i czego powinni byli oczekiwać nasi „przywódcy polityczni”, ale również w sprawach kulturalnych. Ton jest różny — od ataków, poprzez „obiektywne” wzmianki, aż po niemal przyzwoite polemiki. Najciekawsze są może te wzmianki „obiektywne”, podane niby mimochodem. I tak Matuszewski pisze, w artykule o polskiej literaturze współczesnej („Nowa Kultura”) że Koźmiński, autor „Piątki z Ulicy Barskiej” będąc przejazdem w Paryżu spotkał się z „zespołem Kultury” i przytacza krytyczne zdanie Jerzego Giedroycia o monotonii i nudzie nowych polskich powieści. Podobnie, „Kultura” bywa cytowana w artykułach i broszurach wydanych w Polsce jako bibliograficzne źródło informacji (zwłaszcza dział „Najnowsza Historia Polski”). Pisarzem emigracyjnym którego nazwisko najczęściej wymienia prasa krajowa jest Juliusz Mieroszewski (nazywany przez „Trybunę Ludu” „czołowym publicystą emigracyjnym”). Mieroszewskiemu poświęca „Trybuna Ludu” artykuły raz to powołując go na koronnego świadka (po społu z Zygmuntem Nowakowskim) w sprawach „kryzysu emigracji”, czy też, słowami „Trybuny Ludu”, „londyńskiego cyrku”.

W inny, bardziej popularny ton uderzył p. „tak.” w „Nowej Kulturze”, poświęcając artykuł „Emigracyjnym Dobrodziejom”. Jest to dość nieudolne zestawienie cytów z artykułu W. A. Zbyszewskiego pt. „Przeludnienie” („Wiadomości”) i wierszy Jana Winczakiewicza („Orzeł Biały”). Z cytów tych ma rzekomo wynikać, że emigracja kpi z „biedy” kraju i chce imponować „zachodnim luksusem”. Rozumowanie p. „tak.” jest zawile i mało przekonujące. Oddajmy mu głos:

„Łatwo sobie pokpić z nas, wygłodzonych, kiedy się zajada londyńskie krwawe befsztyki. Dobrze się widać żyje tym młodym londyńskim literatom. Tak im tłusto, że aż z nas sztydzą...”

Ale zadanie p. „tak.” jest bardziej skomplikowane. Artykuł jego ma dowiedzieć nie tylko że emigranci są beczelni, nietaktowni i tłusci, ale jeszcze że kłamią, bo naprawdę żyją w nędzy. Na dowód tego „tak.” przytacza apel Janusza Jasińczyka do emigracyjnych czytelników o subskrypcję „Słowa o Bitwie”. Na zakończenie, ironiczny triumf:

„Nigdy nie czytałem utworów p. Janusza Jasińczyka ale już jestem gotów odjąć sobie od ust i przesłać mu 8 zł. (równowartość 2 dolarów), aby zaprzestał dalszego pisanie powieści i z kolegą Janem Winczakiewiczem kropnął gdzieś „setkę” pod śledzika, co zapewne przyniesie emigracji kilka liryków ideologicznych, a nam dostarczy okazji do zabawy...”

To było w czerwcu. „Nowa Kultura” z 20 września przynosi inny artykuł tego samego p. „tak.”. „List w sprawach emigranckich”. „tak.”

przytacza list który rzekomo otrzymał od czytelnika po swoim pierwszym artykule. List ten podpisany po prostu „Mrągowski”, nie wydaje się autentyczny, ale skomponowanie takiego listu przez redakcję „Nowej Kultury” czy samego p. „tak” (który nie ma, jak zobaczymy, „partyjnej” przeszłości) jest dość charakterystyczne. Kpiny z Winczakiewicza i Jasieńczyka przecież musiały się komuś wydać przymilnym wyskokiem w nienajlepszym guście. Oto co pisze autentyczny, czy fikcyjny p. Mrągowski:

„Godząc się najzupełniej ze stanowiskiem autora (a więc i Sz. Redakcji) co do „essaju” W. A. Zbyszewskiego, stwierdzić muszę, że drwiny i „dowcipy” pod adresem Winczakiewicza i Jasieńczyka są co najmniej niesmaczne. Dla człowieka uczciwego i zdolnego do trzeźwego myślenia z wierszy Winczakiewicza, jak i odezwy Jasieńczyka wieje głęboki tragizm. Kto był zagranicą w okresie wojny i zaraz po wojnie, wie jak trudną była decyzja powrotu do kraju czy pozostania na Zachodzie. Wiem, że w świętym oburzeniu zakrzykniecie, że jakież znów wątpliwości? Droga była tylko jedna: powrót do kraju. Ale ja znam ludzi, zwykłych rzemieślników, nie zamieszanym w żadną robotę polityczną, którzy jednak wybrali tułaczkę na obczyźnie. Kwestia przekonania. Czy można ją uszanować? Winczakiewiczowie nie są szczęśliwi „zajadając londyńskie krwiste befsztyki”. Nie wiem, czy ob. t a k, będąc w 1945-6 na Zachodzie, zdecydowałby się tak od razu z miętą, na powrót. Chyba, żeby był skrajnie lewicowych poglądów. Ale tak chyba nie było?...

Co do Jasieńczyka — to nie znam go, podobnie jak nie znam Winczakiewicza. O jego książce „Po Tobruku był Narvik” słyszałem jako o dobrej pozycji literackiej. Inaczej by jej zresztą nie wydano, boć chłonność londyńskiego czy paryskiego rynku na książki polskie nie jest więcej niż ograniczona. Praca Jasieńczyka powinna być ciekawą, bo mówi o nieznanej w Kraju a chlubnej karcie polskiego żołnierskiego losu. Tym bardziej jest rzeczą tragiczną, że autor, by zakończyć swą pracę, musi uciekać się aż do zebrania nieomal. Czy to zasługuje na szyderstwo? Na „wspaniałomyślny” odruch pana t a k „przekazania” Jasieńczykowi aż 8 złotych? Niezbyt chlubne świadectwo wystawił sobie pan t a k tym felietonem zwłaszcza że nikt inny, jak „Trybuna Ludu” przełamała w tym roku dotychczasowe milczenie i zamieściła artykuł pióra Malcużyńskiego „o żołnierzach spod Monte Cassino”.

Odpowiedź p. „tak.” jest oczywiście kombinacją obrony i ataku:

„Przed wszystkim daję Panu do zrozumienia, że w chwili wyzwolenia kraju znajdowałem się na pozycjach obcych Polsce Ludowej. Bardzo trafnie się Pan domyśla. Wywodzę się z pokolenia wychowanego podczas wojny przez A.K. Ta szkoła ideologiczna i światopoglądowa nie poszła mi na zdrowie. Poczłowała mnie spór porcją rozgoryczenia i omyłek. Nic więc dziwnego, że w stosunku do moich dawnych nauczycieli żywię pewną niechęć i nie poczuwam się do lojalności.

Występuje Pan w obronie emigrantów, zwracając uwagę, że z losów ich „wieje głęboki tragizm”. Zgadza się z Panem najzupełniej co do tragizmu doli emigranckiej. Wiemy i domyślamy się dziejów tułaczki ludzi oszukanych, bez ojczyzny, bez przyszłości, którzy raz zaciąwszy się w swej determinacji, brną coraz bardziej w beznadzieję. Przypuszczam, że w naszej literaturze i ten temat znajdzie swoje miejsce.

Muszę Panu jednak zwrócić uwagę, że dość lekkomyślnie wziął Pan w obronę c a l ą emigrację.

Nie usiłowałem drwić z tych ludzi, którzy wyprowadzeni na manowce borykają się gdzieś tam ze swoim ciężkim losem. Pozwoliłem sobie na sarkazm w stosunku do tych „ideologów” emigracyjnych, którzy nie przestrzegają wobec nas lojalności, którzy wypełniają oszczerstwami audycje Madrytu, Wolnej Europy, Głosu Ameryki i innych, którzy zieją nienawiścią do nas, którzy terrorem psychicznym utrzymują społeczeństwo emigracyjne na pozycjach skierowanych przeciwko nam. Dlaczego wobec tych „ideologów” — pisarzy i publicystów — miałbym zachować lojalność?

I potem:

„W ostatnim akapicie (ten akapit opuścił p. „tak.” cytując list swego korespondenta) sugeruje Pan, że to ludzie pokroju Winczakiewicza wiwatowali w Paryżu na cześć naszego teatru. Zdaje mi się, że tylko sentymentalne usposobienie mogło Panu podyktować taką tezę. Nasza prasa codzienna cytowała przecież recenzje z przedstawień polskiego teatru, recenzje drukowane w emigracyjnej prasie „ideologów” podobnych Winczakiewiczowi. Owacji tam nie za wiele. Proszę tylko zajrzeć a przekona się Pan, że ci „biedni, zgorzkniali, wykołajeni, nieszczęśliwi, zawiedzeni Winczakiewiczowie” potrafią nienajgorzej gryźć.”

Wreszcie:

„Wydaje mi się, że po dziesięciu latach, w ciągu których wiele odbudowaliśmy i wybudowaliśmy w niełatwych warunkach, odrobinę zhardteliśmy. I nie rozczuli nas tak, jak w 1945 roku, każdy powracający, choć jeśli przyjdzie uczciwie — spodziewam się — znajdzie swoje miejsce w naszym życiu.”

Korespondencja ta wydaje się dość charakterystycznym dokumentem zarówno specjalnego „zapalu” który widocznie musi wykazać dziennikarz który w swoim czasie znajdował się „na pozycjach obcych Polsce Ludowej” jak też i „obowiązującego” stosunku do emigracji.

Wreszcie z krajowych „emigratiana” warto zasygnalizować długą recenzję z „Trans-Atlantyku” Gombrowicza, zamieszczoną przez „Życie Literackie”. Dość sensacyjnym faktem jest że ukazała się ona właśnie jako recenzja, na jednej stronie z innymi recenzjami omawiającymi książki wydane w Kraju, a nie w dziale emigracyjnych „curiosów”. Zwykły odnośnik informuje czytelnika że „Trans-Atlanty” ukazał się nakładem „Kultury”, Paryż, 1953. Skądinąd, recenzja nad wyraz banalna. Okazuje się że głębokie duchowe „Wahlverwandtschaften” są silniejsze od przedziałów „ideologicznych”, czy „politycznych”. Recenzent z „Życia Literackiego” mówi o „Trans-Atlantyku” w tym samym tonie, niemal tymi samymi słowami co p. Kozłowski w argentyńskim „Głosie”, p. J. Ostrowski w „Orle Białym”.

Kronika kulturalna

Międzynarodowe spotkania

„Rencontres Internationales” jest to rodzaj zjazdu czy kongresu, który odbywa się w Genewie co roku, na początku września. Miasto gości wtedy zaproszonych przez Komitet Organizacyjny pisarzy i uczonych z różnych krajów. Pierwszy raz „Rencontres” odbyły się w roku 1946. Każde z nich mają z góry obrany temat obrad i dyskusji. Kolejno poświęcono je następującym tematom: w roku 1946 — „Esprit Européen”; w roku 1947 — „Postęp techniczny a postęp moralny”; w roku 1948 — „Debaty o sztuce współczesnej”; w roku 1949 — „O nowy humanizm”; w r. 1950 — „Prawa umysłu a wymogi socjalne”; w r. 1951 — „Wiedza o człowieku w 20-ym wieku”; w r. 1952 — „Człowiek wobec nauki”; w r. 1953 — „Niepokój naszego czasu a obowiązki intelektu” i wreszcie w tym roku — „Nowy świat a Europa”, co oznaczało po prostu zagadnienie związków Ameryki Północnej i Ameryki Łacińskiej z Europą.

Pośród nazwisk jakie figurowały na listach uczestników w ciągu dziesięcioletniego istnienia „Rencontres” wystarczy odnotować niektóre: Georges Bernanos, Karl Jaspers, Georg Lukacs, Emmanuel Mounier, Elio Vittorini, Gabriel Marcel, Karl Barth, Ortega y Gasset, Gaston Bachelard, Merleau-Ponty, François Mauriac, André Maurois.

Organizacja: dziesięć dni wypełnionych jest głównie odczytami i debatami, przy czym co dzień rano, o godz. 9,15 ci, którzy chcą przemawiać zbierają się na konferencję wstępną, a o godzinie 10 rozpoczyna się dyskusja publiczna. Za punkt wyjścia służy odczyt wieczorny z poprzedniego dnia. Przestrzega się zasady unikania politycznych sporów co nie wyklucza ścierania się różnych postaw filozoficznych. Poza słownymi potyczkami czas podzielony jest między wystawy i koncerty. Utało się też urządzić jedną wycieczkę statkiem do zamku Coppet, ongiś należącego do pani de Staël (tam to mieszkał Benjamin Constant). Strona „przyjęć” ograniczona jest do ścisłego minimum: jeden wspólny obiad z przemówieniami, w których notable miasta wi-

tają gości. Na korzyść „Rencontres” trzeba zapisać szwajcarską atmosferę prostoty, unikanie wszelkiego zbytku. Koszty pokrywa miasto Genewa, czasem — jak w tym roku — przy udziale UNESCO.

Ameryka a Europa — to temat raczej niewdzięczny. Przede wszystkim nieco za obszerny. Nie łatwo przychodzi znaleźć wspólny mianownik dla problemów Brazylii, Meksyku czy Stanów Zjednoczonych, tak jak wymyka się często słowom pojęcie „amerykańskości” i „europejskości”. Stąd niebezpieczeństwo ugrzęźnięcia w ogólnikach w tej mazi rozważań o „kulturze”, które stanowią plagę tego gatunku zjazdów. Poza tym, jak zwykle tam gdzie wchodzi w grę stosunki międzynarodowe, uczestnicy skłonni są do dyplomatycznej grzeczności. Owa grzeczność, grzebiąca w praktyce wiele poczyni takich instytucji jak UNESCO, na pewno nie sprzyja gruntownemu przewietrzeniu wzajemnych uraz i żalów. Zważywszy na dominującą rolę Stanów Zjednoczonych w świecie zachodnim, szczerść w tym co Europejczycy mogą powiedzieć o Ameryce, a Amerykanie o Europie, powinna być uznana za cel najważniejszy. I bynajmniej nie niemożliwy do osiągnięcia — podczas kiedy podobna wymiana zdań np. między Polakami czy Czechami i Rosjanami jest całkiem poza zasięgiem możliwości.

Szereg uczestników „Rencontres” rozumiało niebezpieczeństwo tkwiące w wymianie ukłonów i starało się przeciwdziałać. Często powracało słowo „maccarthyizm”, nie pominięto faktu, że Stany Zjednoczone przez swoją nieufność wobec tych, którzy nie dają się wtłoczyć w ramy konformizmu, tracą sympatie intelektualistów — co być może grozi i Stanom i całemu światu zachodniemu poważnymi następstwami. Nie obeszło się też bez dyskusji o stosunku Stanów do Ameryki Łacińskiej, przy czym wymieniono przykład Guatemali. Jeżeli, mimo to, zbyt wiele wypowiedziano zdań niezbyt ważkich, winę ponoszą głównie autorzy odczytów. Jeden z nich tylko, Amerykanin Robert Jungk, zbliżył się przez ostrość swego ujęcia, do ideału, to jest do żywości która wniesie zbawienny spór. Jungk urodzony w Berlinie, działacz antyhitlerowski, uchodzący w Czechosłowacji i Szwajcarii, później w Ameryce, jest autorem poczytnej książki o technice nowoczesnej: „Przyszłość już się zaczęła”. W swoim odczycie stawiał właśnie pytania dotyczące cywilizacji technicznej widząc w niej siłę, która musi doprowadzić do „bezrobocia dusz”, co już się dokonało w Stanach Zjednoczonych. Europie wyznaczał misję ocalenia wartości duchowych — ona to powinna przyjąć Stanom ideę Boga. To nieco romantyczne, antytechniczne stanowisko Jungka było ostro krytykowane, jednak należy mu przyznać pasję i wycucie tragicznych punktów współczesności. Natomiast odczyt André Maurois odznaczał się tylko humorem, wdziękiem i dobrym smakiem. Innego jeszcze kalibru odczyt wygłosił George Boas, profesor filozofii uniwersytetu John Hopkins w Baltimore. Dał on obraz różnorodności i wewnętrznych konfliktów Ameryki (Północ-Południe, patriarchalne wspólnoty

Nowej Anglii a cywilizacja przemysłowa, wielość ras, wędrowni ludności) dążąc przede wszystkim do obalenia mitu o Amerykaninie jako typie, który da się określić. Jednakże, jak zauważono w dyskusji, ten typ, pomimo wszystko, istnieje. I dowodem że istnieje (dodajmy od siebie) może być trudność wzajemnego zrozumienia jaką dostrzegano się kiedy spierali się na „Rencontres” Amerykanie i Europejczycy. Przy najlepszej obustronnej woli prowadzenia fechtunku fair-play ostrza szpad zawisały nieraz w próżni — zwłaszcza gdy chodziło o problem dziania się historycznego, bliski Europejczykom i ze względu na ich doświadczenia wojenne i ze względu na ich otrzaskanie z Heglem, Marksem, Nietzschem i Spenglerem, a Amerykanom raczej obcy. Publiczność wyczuwała w tych ostatnich skłonność do dobrotliwego zaokrąglania kantów (Jungk, pół-Europejczyk, był tu wyjątkiem), co zresztą można częściowo wytłumaczyć faktem, że znaleźli się na obcym terenie, że poczuli się do obowiązku obrony własnego kraju — tak się złożyło, że zajmowali pozycje defensywne choć nikt prawie z Europejczyków nie podkreślał „europejskiej wyższości” (jak wiadomo nie ma się czym chwalić). Ucho otwarte na krytykę jest przyjemną cechą Amerykanów i ich wrażliwość tylko u tępszych osobników przekształca się w posądzenie krytykującego o „anty-amerykańskość” — do przybierania postawy obronnej skłania tych lepszych poczucie lojalności.

Europejska „anty-amerykańskość” robiąca dzisiaj coraz większe postępy, chociaż ciągle wracała w dyskusji, nie została, niestety, należycie omówiona. Przyczyny jej są chyba o wiele bardziej zawiłe niż „lęk przed rewolucją techniczną”, jak tego chce Jungk. Ale jak, pomijając domenę najbardziej piękną, domenę polityki, do nich sięgnąć? Powstaje kwestia rozwiązań jakie Amerykanie mogą zaoferować narodom zacofanym, które pragną szybkiego uprzemysłowienia — narodom Ameryki Południowej, Afryki, Azji czy pewnym krajom europejskim w stanie paraliżu. Natomiast głęboka jedność kulturalna Ameryki i Europy utrudnia wszelkie rozważania o duchu „europejskim” czy „amerykańskim”. Przenosząc sprawę w dziedzinę malarstwa czy literatury ryzykuje się chwytnie za ogon wyslizgującej się ryby. Ktoś zauważył, że o ile np. malarstwo prymitywu amerykańskiego w XIX wieku miało charakter lokalny (a nie ma innej sztuki niż lokalna) i przedstawiało szczegóły krajobrazu znad Hudsonu, malarstwo dzisiejszych abstrakcjonistów jest odbłaskiem Paryża. Może wyjątkiem jest tragiczny realista Ben Shahn (urodzony w... Kownie). Zbytne uogólnienie i od-cieleśnienie unosiły się jak obłok nad obradami, jak zawsze wtedy, kiedy zagadnienia nie są dostatecznie obwarowane granicą. Korzyść z tego ta, że — jak stwierdził profesor McKeon — widzi się iż lepiej jest dyskutować o poszczególnych kwestiach tak jak one przedstawiają się oczom Amerykanów i Europejczyków, niż szukać ogólnych różnic między dwoma kontynentami.

Oczywiście Stany Zjednoczone zaprzętały głównie uwagę i pomimo dwóch odczytów o Ameryce Łacińskiej (Serge Buarque de

Holanda : „Brazylia w życiu amerykańskim” i Emilio Oribe : „Kilka aspektów myśli w Nowym Świecie”), niezbyt wiele o krajach łacińskich mówiono — poza użytecznym przypomnieniem roli uniwersalnego, anty-rasistowskiego katolicyzmu hiszpańskiego i portugalskiego (mieszanina ras w Brazylii, Meksyku, etc.).

Lista uczestników : najliczniej reprezentowani Szwajcarzy (28). Następnie Francuzi (26), Amerykanie (14), Włosi (6), Anglicy (5), Brazylijczycy (4), Niemcy (4), Belgowie (3), Hiszpanie (3). Po dwóch z Chili, Kolumbii, Meksyku, Holandii, Wenezueli. Po jednym z Austrii (prof. Erna Patzelt), z Egiptu, Ekwadoru, Grecji (Georges Theotokas), Japonii, Polski (Czesław Miłosz), z Uruguaju i Jugosławii (Duszan Maticz, prezes Związku Literatów z Belgradu).

„Teatr 52” pod dyktando Kiehla dał dobre przedstawienie, dwie krótkie sztuki : „Konno ku morzu” Johna Millingtona Synge’a i „Different” Eugene’a O’Neill’a. Genewska gazeta komunistyczna „La voix ouvrière” chciała sztukę O’Neill’a pochwalić ponieważ Chaplin jest dobrze widziany, a żonaty jest z córką O’Neill’a, więc czytelnicy gazety dowiedzieli się, że O’Neill jest Irlandczykiem i że umieścił w Irlandii akcję swojego dramatu — byle nie chwalić Ameryki (rzecz dzieje się natomiast w małym porcie — w Nowej Anglii).

Na dwóch seansach kinowych pokazano krótki metraż brazylijski o rzeźbach barokowych (wzbudzający zastrzeżenia, ale dobrze świadczący o możliwościach brazylijskiego filmu), długi metraż brazylijski : „O Cangaceiro!”, bardzo ciekawy, zrobiony pod widocznym wpływem realizmu włoskiego, krótki metraż amerykański o metodach nauczania w szkołach publicznych w Cleveland, Ohio (znakomity), wreszcie „Robinson Crusoe” w reżyserii Bunuela (całkowicie chybiony, okropny w kolorze).

Wystawy były dwie : Picassa i grafiki brazylijskiej. Koncert orkiestry Szwajcarii romańskiej pod dyktando Juan José Castro (Argentyna), poświęcony był utworom kompozytorów południowo- i północno-amerykańskich.

Odnosi się wrażenie, że poprzednie „Rencontres” były bardziej udane. Jeżeli jednym z celów zjazdu są osobiste kontakty i prywatna wymiana zdań — to o wartości publicznych fechtunków decyduje konkretność albo nie-konkretność wybranego tematu.

Niniejsza notatka, celowo utrzymana w tonie jak najmniej osobistym, nie podaje bardziej szczegółowych obserwacji, których każdy dzień „Rencontres” dostarczał wiele. Nie można by ich było zamknąć w formie sprawozdania, a w każdym razie straciłyby dotykliwość (twarze, gesty, odruchy). Dopiero używając niektórych sposobów malarskich, udałooby się zarazem nadać kształt pewnym myślom uczestnika.

Samuel Tyszkiewicz

„Z książek przemawiają nieśmiertelne głosy
zmarłych” — Plinius z.

Żałoba okryła polskie drukarstwo. We Włoszech zmarł 12 lipca br.: SAMUEL TYSZKIEWICZ, drukarz, typograf i wydawca.

Tyszkiewicz pochodził z Warszawy. Do Włoch przybył w roku 1926 z Francji i osiedlił się we Florencji, zakładając własną drukarnię. Od jesieni tegoż roku datowały się pierwsze prace oficyny drukarskiej, to jest zecerskie, graficzne i opracowania tekstów.

Zona jego Maryla z Neumanów zapoczątkowała wydawnictwa oficyny monografią: *Bernardo Rosselini*, rzeźbiarz i architekt Quattrocento. Następną książką była jego własna opowieść o średniowiecznym mieście: *Fiorenza*, ozdobiona drzeworytami T. Cieślewskiego, syna. A w ciągu lat następnych Tyszkiewicz złożył i własnoręcznie wytłoczył pięćdziesiąt tomów oraz setki druków, dyplomów i innych.

Najważniejsze publikacje z owego początkowego okresu to: *Sonety Krymskie* Adama Mickiewicza (w przekładzie włoskim O. Skarbek-Tłochowskiego) i *Devant la Colonne de Mickiewicz* — inwokacja Józefa Teslara na odsłonięcie pomnika Poety w Paryżu. W rok później pojawiły się wśród innych publikacji: *Sonety Krymskie* po polsku.

Wydawnictwo katalogu rzeźb kolekcji Dreyfussa w roku 1931, które milioner amerykański Bart. Joseph Duveen powierzył Tyszkiewiczowi, przyspieszyło znacznie rozgłos drukarni tak w Europie jak i w Ameryce. Wybór polskiej oficyny był niezwykłym wyróżnieniem.

Dalsze druki to: Studium o rzeźbach Andrzeja del Verrocchio w Pistoii pt. *The Forteguerri Monument*, z fotografiami prof. Clarence Kennedy z Northampton, Mass., autora wstępu do wspomnianego katalogu rzeźb; poemat Emila Zegadłowicza pt. *Podkowa na Progu*; *Rzecz o Malarstwie* C. Cennini w tłumaczeniu z włoskiego przez samego drukarza; *Plastr Miodu* Józefa Andrzeja Teslara; *Żywot Typografa*, monografia o oficynie Tyszkiewicza pióra J. A. Teslara (niedokończona) i w końcu *Przewodnik po Włoszech* Tyszkiewicza, próbnie wydany.

Czcionką, jakiej używał Tyszkiewicz, była tzw. „inkunabula” (Nebiolo 1918-1929), zbliżona krojem do piętnastowiecznych weneckich, a zaprojektowana na zasadach czionki używanej w 1476 przez znanego niemieckiego drukarza Erharda Rat-

olta w Wenecji. Oprócz „inkunabuli”, którą oficyna posiadała we wszystkich składach wraz z kursywą, Tyszkiewicz stosował niekiedy czionkę innych krojów, zależnie od indywidualnych potrzeb. Sygnet drukarski umieszczał w każdym wydawnictwie. Przypomina on w charakterze sygnety wczesnych mistrzów niemieckich i włoskich a przedstawia serce z podwójnym krzyżem wyrastającym w górę, w nim zaś, trzy majuskułowe litery w jednym rzędzie w kolejności: MST (Maryla Samuel Tyszkiewiczowie). Liter tych używał od założenia oficyny, bez zmiany aż do ostatniego druku.

Tyszkiewicz ożenił się po raz drugi z Włoszką p. Vittorią.

Wrzesień 1939 przerwał pracę florenckiego drukarza, który zabezpieczył ruchomą część warsztatu, to jest prasę, czionki i inny materiał, a sam zgłosił się ochotniczo do służby w wojsku polskim we Francji, gdzie współpracował w organizowaniu i założeniu tygodnika „Polska Walcząca”. W roku 1941 opuścił Coëtquidan i przeniósł się do Nicei, kontynuując wydawnictwa Oficyny Florenckiej. Gorączka pracy nie pozwalała mu spocząć beczynnianie, choć nie dysponował ani własną czionką, ani własną prasą.

W Nicei powstały nowe tomy, które pomnożyły przedwojenną cyfrę o trzydzieści dalszych pozycji. Spod prasy wyszły m. inn., *Barbakan Warszawski*, poemat K. Wierzyńskiego o rodzinnym grodzie typografa, *Z Dymem Pożarów*, poezje J. Łobodowskiego i dziesiątki innych.

W roku 1944 Syndykat Drukarzy w Nicei przyjął Tyszkiewicza w poczet swoich członków.

Z zakończeniem działań wojennych we Włoszech, Tyszkiewicz nawiązał co rychlej kontakt z Florencją, drukował jednak nadal w Nicei, gdzie powstały prace: *O droga Ziemio*, poezje J. A. Teslara, *Razowy Epos*, utwory poetyckie J. Brzękowskiego, *Tydzień w Muri*, pamiętnik szwajcarski Wacława Żyndram-Kościółkowskiego, *Żywila*, powiastka Adama Mickiewicza i inne.

Wróciwszy do Florencji podjął na nowo pracę wykonywując druki dla tamtejszego Uniwersytetu. W roku 1948 wydał tylko dwa nowe tomy a w 1949 powstały: *Norwid-Béranger*, *Pożegnanie*, *Analiza porównawcza*. Resztę czasu poświęcił wyłącznie pracy dla Uniwersytetu.

Wydawnictwa oficyny nie przynosiły zysku, choć rozchodziły się. Był to okres upadku drukarstwa ręcznego.

Tyszkiewicz drukował na podobieństwo oficyn średniowiecza, w których odbywały się misteria powielania w prasie ręcznej, drewnianej. Nie usiłował niewolniczo naśladować dawnych drukarzy, lecz wskrzesił tradycję starej, zapomnianej sztuki drukowania: Franciszka de Platea, Stanisława Polonusa(*), Jana Adama(**), Fiola, Hallera, Vietora, Unglera, Scharffenbergów, Sy-

(*) Stanisława Polonusa sprowadził z Neapolu do Seville 1490. król Ferdynand V. i jego małżonka Izabella.

(**) Jan Adam, drukarz polski, który założył drukarnię w Neapolu 1478.

beneichera, Wierzbęty, Heliczów, Garwolczyka, Łazarza, Andrysowicza, Marmeliusza lub Piotrkowczyków, wyliczając zaledwie kilkunastu spośród wielu znakomitych polskich drukarzy 15-go i 16-go wieku.

Podtrzymując tradycję wymienionych mistrzów, również jak oni, używał papieru czerpanego, wytwarzanego z miazgi szmaciano-włókienniej i espartum, składał ręcznie i tłoczył w ręcznej, staroświeckiej prasie, jak w dawnych wiekach: na wilgotno. Jest to rzemiosło prawie że już nieistniejące. Albowiem podobnie jak w innych dziedzinach życia współczesnego, maszyna wyeliminowała ręczną prasę niewytrzymującą konkurencji mechanicznego drukowania. Nie znaczy to bynajmniej, że druk mechaniczny nie zadowolił najwybredniejszych miłośników lub znawców, wszelako druk ręczny na mokro, ma swój specyficzny urok, którego nie nie zastąpi.

Drukowanie na wilgotno było koniecznością w średniowieczu i jest nią dziś, przy użyciu papieru czerpanego, jeśli się chce uzyskać najlepszy efekt pięknego druku. Połączone z tym wielkie trudności nie odstręczały Tyszkiewicza od tłoczenia druków jedno i dwukolorowych i tej starodawnej sztuce pozostał wierny przez całe życie, nie myśląc o zarobku.

Dopiero takie prace graficzne jak dyplomy itp., powierzone mu przez Uniwersytet florencki w roku 1932-gim dały materiał na podstawę bytu oficynie.

Tyszkiewicz był typografem, drukarzem, intrologiatorem i wydawcą, lecz nie w sensie przedsiębiorcy przemysłowo-handlowego. Drukarstwo uprawiał ściśle jako sztukę i pod tym kątem należy oceniać jego twórczość.

Sam decydował o utworach do druku, wybierając takie, które odpowiadały jego upodobaniom; może przez wzgląd na treść, może z uwagi na rozwiązania graficzne.

Prace Tyszkiewicza przejdą niewątpliwie do historii drukarstwa. Jakąkolwiek jego książkę weźmiemy do ręki, widzimy, że był on świadom swego zadania i że je spełniał bez reszty. Starannie przemyślał formę artystyczną, jaką zamierzał nadać książce. Na kompozycję typograficzną składały się wszystkie wymagane elementy: czcionka, papier, karta tytułowa, frontispis, inicjał, kolumna druku, paginacja, marginesy, kolor czerni, kolofon. Wreszcie sam wykonywał pracę intrologiatorską jak kaszerowanie, wiązanie, kapitałkę czyli dzierganekę, wykłejkę i własnoręcznie oprawiał w pergamin, w skórę lub w inny materiał.

Na żadnej wystawie nie brakło jego eksponatów, czy to we Florencji w roku 1928 lub 1932, czy we Lwowie, 1928, na Wystawie urzędzonej z okazji Zjazdu Bibliofilów Polskich w T-wie Miłośników Książki w Krakowie, czy też w Warszawie, w Kamienicy u Baryczków, 1936 i na Wystawie w Paryżu, 1937. Ta ostatnia wystawa była wielkim sukcesem dla Oficyny Florenckiej przynosząc jej najwyższe odznaczenie: Grand Prix.

Tyszkiewicz utrzymywał żywy kontakt z krajem. Jak praco-

ślach swych typograficznych był niewyczerpanym źródłem natchnienia. Cechowała go przytem skromność mistrzów renesansu.

Powrót, po wojnie, do swojej oficyny we Florencji, dał Tyszkiewiczowi dużo radości, ale silnie nadwątlone zdrowie już mu nie dopisywało.

W listach jego powtarzają się narzekania na stan zdrowia. W jednym z ostatnich pisał: „...bardzo mnie wzruszył długi list tak serdeczny i gorzkie poczułem wyrzuty sumienia, że nie zareagowałem na wszystkie otrzymane w swoim czasie dowody pamięci. Ale moja niespodziewana i tak do mnie nie pasująca choroba wytrąciła mnie zupełnie z równowagi psychicznej. Straciłem zaufanie do siebie samego uważając ją za głupi kawał mi wyrządzony. Teraz jest lepiej, choć nie powinienem chodzić, męczyć się, pracować na stojąco, to jednak mogę z żoną wyjeżdżać do miasta na „scoonerze” i wyzbyłem się z tego przykrego pocucia inwalidy skazanego na nieruchliwość. Robota nasza bieżąca dla Uniwersytetu, z której żyjemy, nie ucierpiała, ale o wyczynach bibliofilskich przestałem myśleć...” Już wkrótce po napisaniu tych słów ponownie zapadł na zdrowiu i przeważnie przebywał w szpitalu, opuszczając łóżko tylko na krótko. Przewlekła choroba, „Phlebitis”, położyła kres jego życiu.

W poczet wyliczonych wyżej polskich drukarzy — wśród których jednym z najznakomitszych był Stanisław nieznanego nazwiska, używający dla chwały imienia polskiego przydomka Polonus zaliczyć należy Samuela Tyszkiewicza, niezmównianego drukarza o dużej erudycji, wnikliwej duszy artystycznej i umiłowaniu piękna, niepospolitego znawcy sztuki typograficznej.

Alfred HOLIŃSKI

RADIO WOLNA EUROPA GŁOS WOLNEJ POLSKI

TERMIN NADSYŁANIA PRAC NA KONKURS

na Słuchowisko Radiowe

UPLYWA W DNIU 1-go LISTOPADA 1954 ROKU.

O przyznaniu nagród decydować będzie Sąd Konkursowy w składzie: J. Nowak, M. Giergielewicz, P. Hostowicz, Z. Marynowski, T. Nowakowski, W. Radulski i T. Terlecki.

Prospekt konkursu przesyła na żądanie:

Radio Free Europe, Polish Desk,

1, Englischer Garten, München, Germany.

Książki

Zbiory dokumentów

Tradycja wydawania dokumentów dyplomatycznych współczesności jest świeżej daty. Jeszcze w początkach bieżącego stulecia podwoje archiwów w urzędach spraw zagranicznych były szczelnie zamknięte dla niepowołanych: uchylały się tylko dla nowoczesnych nadwornych pisarzy — dla apologetów polityki własnego państwa. W dziesiątki lat po katastrofie sedańskiej, Albert Sorel uzyskał wstęp do archiwów pruskich poprzedzającej epoki tylko dlatego że powołał się na prace oficjalnego historyka Sybla. Szymon Askenazy na przełomie wieku z największą trudnością dostał się do dokumentów pruskich epoki napoleońskiej i czasów powstania listopadowego. Piszący te słowa tylko na podstawie poleceń Sorela uzyskał dostęp do raportów Talleyranda z Londynu w krytycznych dla Polski latach 1831-1832. Rzecz jasna, wszyscy ci, oraz inni historycy dopuszczeni zostali jedynie do części aktów z danych epok, i jest prawdopodobne, że o ile niezwykle rewelacje nie nastąpią, polityka polska Prus i Rosji w okresie 1831-1865 pozostanie na zawsze w historii kartą na pół tylko wypełnioną.

Obok historyków-apologetów istniały w czasach nowszych oficjalne zbiory dokumentów, wydawane przez urzędy spraw zagranicznych, tak zwane księgi białe, żółte, niebieskie. Przenaczeniem ich było usprawiedliwić własną politykę w pierwszej linii wobec ciał prawodawczych. Zwyczaj ten, zainicjowany przez rządy Anglii odpowiedzialne wobec najstarszego z parlamentów, przejęty został przez inne kraje parlamentarne, przede wszystkim Francję. Oczywiście, książki te były również apologetyczne, wydawano je w celach polityki bieżącej, bez pretensji do pełności, ani do ścisłej prawdy, i bez względu na historyków. Niektórym z podobnych publikacji dowiedziono w następstwie ważnych zmieniających sens skreśleń, a nawet wręcz fałszerstw. Cel polityczny usprawiedliwiał pseudo-naukowe środki.

Przełom w traktowaniu dokumentów dyplomatycznych współczesności spowodowała pierwsza wojna światowa i jej bez-

pośrednie następstwa w Rosji i w Niemczech. Rewolucja bolszewicka przystąpiła natychmiast do ogłoszenia tajnych układów między-sojuszniczych z czasu wojny; a idąc jej śladem, rewolucja niemiecka powierzyła socjal-demokracie Kautsky'emu opublikowanie dokumentów, dotyczących przyczyn wojny (1). W obu wypadkach celem było skompromitowanie dopiero co upadłych systemów rządowych i metod ich działania. Dalszym ciągiem tych publikacji o określonym zadaniu i ograniczonym zakresie stało się „Czerwone Archiwum” w Rosji sowieckiej i wielotomowe wydawnictwo Rzeszy weimarskiej — „Wielka Polityka Gabinetów Europejskich”: obie te publikacje lat dwudziestych nosiły cechy podwójne — z jednej strony chęć zastosowania się do wymogów archiwalno-naukowych, z drugiej przymus przystosowania do wskazań każdorazowej polityki: między-narodowego komunizmu w Rosji, walki z Traktatem wersalskim w Niemczech.

Olbrzymi materiał, nagromadzony w tych zbiorach rozświetlił historię niedawnych czasów i dał podstawę do gruntownych opracowań, jak P. Renouvina czy E. Brandenburga. Reguły naukowego obiektywizmu były jednak ściślej przestrzegane w następnych publikacjach, wolnych od bezpośredniego nacisku ze strony państwa. Takimi były „Dokumenty Brytyjskie do Przyczyn Wojny”, ogłoszone w 11 tomach, od 1925 roku począwszy: *Foreign Office* powierzył swe dokumenty uczonym, z prof. Gochem i Temperleyem na czele, i historycy ci zastrzegli, że zrezygnują ze swego udziału w wydawnictwie w wypadku próby oficjalnego względem nich nacisku. Tak samo niezależni od państwowego aparatu i od oficjalnej polityki byli uczeni austriaccy, wydawcy ogłoszonej w 1930 ośmiotomowej „Polityki Zagranicznej Austro-Węgier”: państwo to bowiem przestało istnieć i jego dynastia została usunięta. Spomiędzy zbiorów dokumentów, ogłaszanych przed drugą wojną światową, prace uczonych angielskich i austriackich, chociaż z natury rzeczy niepełne (2), odpowiadały najbardziej regułom naukowej bezstronności i zasługują w największej mierze na zaufanie.

Francja zdecydowała się najpóźniej na ogłoszenie wyciągów ze swych archiwów, i przystąpiła do tego ze zwykłą jej gruntow-

(1) Zniesienie dyplomacji tajnej i opublikowanie tajnych traktatów zapowiedział Lenin, obejmując władzę, w znanym przemówieniu wieczorem 9. XI. 1917. Nazajutrz, 10. XI. *Izwiestja*, organ oficjalny bolszewików, rozpoczął ogłaszanie dokumentów, które stały się początkiem publikacji *Krasnyj Archiw*. Kautsky otrzymał od rządu Eberta pełnomocnictwo ogłoszenia dokumentów niemieckich i opublikował w 1919, wraz z Montgelssem i Schuckingiem, 4-tomowe *Deutsche Dokumente zum Kriegausbruch*, 1914.

(2) Jest rzeczą oczywistą, że w ostatniej instancji Ministerstwo — w danym wypadku *Foreign Office* — decydowało, jakie działy archiwów można było udostępnić uczonym. Poza tym, niemal wszystkie zbiory dokumentów, ogłaszane przed ostatnią wojną, unikały ujawnienia personaliów, oraz wszelkich aktów tak zwanego bezpieczeństwa.

nością i powolnością biurokratyczną (3). W latach trzydziestych, i aż do wybuchu drugiej wojny, ogłoszono 24 tomy tego wydawnictwa, w tej liczbie 9 tomów III Serii, obejmującej lata 1911-1914. Wydawnictwo było spóźnione, w przeciwieństwie do publikacji sowieckich i niemieckich zawierało materiały sprzed dziesiątków lat, zaś pod względem metody nie dorównywało zbiorom angielskim i austriackim: zawierało wyłącznie serię raportów dyplomatycznych, bez instrukcji centralnego urzędu i bez komentarzy, względnie aparatu naukowego.

W ten sposób szereg wielkich państw europejskich — Rosja, Rzesza Niemiecka, Austro-Węgry, Wielka Brytania, Francja — ogłosiły w ciągu dwudziestolecia 1918-1938 tajemnice swoich niedawnych czynności. Jeżeli celem tej rozległej i w swoim czasie tak głośnej akcji miało być proklamowane przez Lenina „zniesienie dyplomacji tajnej”, i ustanowienie, w myśl hasła Wilsona, „umów jawnych, zawieranych jawnie” (4), to jak zwyczajnie w rzeczach ludzkich bywa, z celem tym się rozminęła. Przeszły dziesiątki lat, dzieje współczesne przesunęły się jak w filmie, i po latach wysiłku aby odmienić postać świata, okazało się, iż wprawdzie „demokracje” utrzymały pół-jawność swych działań, lecz za to „totalizmy” przygotowały w mroku rewanż tajemnicy i zaskoczenia. Nowi jedynowładcy wzięli sobie za wzór tę odmianę „wieku oświecenia”, jaką reprezentowali w swoim czasie Fryderyk II i Katarzyna II: wzór tajnej zmo- wy, uknutejgo podstępów i piorunującej napaści.

Na tym skończyła się na razie próba zreformowania dyplomacji za pomocą ujawnienia jej tajnych procedurów. Natomiast dla historyków zaczęło się źniwo. Do żadnej z nowszych epok źródła nie są tak obfite, jak do dwudziestopięciolecia 1888-1914. Należy tylko przebrnąć skroś las nieprzejrza- nych raportów, notat, listów, instrukcji, zestawień to z pamiętnikami, szkicami, artykułami, i aby nie utonąć w zwałach prasy współczesnej, trzymać pod ręką *Geschichtskalender*, albo *Survey* Królewsko-brytyjskiego Instytutu.



Wojna sześciolatnia, zwana Drugą Wojną Światową, nie zrodziła, podobnie do pierwszej, nowego prawa międzynarodowego. Proces norymberski i Narody Zjednoczone były dyktan- dem zwycięzców; a ujawnienie tajnych zamysłów obciążało jedną tylko stronę — zwyciężonych: rzecz naturalna, jeśli się zważy, że współodpowiedzialne za zbrodnię wojny Sowiety zasiadały ja-

(3) Gwoli ścisłości, stwierdzić należy, iż *Quai d'Orsay* ogłosił przed zakończeniem wojny trzy serie dokumentów, w postaci *Livres Jaunes*, dotyczące Aliansu francusko-rosyjskiego, tajnych układów z Italią, oraz spraw bałkańskich (1912-1914).

(4) „*Open Covenants, openly arrived at*” — formuła Woodrow Wilsona; por. także pierwszą z „Czternastu Punktów”, w orędziu z 8. I. 1918. I, II, i III, Ogiz 1946.

ko zwycięzca i sędzia. Kwestia „odpowiedzialności za wojnę”, która po 1918 tyle wybitnych zaprzętnęła umysłów, tym razem w ogóle nie powstała: wina Niemiec była z góry doowiedziona i udokumentowana przez nich samych; a współwiny Moskwy nikt dochodzić nie zamierzał. Nie było tym razem drugiego Lenina, który by archiwa sowieckie otworzył i akta zbrodni własnego państwa ujawnił.

W tych warunkach ogłaszanie współczesnych dokumentów dyplomatycznych przestało być orężem politycznym, a odzyska- ło właściwą sobie rolę ujawniania źródeł dla historii. W pierw- szej linii był to olbrzymi materiał, uzyskany skutkiem katastro- fy wojennej. Różne i zagadkowe były w ciągu tej niszczącej wszystko wojny losy archiwów, tak starannie kolekcjonowanych, tak obciążających nowoczesne administracje państwowe. Zbiory z ulicy Wierzbowej i z *Quai d'Orsay* częściowo przepadły w za- wierusze. Natomiast archiwa *Wilhelmstrasse*, w swej prawie ca- łości z lat 1867-1943, ponad 400 ton, ocalały. Raczej dzięki szczę- śliwemu trafowi, aniżeli czyjejś przewidującej mądrości, dostały się one, jako łup wojskom amerykańskim. Odnalezione w róż- nych kryjówkach zamków i grodów Harzu i Turynii, zostały zabezpieczone, zanim jeszcze te cywilizowane kraje wydano na pastwę barbarzyńcom wschodnim. Drobną zaledwie część dostała się w ręce bolszewickie, zapewne w samym Berlinie. Wydane rozkazy władz Hitlera zniszczenia całości nie zostały wykonane, lub nie były spełnione na czas. Z chwilą, kiedy archiwa te prze- kazane zostały na Zachód, rozwały się już złudzenia współpra- cy aliantów z Sowietami i mocarstwa Zachodu objęły wspólną i wyłączną kontrolę nad opracowaniem i publikacją tej po-hitl- rowskiej spuścizny. Wyłoniona przez trzy państwa — Francję, Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię — komisja naukowa sta- nowi jej redakcję (5).

(5) Historia uzyskania i użytkowania archiwów dyplomacji niemieckiej nie jest jeszcze w pełni znana. Por. przedmowę do I. tomu alianckiego wydawnictwa, j. n. ze znamienym przyznaniem się, że gros archiwów, po zakończeniu wojny, Amerykanie przenieśli najpierw do Berlina, widocznie w nadziei wspólnego z Sowietami rozporządzenia nimi; oraz że pierwszym kłopotem alianckich ekspertów, po luźnym zaznajomieniu się z ich treścią, było badanie, czy nie zostały one rozmyślnie podrzucone przez poddających się Niemców, aby poróżnić sprzymierzonych pomiędzy sobą. Dopiero w ro- ku 1948, więc już po licznych i przekonujących doświadczeniach między- alianckich, Departament Stanu zdecydował się na ogłoszenie wstępnej publi- kacji. *Nazi-Soviet Relations, 1939-1941*, opracowanej przez R. J. Sontaga i J. S. Beddie. Odpowiedzią Sowietów, poza akcją propagandową, były wydane w 1949 *Documents and Materials relating to the Eve of the Second World War*, zawierające w t. I. zbiór dokumentów z 1937-1938, w t. II. — papiery amb. Dirksena. Jest oczywiste, że za podstawę tego zbioru po- służyły ulamkowe odkrycia, dokonane przez władze sowieckie, czy to w Ber- linie, czy to w niewykrytych przez aliantów zachodnich kryjówkach Tu- rynii, po zmianie okupacji. Podobnie, wydana jeszcze w 1946 przez sowiec- kie Ministerstwo Spraw Zagranicznych seria dokumentów, odnoszących się

Wydawnictwo „Dokumentów Niemieckiej Polityki Zagranicznej” ograniczono do epoki 1918-1945 i podzielono na cztery serie, przy czym rozpoczęto od serii ostatniej i roku 1937. W wyborze rządono się oczywiście powszechnym zainteresowaniem dla doby najnowszej. Ogłoszono dotychczas pięć tomów serii D.: jeden z nich zawiera sprawę hiszpańskiej wojny domowej, pozostałe cztery poświęcone są kryzysowi europejskiemu od zagarnięcia Austrii aż do najazdu na Pragę (marzec 1939); dodatkowo, parę rozdziałów dotyczy polityki niemieckiej na Dalekim Wschodzie. Sprawom polskim, poza szeregiem dokumentów i wzmianek, rozszaniach w różnych działach tych tomów, poświęcono osobny rozdział V tomu — około 200 stron, 140 dokumentów (6).

Publikacja ta, wydawana w trzech językach — angielskim i francuskim tłumaczeniu i niemieckim oryginale — jest naturalnie tylko selekcją rozporządkalnego materiału, jednakże bardzo obszerną i najpierwszej wagi. Zastrzeżenia może wywołać, w wiele lat po wojnie, brak uczonych niemieckich, przynajmniej w charakterze doradczym. Może też, uruchamiając tak wielki aparat wydawniczy, należało zamieścić notatki bibliograficzne i odsyłać do równoległych innych źródeł. Taka, jaka jest, publikacja ta stanie się na czas długi podstawowym źródłem dla oceny czasów i ludzi, dla zbadania związków, zamysłów i konfliktów, w jakie uwickłała się Rzesza, a w ślad za nią, cała Europa. Z największym zainteresowaniem należy oczekiwać zarówno dokumentów wojennych, jak poprzedniej epoki — mogącej rzucić nowe światło na politykę zagraniczną republiki weimarskiej, na działania Stresemana i Brüninga.

Równoległe do tej publikacji zdobywczej brytyjski *Foreign Office* rozpoczął wydawnictwo swych dokumentów, podobnie uwzględniając cały okres między dwiema wojnami. Zbiór ten zaczęto ogłaszać jednocześnie w dwóch seriach: i pierwszej od 1919, drugiej od 1930. Gdy jednak, jak to zwykle bywa publikacja zaczęła się rozrastać, a ogłaszane obok dokumenty niemieckie z lat przedwojennych dopominały się o komentarz i korektywę ze strony angielskiej, zdecydowano w 1947 równocześnie rozpoczęcie serii trzeciej, obejmującej, tak samo jak dokumenty niemieckie, lata przedwojennego kryzysu, od 1938. W ten sposób powstał już obszerny zbiór, liczący do dziś czternaście tomów, pre-

do polityki niemieckiej na Węgrzech, w Turcji i w Hiszpanii, musiała pochodzić z sowieckiego łupu wojennego, w niewiadomych okolicznościach pochwyconego. Ob. *Dokumenty Ministerstwa Inostrannykh Del Germanii*, I, II i III, Ogiz 1946.

(6) *Documents on German Foreign Policy, 1918-1945*. From the Archives of the German Foreign Ministry, U. S. Government Printing Office; dotychczas wydane tomy I-V, Washington 1949-1953. Wydanie francuskie: *Archives Secrètes de la Wilhelmstrasse*, Ed. Plon, Paris, jest mniej kompletne. Por. omówienie t. V w *Kulturze*, Nr 79. Kierownictwo całości stanowią obecnie: B. E. Schmitt (USA), Margaret Lambert (W. Brytania) oraz Maurice Baumont (Francja).

liminowany na trzydzieści. Szósty tom III serii doprowadza angielską kronikę wypadków do samego wybuchu wojny.

„Dokumenty Brytyjskiej Polityki Zagranicznej, 1819-1939” (7) wydawane przez profesorów Oxfordu, E. L. Woodwarda i R. Butlera, są opracowaniem niezwykle starannym i wyczerpującym. Zawierają one, prócz raportów zagranicznych, dyplomatycznych i wojskowych, instrukcje i telegramy centrali, czasem wskazówki ministra dla urzędu, wreszcie listy i sprawozdania prywatne, niekiedy będące ważnym komentarzem lub uzupełnieniem. Spomiędzy wydawanych współcześnie, zbiór ten jest zapewne najbardziej kompletny: kompletniejszy stosunkowo od niemieckiego, gdyż temu brak raportów attachés wojskowych i materiałów kancelaryjnych, których znaczna część koncentrowała się w urzędzie kanclerskim. Rzecz inna, iż nie podobna formować sądu o polityce brytyjskiej tylko na podstawie świadectw pisanych; bardziej niż inna, wynika ona ze skrytych побudek, z pół-świadomych tradycji i z nieobliczalnych odruchów.

Sprawom polskim poświęcono w wydawnictwie brytyjskim kilka rozdziałów tomu III i IV (październik 1938-marzec 1939), oraz większą część tomów V i VI (rok 1939) — ogółem ponad tysiąc stron dokumentów. Materiał ten, wraz z raportami Moltkego z Warszawy i z protokołami rozmów polsko-niemieckich ze zbioru dokumentów Rzeszy, stanowi obecnie główny zespół źródeł do polityki polskiej krytycznego okresu i do roli odegranej przez Józefa Becka w Berlinie i Londynie przed wybuchem wojny. Jakikolwiek będzie wniosek ostateczny, można już dzisiaj powiedzieć, że publicyści historyczni, swoi i obcy, będą musieli zrewidować swe sądy i zamiast gołosłownych inwektyw i potępień przeprowadzić analizę faktów.

„Dokumenty Dyplomatyczne Francuskie” — seria, rozpoczęta w 1930 roku i mająca obejmować epokę 1871-1914 — tak zwane „przyczyny wojny” — nie była doprowadzona do końca przed wojną drugą i sam cel, któremu miała służyć, uległ przedawnieniu. Zagadnienie odpowiedzialności za pierwszą światową katastrofę utraciło swe dawne polityczne znaczenie i historia dyplomatycznych zabiegów i intryg z lat na przełomie stulecia stała się zainteresowaniem naukowym. Historycy *Quai d'Orsay*, w metodycznie słusznym przekonaniu, że należy najpierw skończyć z dawnym zanim się zacznie nowe, postanowili skompletować rozpoczęte w latach trzydziestych wydawnictwo. Ukazały się tedy, w latach 1946-1948 dwa tomy serii II, a w 1951-1953 dwa z kolei tomy serii I. Ogłoszone tu dokumenty dotyczą ważnych historycznych epok: lat 1895-1897, gdy sojusz francusko-rosyjski wystawiony został na pierwsze próby — na dalekim i na bliskim Wschodzie; oraz lat 1906-1907, gdy nastąpiła druga próba w skutku wojny japońskiej i rewolucji i gdy rozwijały się pierwsze stadia Trójp porozumienia. Dokumenty tych

(7) *Documents on British Foreign Policy, 1919-1939*. H. M's Stationery Office. Third Series, Vol. I-VI, 1949-1953.

ciekawych, ale wygasłych czasów czyta się dzisiaj jak rzeczy zamierzchłe i nie należące do naszej ery (8).

Dyplomacja i historiografia włoska były dotychczas raczej skąpe w ujawnianiu swych źródeł. O kryzysach tamtejszej polityki z lat przejścia od Trójjprzymierza do neutralności i od neutralności do wojny posiadamy tylko świadectwa pamiętnikarskie, monografie i dokumenty ułamkowe. W czasach Mussoliniego rewelacje nie były wskazane ani na czasie. Z tym większym tedy zainteresowaniem powitać należy dopiero co rozpoczętą wielką publikację dyplomatycznych źródeł. Italia obecna jest państwem innym, niż monarchia Wiktora Emanuela czy dwudziestolecie dyktatury; nie tylko więc dystans czasu, ale zmiana ustroju i całkowite przetasowanie ludzi pozwalają na publikację naukową i badawczą, pozbawioną wszelkiej intencji politycznej, wolną od nacisków, wpływów czy względów. W tych warunkach doszło do wykonania dzieła, zamierzonego jeszcze w końcu lat dwudziestych, wprowadzonego w życie inaczej i na daleko większą skalę.

„Dokumenty Dyplomatyczne Włoskie”, wydawane od 1952 roku, mają dać obraz całości polityki Italii, od założenia Królestwa w 1861 do upadku Mussoliniego w 1943 — osiemdziesiąt dwa lata istnienia państwa. Wydawnictwo podzielono na dziewięć sekcji, przy czym podobnie do zbiorów brytyjskiego i francuskiego przystąpiono równocześnie do ogłaszania różnych części. Dotychczas wyszło pięć tomów, inaugurujących pierwszą, trzecią, siódmą i ósmą sekcję. Na czele publikacji stanął komitet, złożony z najpierwszych autorytetów naukowych kraju, pod przewodnictwem senatora Casati i profesora Toscano, którego cenne komentarze pojawiają się osobno, w miarę postępującego wydawnictwa. Na szczególne wyróżnienie zasługuje szata zewnętrzna dzieła i wysoki poziom typograficznego układu (9).

W uwzględnieniu wagi przedwojennej polityki włoskiej ogłoszono od razu, w pierwszej kolei, dwa ostatnie tomy ósmej serii, zawierające dokumenty 1939 roku, od maja do 3 września. Dokumenty te, w ogromnej większości raporty placówek, nie rzu-

(8) *Documents Diplomatiques Français*, 1871-1914 : Deuxième Série. Tome IX (w dwóch częściach), Année 1906; T. X. Années 1906-1907. Paris 1946-1948. Première Série, T. XII. Années 1895-1896, Paris 1951; T. XIII. Années 1896-1897, Paris, 1953. Imprimerie Nationale, Coste Ed.

(9) *I documenti diplomatici Italiani*. Ministero degli Affari Esteri. La Libreria dello Stato, Roma 1952-1953. Dotychczas wydane: Seria I. Vol. I., rok 1861; Seria III, Vol. I. — lata 1896-1897; Seria VII, Vol. I. — lata 1922-1923 (po dojściu do władzy Mussoliniego); Seria VIII, Vol. XII — 23. V. — 11. VIII., oraz Vol. XIII — 12. VIII. — 3. IX. 1939.

O rozmiarach archiwów dyplomatycznych i o trudnościach selekcji przy wydawaniu ich świadczy ciekawa statystyka telegramów przychodzących i odchodzących w ciągu jednego roku z Ministerstwa, podana w przedmowie do dokumentów włoskich: w 1861 — 1.042 i 1.708; w 1891 — 2.675 i 1.963; w 1901 — 2.943 i 2.775; w 1912 — 8.044 i 508; w 1930 — 13.560 i 13.000; wreszcie w 1939 — 19.030 i 20.690.

cają nowego światła na decydującą rozgrywkę w sprawie wojny i pokoju między Mussolinim a hr. Ciano — rozgrywkę, znaną z dziennika Ciana i notat z pamiętników członków ambasady berlińskiej. W raportach dyplomatycznych wyróżnia się, zgodnie z ustaloną już opinią, ambasador włoski w Berlinie, Attolico. Wykazał on przenikliwy krytycyzm w stosunku do nazistów, w szczególności do Ribbentropa, zrozumienie perfidnej gry, mającej na celu przypisanie Polsce agresji, oraz szlachetną ambicję zatrzymania polityki włoskiej na pochyłości. Znamienne jest jednak, że nawet Attolico uległ zaskoczeniu stworzonemu przez pakt moskiewski i skłonny był radzić Polsce skapitulowanie w obliczu przemocy. Nawiasowo, dokumenty włoskie przypisują pierwszy pomysł porozumienia z Sowietami Mussoliniemu, w jego rozmowie rzymskiej z Goeringiem.

Bezpośrednich świadectw o Polsce znajdujemy niepomierne mało. Pochodzi to między innymi z zastosowanej do wydawnictwa metody — nie zamieszczania rozmów z ambasadorami akredytowanymi w Rzymie, nawet odnośnych telegramów okólnych do ambasadorów zagranicą. Nie jesteśmy więc poinformowani o działalności przedstawiciela Polski przy rządzie włoskim. Natomiast telegramy ambasadora włoskiego w Warszawie są wyzute z treści: baron Arone di Valentino ma uznanie dla Polski, ale ze swej strony jak najmniej rozmawiał i wcale nie działał: jest to dowodem, że pośrednictwo włoskie, o którym chwilami była mowa, w rzeczywistości nie istniało i nie miało żadnych podstaw realnych. Interesujące są raporty konsułów z Gdańska i Katowic, przynoszące jeden jeszcze dowód, jak rozmyślnie fałszowane i konstruowane sztucznie były, w swej ogromnej większości, doniesienia o wybuchłych rzekomo w lipcu i sierpniu prześladowaniach mniejszości niemieckiej w Polsce.

Amerykańskie zbiory dokumentów nosiły od początku charakter odrębny. Zbliżone typem do angielskich „białych” i „niebieskich” książek, ale poświęcone całym kompleksom dyplomatycznym, „Stosunki Zagraniczne Stanów Zjednoczonych”, wydawane były jako seria stała, w układzie chronologicznym czy rzeczowym. Toteż po pierwszej wojnie światowej nie było potrzeby specjalnego wydawnictwa, i ograniczono się w latach dwudziestych, do ogłoszenia szeregu tomów dodatkowych, kompletujących poszczególne lata. Były to zbiory oficjalne, o wstrętnym charakterze odpowiedzialnych rządowych publikacji. Właściwe rewelacje zarezerwowane były do wydawnictw półprywatnych i pojawiły się w pośmiertnych „papierach” Woodrowa Wilsona, pułkownika House’a, Davida Hunter Millera i innych. Tradycja wilsonowska „jawnych i jawnie negocjowanych układów” zapuściła swoje głębokie korzenie i odpowiada nadal obyczajom politycznym wielkiej republiki. Gros dokumentów

doby współczesnej można tedy znaleźć w wielkiej seryjnej publikacji Departamentu Stanu, lecz także w dorywczych jego publikacjach i regularnych „biuletynach”. Jak trudno jest czasem odszukać coś w lesie druków, świadczyć o tym może fakt, iż arcyważna korespondencja generała Eisenhowera z sowieckimi władzami wojskowymi w sprawie marszu na Pragę w 1945, wyjaśniająca cofnięcie się Amerykanów z Czech, została ogłoszona przez Departament tylko jednorazowo, za pośrednictwem dzienników. Z drugiej strony, publikacje dawniejszych aktów dyplomatycznych są niezwykle wyczerpujące i wystarczy przytoczyć wydany w 1952 tom, zawierający dokumenty stosunków amerykańsko-sowieckich od nawiązania ich w 1933 aż po początek wojny światowej w 1939 (10).

Michał SOKOLNICKI
Ambasador R.P.

Mowa bez ziemi

(Dokończenie)

Złota Brama (1) Stefana Legeżyńskiego jest tomikiem niewydarzonym. Autora zdaje się, więcej bawiły tytuły wierszy, ich wymowa „tułacza” (Jerozolima 1944, Wiedeń, Morze Śródziemne, W drodze z Haify do Bejrutu), niż opracowanie samych utworów. Uważam, że nie wystarczy mieć siedem takich wierszy, aby móc je ogłosić drukiem. Z takimi wierszami nie trzeba się rozstać.

Ani jeden nie przynosi czegoś nowego. Dwa spośród nich, napisane jeszcze w 1937 (to znaczy 17 lat temu!) świadczą, że w owym czasie autor interesował się poezją awangardową. Ani jednak wówczas, ani tym bardziej dziś, nie udało mu się dojść do poezji. Werbalizm jest jakby dewizą tomiku, sprzyjając gafom w rodzaju: „Uderz w głązki ciemieniem/ czleku skopany życiem”, (autor chyba nie wie gdzie znajduje się ciemień!) i dając w wyniku takie ni-to-ni-owo: „Krzycz, liść palmy wywijaj/ podbiegaj, tłumem faluj/ w gibach tanecznych zwijaj,/ śpiewną melodią zalej...” Co słowo to nietakt wobec gramatyki i zdrowego sensu.

(10) *Foreign Relations of The United States Diplomatic Papers. The Soviet Union, 1933-1939.* U.S. Government Printing Office, Washington, 1952.

(1) Londyn, 1953.

Tomik Zygmunta Ławrynowicza, *Epitafium jesieni* (2), nosi wszystkie cechy debiutu. Pomimo wielu zastrzeżeń jest w sumie próbą raczej udaną. Na plus zapiszmy poecie świeży materiał, przezierający często poprzez konwencjonalne słownictwo, na poważny minus zbytnią zależność od wielkich poprzedników i błędy językowe. Najczęściej pobrzmiwają w tym tomie mowa i tok rytmiczny skamandrytów, a raz odnajdujemy nawet Kasprowicza („Upodobałem sobie”). Za wiersze najbardziej autorskie uważam: „Konstelacje smutku”, „Spacer o świcie” i „Przygodę”. Dwa ostatnie świadczą o tym, iż Ławrynowicz potrafi czasem pisać lekko, że umie rozwinąć żart w przyjemny, bezpretensjonalny wiersz. Autor powinien częściej próbować własnych sił i koniecznie odrzucić wszystkie czary, alabastry, ciche chaty, i rośne świty, których zbyt wiele pokutuje w jego utworach, przesłaniając tekturą dekoracją świeże patrzenie na świat. Żle skończyła się wyprawa po tzw. rzadki asonans. Ławrynowicz pisze: „Już świat się otorbił/ przedzą wiosenną —/ już urbi et orbi/ pieją heroldy... etc. Cena zapłacona za asonans do orbi jest zbyt wysoka, a słowo *otorbił* budzi skojarzenia humorystyczne. Wacław Potocki pisał: „papużę się lasy” i Ławrynowicz zgodzi się ze mną, że poeta barokowy szczęśliwiej nazwał zieleń wiosenną.

Od poetów należy oczekiwać poprawnego języka. To minimum! Gdybyśmy żyli w Kraju, podobne błędy nie zdarzyłyby się na pewno... Dlatego apeluję: więcej dbałości o język! Wtenczas poeta nie napisze: „Stwórcy polecam trwożny duch”. Mówimy poza tym: upodobałem sobie coś, a nie *w czymś*.

Debiut Floriana Śmieji, *Czuwanie u drzwi* (3), upewnia nas już od pierwszych stron, że mamy do czynienia z poetą, a nie z młodzieńcem pisującym wiersze. Tom jest czytelny, ale nie za cenę łatwizny i, co trzeba podkreślić, jest w nim stosunkowo nie wiele księżycowych czułości i innych poetyckich słodyczy. Wiersze Śmieji podobają mi się przede wszystkim dlatego, że autor potrafił je napisać prawie zawsze *na swój sposób*. Patrząc na przedmiot, wydobywa zeń swoistą aurę poetycką. Dlatego wolę osobiste krótkie, często dwuzwrotkowe utwory, w których owa operacja magiczna nie jest przysłonięta aluzją, czy alegorią polityczno-historyczną. Lubię te wiersze za ich schludność wyrazu. Pióro zostało zatrzymane w chwili gdy operacja wywoływania poezji z przedmiotu dobiegła do końca. Drugą cechą, równie ważną poezji Śmieji jest jej emocjonalna prawdziwość.

Język autora *Czuwanie u drzwi*, oprócz paru sentymentalnych zwrotów w rodzaju: „Światelko tylko westchnie cicho w oknie”, wyraża nowoczesnymi środkami tematykę dzisiejszą.

(2) Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn, 1953.

(3) Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn, 1953.

W pięknej „Szenie ulicznej”, poeta wskoczywszy na chodnik po przejściu pełnej aut jezdni, zauważa, „że tuż obok/ przycumowany niewinnością/ stał wózek/ a w nim niemowlę/ ukołysane zgiełkiem ulicy/ z buzią w krainie czarów”. Użycie wyrażenia *przycumowany niewinnością* uderza przez swą trafność. Dotychczas tylko okręty bywały przycumowane.

Błędów jest w książce nie wiele. Zdarza się, że w trzech liniach pod rząd poeta pisze : „Kiedy się ptaki budzą.../ Szron się zasiedzia.../ Mgła się w ulicach rozparła wygodnie”. Razi mnie tu łatwy antropomorfizm. Stary to chwyt, i Śmieję stać na inny szron i na inną mgłę, niż te co siedzą i rozpierają się wygodnie. Po drugie, te trzy się są trochę niezgrabne. W innych utworach, prawem jakiejś dziwnej kompensaty, brak owego zaimka rzuca się w oczy i uszy. Na str. 39 „księżyc zaplatał się w drzewach/ i na rzekę rozsypał/ szklanym igliwem”, podobnie na str. 43 „wiatr... szamoce z krzakami”.

Pomimo powyższych „ale” tom Śmieji przynosi próby dobrej poezji. Zawiera wiele wierszy równie udanych jak fragment utworu, w którym, poeta, przypominając sobie jak niósł czarne pudło zawierające ledwie co kupioną maszynę do pisania, mówi :

Wziąłem je do ręki i niosłem jak urnę
z prochami snów, ostrożnie,
i podniosłem ku niebu oczy,
aby stągiem ma winem nabrzmiąta.



Józefa Radzymińska, najpłodniejsza spośród poetów Emigracji, ogłosiła w latach ostatnich cztery książki (4). Najwięcej w nich wierszy patriotycznych, dlatego też od nich zaczę. Autorka pisze przede wszystkim o Powstaniu Warszawskim, nie umie jednak stworzyć niezbędnego dystansu między samym przeżyciem, a jego kształtem poetyckim, nużąc czytelnika ciągłymi zestawieniami : ja-Kraj, ja-Warszawa. Oprócz tego, uczucia bólu, czy smutku podawane są bez artystycznego „przetrawienia”. Nieobecną poezję zastępuje przypomnienie narodowej katastrofy.

W poezji polskiej istnieją zbyt wielkie wzory wierszy patriotycznych, i poeta piszący dzisiaj musi się liczyć z możliwością porównań. Również nie zapominajmy, że ten rodzaj poezji dotyka nie tylko bólu narodowego, ale... i problemów politycznych. A oto jak Radzymińska zrozumiała sens Powstania : „I tak wszystko się razem splatało,/ miłość, grzy, śmierć, rozpacz i walka —/ za to właśnie umierała Maria,/ za to zginął plutonowy Andrzej.” Myślę, że nie za to umierali Powstańcy !

(4) *Dzika perła*, Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1952. — *Opowieść o cudzoziemcach*, Stow. Literatów i Dziennikarzy Polskich w Argentynie, Buenos Aires, 1953. — *Fraszki*, Buenos Aires, 1953. — *Popiół i płomień*, Buenos Aires, 1954.

Formalnie wiersze są blade. Zamiast dawać własną wizję, tworzyć, Radzymińska opowiada. „Mówią, że na ruinach, gdzie wolność znękana/ poległa wtedy w sierpniu — dziś rosną sztandary...” etc. (Żal), nie mówiąc o chwytach budzących uśmiech, gdy czytamy : „pamięć miasta, które jest/ zwęglonym sercem w płucach bożych” ! Nie lepiej przedstawia się *Poemat sceniczny* z tomu *Popiół i płomień*. Obok języka romantyczno-młodopolskiego („Nie słyszę nic. To jeno krew/ w wym sercu płonie...”), pojawia się humorystyczny anachronizm. Duch Podchorążego Wysockiego mówi do ducha Marii (poległej w 1944): „Tak obojętnie mówisz Mario,/ o chłopcu twoim...” Tego *chłopca* zapożyczył duch Wysockiego ze słownika gimnazjalistki, z lat 1935-1950.

Nie lepiej przedstawia się próba epiki, *Opowieść o cudzoziemcach*. Pomysł był dobry. Młode małżeństwo emigrantów, rwące się do Kraju, dokąd z powodów politycznych mąż nie może powrócić. Nie brak w tej książce akcentów serdecznych, ale wszystko tonie w nadmiarze nazwisk, aluzji do osób i rzeczy. Zbyt wiele pretensji do Picassa, za dużo wymyślania „cynikowi Churchillowi” i innym wrogom Ojczyzny. I to... „serce prawie przecięte na pół”..., które nosi w piersi Maria, bohaterka *Opowieści*.

O wiele lepsze są wiersze liryczne zebrane w *Dzkiej Perle*, tomie ozdobnym w przesłiczne linoryty śp. Krystyny Herling Grudzińskiej. Do najbardziej udanych zaliczam : „Zdrowaś”, „Zazdrość słoneczna”, „Chwilę spaceru po dwunastej” i „Miłość”. Widać tu staranną szatę słowną. Autorka chciała nie tylko mówić o czymś; starała się również dać temu artystyczny wyraz.

Na przyszłość trzeba by oczyścić język z balastu prozaizmów. W „Krajobrazie”, na 16 linijek, 5 zaczyna się od *i*, a dwie od ciężkiego *który*. W wierszu o Oświęcimiu Radzymińska pisze : „W jedno miejsce *zbiegła* Europa”. (Podkr. moje M. P.), wyrażając zupełnie coś innego niż zamierzała. Przecież nikt nie uciekał do Oświęcimia. Może autorce chodziło o *zbiec się*, spotkać się w jednym miejscu.

Wśród *Fraszek* zaledwie kilka jest na poziomie. („Recenzent i aktorka”, „Los wydawcy”, czy „Kara za grzech pychy”). Kilka jest niepotrzebnie zapluty, parę innych ni przypiął ni przylatał.



Nie łatwo przychodzi mi pisać o poemacie Wacława Iwaniuka, *Pieśń nad pieśniami* (5), ozdobionym rysunkami Józefa Czapskiego. Zazwyczaj krytyk ma do czynienia z książką, którą autor definitywnie przekazał czytelnikowi. Tymczasem Iwaniuk nie opuścił swego tekstu, nie pozwolił, aby wiersze mówiły za siebie, i skoro czytelnik otworzy książkę, widzi jak zza stołu

(5) Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1953.

przykrytego biało-amarantowym suknem wstaje autor i zaczyna przemówienie. Aby nikt nie pomyślał że przesadzam, zaczytuję początek wstępu : „Napisałem ten poemat w bólu narodowym. Tworzyłem jak malarz, ale mój gatunek farby jest ciężki i bolesny. Całość jest wielkim symbolem... Tylko poezja symboliczna jest wielka. Nie znoszę paplaniny liryczno-kawiarniano-realistycznej, która zabiła symbol, a z nim poezję. Dlatego nie lubię „szkół poetyckich”. I historia ich nie lubi...”

Anno 1954, do powyższych zdań można podejść jedynie z humorem, zaopatrzyć je komentarzem i włączyć do „Antologii megalomanów”, lub do „Zbiorowego tomu autorów pozbawionych poczucia humoru”. Krytykowi nie wolno jednak zatrzymać się na wstępie, pomimo że słowa autora brzmią jak przestroga rzucona w stronę świętokradców...

Jedyną więzią *Pieśni nad pieśniami* jest język autora. Nic innego bowiem nie łączy wydrukowanych pod wspólnym tytułem fragmentów. Obok naprawdę pięknej str. 17-ej, obok dobrze napisanej „Ballady o królu”, zawierającej ustępy nasycone poezją, jak np. „Anioł w palcach złocistych, / trzymał owoc soczysty, / pił sok ciężki jak cietrzew, / i wesoło fruwał w powietrzu...” następne części poematu pełne są kolorowego werbalizmu. Linia po linii, bez widocznej, lub choćby wyczuwalnej docelowości, Iwanuik obdarowywuje nas tzw. grą wyobraźni. Czy to źle? Byłoby wspaniale, gdyby obrazy miały w sobie moc świeżości. Biblijny i nonszalancki na przemian tok wiersza, obfitującego w dialogi, zbyt przypomina Eliota, czasem Gombrowicza (str. 37). Porównania są mdłe i niesprawdzalne („dusza jak miecz i lilia”, lub „A jemu odmówiono cienia, / który jest czkawką bezpłatną pamięci”). Może ktoś powie, że to „ciekawie”, obojętnie uważam to za dziwoląg, podobnie jak owo „Módlmy się Sykstynami smyczków zanurzonych w potoki”. Nie mówiąc o tym, że piszemy *zanurzać* (nora, nurek, nurt).

Czy całość jest „wielkim symbolem”, jak w to wierzy Iwanuik? Co najwyżej brulionem utworu, tekstem bez kośca i krwi. Istnieje zasadnicza różnica pomiędzy literackością a Poezją narodową. *Pieśni nad pieśniami*? Nie trzeba znowu przesadzać...



Omówienie książek, których zalety i niedociągnięcia starałem się przedstawić czytelnikowi, nie wyczerpuje bynajmniej poezji emigracyjnej. Nie mniej pozwala już na wyraźne oznaczenie problemu twórczości poetyckiej pisarzy polskich, żyjących poza granicami Kraju. Recenzja ta nie jest bilansem. Liczni poeci nie zostali objęci niniejszym omówieniem, gdyż bądź nie wydali ostatnio żadnej książki, bądź też tomy ich omówione zostały uprzednio.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi po przeczytaniu tych wierszy, to wzruszenie i zdziwienie, iż pomimo kompletnego braku polskich środowisk intelektualnych, pomimo oderwania od Ziemi,

istnieją w polskiej diasporze młodzi poeci, piszący i ogłaszający drukiem swe książki, w warunkach naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Kto je czyta? Chyba tylko inni poeci i garść przyjaciół. Wcale nas to nie dziwi. Bo chociaż wszyscy nieomal Polacy „lubią poezję”, nikt nie czyta młodych poetów. Muszą się wprawdzie postarać. Wtenczas będą i kadzidla i nagrody i tytuł wieszcz.

Podziwem napelnia strój typograficzny tych książek. Wspomniałem już uprzednio o Oficynie St. Gliwy, dziś wyrażę szczere uznanie Oficynie Poetów i Malarzy, której wydawnictwa mogą śmiało iść w parze z luksusową książką zagraniczną, przewyższając kunsztem i jakością materiału wszystko, co ukazuje się w Kraju. O rzetelnej trosce wydawców o estetyczny wygląd tomów poezji świadczą również pozycje wydane przez Polskie Towarzystwo Literackie w Londynie.

Rzecz inna, jaka rzuca się w oczy, to różnorodność tej poezji; brak jakiegokolwiek zglajchszaltowania, czy też oportunistycznego liczenia się z gustem emigracyjnym odbiorcy. Najstarsi z grupy, którą omawiam, posiadają swój styl sprzed wojny, najmłodsi szukają własnego wyrazu, ale już teraz zapowiadają autentyczną poezję. Dodajmy, iż są ostatnim pokoleniem, które miało przywilej poznania mowy polskiej w Kraju. Następna generacja będzie pisać już tylko po angielsku, lub po francusku. Obym się omylił!

Nie wracając już więcej do ocen, wymienię tylko rozpiętość klimatów i tonu tych utworów. Są tu wiersze patriotyczne, jest liryka we wszystkich odcieniach, od miłosnej po filozoficzną, jest poemat symboliczny, są próby epiki, są i fraszki.

Wyczerpujące zestawienie całej poezji emigracyjnej z twórczością krajową zostawiam na inny raz. Dziś stwierdzam: poezja emigracyjna istnieje, i gdybyśmy mogli ogłosić antologię, skupiającą wiersze wszystkich dobrych poetów Emigracji, starych i młodych, odcięta gałąź okazałaby się różnorodnie zielona, nie ustępując bynajmniej gatunkiem liścia wielkiemu drzewu, do którego należy.

Marian PANKOWSKI

Spacer nieśpiesznego przechodnia

Erudyta rzadko bywa świetnym pisarzem. Podobnie jak kolekcjoner gromadzi filizanki, znaczki pocztowe, pudełka od zapalek, wiedziona absurdalną logiką samej kolekcji, erudyta mebluje swą pamięć szczegółami z przeszłości, wybierając celniejsze

okazy do własnego „Musée Imaginaire” kultury. Są oczywiście wyjątki: Henri de Régnier, Jean-Louis Vaudoyer, Léon-Paul Fargue potrafili erudycję ożywić, przemienić w poezję, zostawili dzieło „twórczych czytelników”.

Jerzy Stempowski jest również „twórczym czytelnikiem”. Ale eseje Stempowskiego, mimo że niemal na każdej stronie autor poufale obcuje z greckim czy łacińskim poetą, z pamiętnikarzem średniowiecznym, z „filozofem” wieku oświecenia, mają silniejszy, bardziej organiczny związek z samym życiem. Wielka erudycja Stempowskiego nie ma nic wspólnego z manią kolekcjonera, jest to owoc ciekawości z jaką podchodzi on do każdego przejawu życia, ciekawości z jaką stale się pyta: „jak?”, „skąd?”, „dlaczego?”. Odpowiedzi na swe pytania szuka Stempowski nie tylko w książkach. Mało znam ludzi dla których świat konkretnych spraw i rzeczy jest właśnie równie „czytelny”. Zapamiętały czytelnik książek, czyta Stempowski z kamieni, z ludzi, z ziemi, „jak z otwartej książki”.

La Terre Bernoise (Librairie E. Droz, Genève, 1954), to spacer Jerzego Stempowskiego po tej ziemi berneńskiej która udzieliła mu gościny. Spacer czytelnika — zapewne. Ale również spacer gospodarza, spacer myślowego czy kłusownika (nawet złamana gałąź ma dla niego wymowę), spacer archeologa, spacer malarza. Oto choćby Stempowski, jak wychodzi z Bern przez Nydeck-Brücke. Wzdłuż wybrzeża Aar rośnie piękna aleja platanów. Dlaczego platan? To śródziemnomorskie drzewo rozpowszechniła na północ od Alp osiemnastowieczna admiracja dla klasycznej starożytności. Platan jest „drzewem akademickim”, pod jego cieniem nauczał Sokrates. Stempowski przytoczy tu „Le Voyage du Jeune Anarcharsis”, zapomnianą książkę sprzed dwóch wieków, w kilku zdaniach odtworzy neoklasycyzm wieku oświecenia, wróci do Bern z historykiem Blöschem, i oto aleja z Muristalden rośnie inaczej, odmłodzona, świadoma swej przeszłości. Chłopska ekonomia kantonu, historia jego dróg, rozwój krajobrazu, stare obyczaje, cyganie i gospody — wystarczy iść krok w krok za Stempowskim, korzystać z jego bacznego spojrzenia (co za talent spostrzegania), a mały zakątek Europy zaczyna świadczyć o swej przeszłości drzewem, skałą, zakretem drogi, kształtem pola... Autor pomija pomniki, zamki, katedry, których wymowa jest zbyt oczywista. Książka jego nie jest przewodnikiem, ani zbiorem wrażeń z podróży. W niemal magiczny sposób *przemienia* on najprostsze, najzwyklejsze przedmioty, których podróży zazwyczaj nawet nie zauważa, w piękne „*armoiries parlantes*”. Prostota i klasycyzm stylu dają, w zestawieniu z prostotą i klasycyzmem tego pejzażu, urzekającą poezję. Trudno subtelniej i ładniej, będąc wygnańcem, spłacić dług za doznana gościnność.

Pogrom cieni

Magdalena Samozwaniec — wesola Madzia Kossak — była humorystką przedwojennej polskiej „elity”. Długie telefony (od fryzjera) czwartej żony ministra, wyjazd mecenasowej do Juraty z młodym kochankiem, hrabina z pułkownikiem w Krynicy, skargi nad tym jak polscy mężczyźni źle funkcjonują erotycznie — oto, jej zwykłe tematy. Nicia przewodnią powieści, nowel, felietonów, był bridge: poród przy szlemie, małżeńska zdrada podczas kontry, kryzys gabinetowy z powodu trzech bez atu, bez czterech. Madzia lubiła bridge, Juratę, dancingi, Krynicę — pisała z humorem o sobie i o swoich znajomych. Nie było w tym satyry co „chłoszcze”, czy „uczy”. O! tak, byle się pośmiać... Cóż w „nowej polskiej rzeczywistości” ma począć taki miły Abel Hermant w spódnicy? Humor jest zgola źle widziany — trzeba się przecisnąć przez ucho igielne reżymowej satyry. Z tą satyrą trudna dziś w Polsce sprawa. Bo przecież satyra — to bicz na moźnych tego świata. To zemsta zgnębionej myśli na głupocie, okrucieństwie, wulgarności panujących. Komu by się śniło pisać satyrę zwrócone przeciw pańszczyźnianym chłopom? Przeciw więźniom? Przeciw dzieciom? Satyra godzi w feodalów, w katów, w królów, w złych rodziców. Można dziś co prawda w Polsce pokpić sobie z „biurokratów”, czy z „brakorobów”, ale celem tych kpín jest nie potępienie złych rządów, ale ich uniewinnienie. Podobnie jak w najbardziej zacofanych i reakcyjnych społeczeństwach, w bloku sowieckim wolno ganić tylko tych, którzy „źle wykonują” wolę mądrych władców, którzy „zniekształcają” nieomylnie plany „królów-filozofów”. Przypomina to skargi „złego ekonoma” w ustroju feudalnym (gdymy się o tym dowiedział dobry Pan...), albo kpiny katolickich pisarzy z „gorszych elementów” kleru.

Ale Magdalena Samozwaniec nie puściła się na tę satyrę zwróconą przeciw niższej kascie rządzących — trzeba zapewne na to niełada wyrobienia i niebylejakiej partyjnej sytuacji. Wybrała pewniejszy cel — polską arystokrację. Od chwili powstania „Polski Ludowej” dziwiło mnie to nagłe wejście arystokracji na polską scenę. Stale humorystyczne rubryki poświęcone „hrabiemu Bęc-Walskiemu” przypominały Wiedeń cesarski z „Graf Bubi” i wydawały się — przynajmniej z daleka — zabawnym anachronizmem w powojennej Polsce. Polska arystokracja, najmniej liczna ze wszystkich krajów Europy, obejmująca kilkanaście rodzin, do których z różnym powodzeniem pięło się kilkadziesiąt innych, nie odgrywała w niepodległej Polsce przedwojennej niemal żadnej roli. Elita rządząca pochodziła przeważnie z drobnej zubożałej szlachty i drobnego mieszczaństwa. Udział arystokracji w życiu gospodarczym był nikły — topniał nawet jej stan posiadania w majątkach ziemskich. Co prawda można było wśród polskiej arystokracji zaobserwować pewien zmysł samozachowawczy, po części wyrobiony w 19-tym wieku, kiedy arystokracja była jedyną polską sferą zabiegającą o względy zaborców. Tradycja carskich adiutantów, Izby Panów, Namiestnictwa, sprawiła że arystokracja całkiem naturalnie weszła w niepodległej Polsce w symbiozę z klasą rządzącą. Uwagi te nie dotyczą bynajmniej postawy „patriotycznej”, czy „niepatriotycznej” polskiej arystokracji — chodzi po prostu o pewien proces socjologiczny. W niepodległej Polsce arystokracja odgrywała w Warszawie najwyżej podobną rolę do tej, do jakiej przywykła przez półtora wieku w Petersburgu, Wiedniu, czy Berlinie. Adiutanci stali się szefami gabinetów, sekretarzami ministrów — nie mając żad-

nego wpływu na bieg rządów stali nadal „na stopniach tronu”. Tak więc, nawet przed rokiem 1939, rola arystokracji w polskim życiu była znikoma.

Pojawienie się w roku 1954 książki Magdaleny Samozwaniec pt. „Błękitna Krew” („powieść satyryczna”) jest dość zagadkowe. W Polsce wydaje się tylko książki z punktu widzenia reżymu „celowe”. Czyżby satyra na arystokrację była potrzebna i celowa w „dziesięciolecie Polski Ludowej”? Ale wobec przerażającej nudy większości książek ukazujących się dziś w Polsce, nie wątpliwe, że „Błękitna Krew”, w której gdzieś tam przebiega werwa dawnej Madzi, której akcja toczy się często na dancinгах, gdzie wątki erotyczne są pruderne wprawdzie ale obfite, będzie miała powodzenie u czytelników.

Treść książki — to losy różnych Zadzwillów, Czartorowskich, Dziaduszyckich, Putockich, którym na imię Biś, Biszeta, Lorcja, Moryś, Miś, od roku 1944 do roku 1947. Akcja toczy się częściowo w Rajewie, resztowoce Pękosławskich, częściowo w Krakowie i Warszawie. Jeśli celem książki było ukazanie „niepoprawnej” arystokracji, która do roku 1939 rządziła krajem (a wskazują na to wypowiedzi niektórych postaci), to przeczy temu Rajewo. Pękosławscy siedzą na kilkumorgowej (sic!) resztowce, są w nędzy od lat, ostatnie pieniądze przegrał ich ojciec w Monte Carlo... Mimo to „zadziera nosa”, często wtrącając francuskie słowa do konwersacji (zawsze „demokratycznie” przetłumaczone w nawiasie), zaś służące całują w rękę nawet młodych „hrabiców”. Dawna Magdalena Samozwaniec mogła sobie pozwolić na bardziej wienią wizję świata który opisywała — gdyż czytelnicy jej mieli z tym światem taką czy inną styczność. Piszac teraz „o hrabiach” — musi ich chcąc nie chcąc przedstawiać jak „hrabiów” z popularnego mitu co znacznie ogranicza zakres jej humoru, mimo że pewne rysy polskiego „monde'u” zaobserwowane są znakomicie. Całe to towarzystwo bawi się, flirtuje, pędzi bimber, stroni od „polityki”, handluje, szabruje, kradnie, skarży się. Po zakończeniu wojny przekształca się w „wewnętrzna emigrację” i stara się uciec zagranicę. Hrabstwo Mordegowie dostają nawet za nieudaną próbę ucieczki do Szwecji „kilka lat więzienia”, co z satysfakcją notuje autorka poprzez uwagi paru „pozytywnych” postaci. Są bowiem także „pozytywne” postacie. Księżniczka Matylda Kolupajło ucieka z Rajewa, staje się w Warszawie „adiustatorką francuskich tłumaczeń”, ma znów wieczną ondulację i elegancki „tailleur”. Nie wstępuje do partii ale godzi się z „rzeczywistością” i wygłasza sentencjonalne uwagi potępiające swą „klasę”.

Dziwna, ciekawa psychologicznie książka. Oto obojętna, wesoła, światowa Madzia („Molly” ze „Zwierzęcego Folwarku” tyle że dowcipna), zmusza się do „potępienia”, do „satyry”, dziwnie blażej i nierealnej: z drewnianą szabelką na cieniu. Myślę, że można by nawet w dzisiejszej Polsce napisać zabawną satyrę na arystokrację ale jej przedmiotem winien być raczej ostatni wysiłek arystokracji służenia rządzącym: Krzysztof Radziwiłł u Bieruta, „złota młodzież” z „Dziś i Jutro” — to nęcące tematy dla humorysty. Szkoda, że zabronione.

Biedna Madzia mimo wszystko odczuwa pewną solidarność z warstwą, z którą łączyły ją znajomości i przyjaźnie. Jej hrabiowie — to ramole, nie dołgi, złodzieje, ale prawdziwym, stuprocentowym, reprezentatywnym dramem jest dopiero chłop Marzec. A z jakim zadowoleniem, z jaką sympatią kreśli postać „dobrej księżnej” Kolupajło!

Jeśli można wyciągnąć z tej książki jakiś wniosek, to że w Polsce, nawet w roku 1954, snobizm — ten najbardziej prymitywny snobizm „pod hrabiów” — nadal istnieje, mimo że wyginęli hrabiowie. To pośmiertne dyskredytowanie drobnej, mało znaczącej grupy przeważnie białych i nieśmiały ludzi może tylko oznaczać że zachowali oni jakiś tajemniczy prestiż nawet w nowym polskim społeczeństwie.

Zabawnym szczegółem jest współpraca Magdaleny Samozwaniec i Maji Berezowskiej, która dała do „Błękitnej Krwi” brzydkie i ordynarne ilustracje. Obie te panie należały do tej niemal nieistniejącej w Polsce kategorii „mulier erotica”, która tak kwitła i kwitnie we Francji (od Colette na szczytach, poprzez różne Lucie Delarue-Madrus, aż po Maryse Choisy na samym dole). Czy należy w tej współpracy widzieć, nieśmiało zresztą zapowiedź erotycznej liberalizacji w dzisiejszej Polsce?

Wreszcie, ze zdziwieniem notujemy że oto pierwsza książka Magdaleny Samozwaniec, w której ani razu nie jest wspomniany bridge. Czyżby bridge był zakazany przez cenzurę? Czy też, pisząc książkę na zamówienie, autorka postanowiła „świętości nie szargać”?

KAJ

Notatki wydawnicze

Denis Saurat nie reprezentuje tradycji ezoterycznej w tym sensie co Abellio czy René Alleau. Jego ostatnia książka, *L'Atlantide et le Règne des Géants*, (Denoël, 1954), stanowi próbę integracji różnych świadectw dotyczących zamierchłej przeszłości człowieka. Saurat czerpie te świadectwa z Biblii, Platona, archeologii, nauki ścisłej, psychoanalizy, poezji, nawet z notatek spirytów. Całość jest pasjonująca, nawet jeśli nie przekonywuje (choć jedną z zasług Saurata jest, że nie chce on nikogo przekonać, wskazuje raczej na ogólny kierunek pewnych hipotez). Czy warto streszczać te hipotezy, kiedy całe bogactwo książki polega na szczegółach, na frapujących zestawieniach świadomej i podświadomej strefy historii ludzkości? Saurat gromadzi swe „dowody” wokół teorii niedawno zmarłego austriackiego kosmografa Hoerbiger, który twierdził, że nasz księżyc nie jest pierwszy, że krążył poprzednio wokół ziemi inne księżyce, które, wszystkie, roztrzaskały się na ziemi, powodując straszliwe kataklizmy. Różne rozmiary i różne odległości tych księżyców od ziemi zmieniały warunki ziemskiej grawitacji — stąd epoki „gigantyczne”, olbrzymich roślin, olbrzymich zwierząt i — olbrzymich ludzi. Saurat sądzi że cywilizacja Tiahuanaco (którą już pradawni Majowie zastali jako ruiny zamierchłej epoki) jest ostatnim śladem cywilizacji olbrzymów zakończonyj 15.000 lat temu upadkiem „przedostatniego” księżyca. Absurd? Ostatecznie każda teoria o rozwoju życia na ziemi jest wytworem imaginacji, gdyż musi wykraczać poza doświadczalne fakty. A hipoteza Saurata pozwoliła mu przynajmniej na nieoczekiwane zestawienia mitu i nauki.

Henri De Man jest zapewne jedną z ciekawszych postaci naszej epoki. Zarazem filozof i działacz, urodzony antykonformista, człowiek który miał zawsze rację za wcześniej, albo mylił się zbyt inteligentnie — życie jego może służyć za jaskrawy przykład kłeski, jaką dla kariery polityka stanowi intelektualizm.

W *L'Ere des Masses et le Déclin de la Civilisation* (Au Portulan, Flammarion 1954), De Man próbuje dać syntezę schyłku cywilizacji w tradycji Spenglera i Toynbee'ego. Wizja jego nie jest nowa, ani systematyczna. Obok niewątpliwie ciekawych myśli, książka ta obfituje w banały i fałszywe „prawdy oczywiste”. Znak równania pomiędzy Ameryką i Rosją, groźby

mechanizacji i cywilizacji masowej — są to problemy tak dziś oklepane, że tylko w nowym oświeceniu (to jest przy gruntownym i indywidualnym przemyśleniu) mogą stać się na nowo ciekawe. De Man powtarza tu banały ulicznego przechodnia. Ciekawsza jest — czy należałoby tu tym razem widzieć wpływ ewolucji polityki na myśliciela? — pewna tendencja „neuralistyczna” i postawienie „obrony pokoju” na pierwszym miejscu obowiązków współczesnego człowieka.

Essey Gabriel Marcela, *Le Déclin de la Sagesse* (Plon, 1954), stoi na nierównie wyższym poziomie intelektualnym, poruszając problemy pokrewne. Przerost techniki powoduje, zdaniem katolickiego egzystencjalisty, koniec ciągłości życia ludzkiego. Charakterystyką naszych czasów jest rozdrobnienie, rozproszkowanie bytu, ludzkiej myśli i uczynków. Gabriel Marcel bada straty. Największą z nich wydaje mu się zarzucenie „duchowej spuścizny” i koniec tradycji „sagesse” — tej mądrości która jest rozważą i oderwaniem (i która ma swą genealogię w myśli chrześcijańskiej, choć mniej potężną niż w starożytnych Grecji czy Chinach). O potrzebie tej tradycji i o konieczności „środkowej drogi” dla ludzkich społeczności pisała też Simone Weil, duch przecież gorętszy i gwałtowniejszy, instynktownie może stroniący od tej koncepcji „sagesse” którą ktoś nazwał kiedyś „une médiocrité déguisée”. Wnioski Gabriel Marcela mogą się wydać aż nadto oczywiste. Ale oryginalność jego polega na samej drodze rozumowania (choćby w rozdziale, w którym autor stara się dotrzeć do sedna pojęcia „cywilizacji przemysłowej”).

Islandia, którą opisuje Jacques Lanzmann w *La Glace est Rompue* (Juillard, 1954) ma tyleż wspólnego z ostatnią z północnych republik, co „Trans-Atlantyk” z dzisiejszą Argentyną. Opisywano kiedyś dwugłowe potwory w Afryce, Feniksa w Arabii, Amazonki na Kaukazie... Współcześni pisarze wznawili koncepcję fantastycznych podróży do istniejących krajów, ale deformacja ich nie jest deformacją przesądu czy ignorancji — nie jest wynikiem odległości. Jest to raczej chęć wydobycia — na tle konkretnej geograficznej rzeczywistości — jakiejś głębszej prawdy o człowieku — o samym sobie. Zespolenie wizji z okien samochodu czy wagonu kolejowego z wizją senną, topografii kraju z psychicznym labiryntem. Nie sposób streścić *La Glace est Rompue*: ten dziennik podróży jest fajerwerkem absurdu, humoru, inteligencji. Islandia staje się areną, na której odbywa się generalna próba ludzkiej cywilizacji.

(j)

W dwóch słowach

FRANCJA

Karl Jaspers: *Origine et sens de l'histoire*, traduit de l'allemand par Hélène Naef. Paris, Plon, 1954, str. 356.

Oryginał niemiecki nosi tytuł „Von Ursprung und Ziel der Geschichte”. Książka ta wprowadza w myśl Jaspersa łatwiej niż inne jego dzieła. Jego

metoda jest tu dobrze widoczna: twierdzenie jest stale niszczone przez przeciw-twierdzenie tak że rezultat pojawia się jako wypadkowa sprzeczności. Największą wagę w historii kuli ziemskiej Jaspers przywiązuje do „ery osiowej” to jest około 600 lat przed narodzeniem Chrystusa (prorocy izraelscy, Konfucjusz, Budda, Zoroaster, pierwsi filozofowie greccy). Taka nowa „era osiowa” prawdopodobnie jest jeszcze przed nami. Treścią książki jest analiza elementów które pozwalają na tę nadzieję.

Orestes Ferrara: *Le XVI^e siècle vu par les Ambassadeurs Vénitiens*, traduit de l'espagnol par Francis de Miomandre. Editions Albin Michel, Paris, 1954, str. 596.

Pochodzenia włoskiego profesor uniwersytetu w Hawanie, delegat Kuby do UNESCO, Ferrara wykorzystuje raporty ambasadorów nadsyłane do Rzeczypospolitej Weneckiej z szeregu krajów europejskich. W ten sposób daje szczegółowy obraz niezwykłych powikłań epoki Reformacji (od początku wieku XVI do roku 1560). Jest to raczej historia dyplomatyczna zabiegów i intryg niż historia w pełnym sensie tego słowa. Obfitość szczegółów może ją uczynić użyteczną dla czytelników znających przedmiot z bardziej ogólnych opracowań.

Albert Ducrocq: *L'Ere des Robots* (Juillard, Paris, 1954).

Najlepsza i najpełniejsza dotychczas książka o cybernetyce — w formie popularnej.

Pierre de Latil: *La Pensée Artificielle*. Introduction à la Cybernétique (Gallimard, 1953).

Cybernetyka jest nauką mechanizmów „samorządnych”. Największym „systemem samorządnym” jest przyroda. Latil jasno ale precyzyjnie, unikając popularyzacji, ale nie wdając się w matematyczne arkana, uzasadnia tytuł swej książki i jego implikacje tak mechaniczne, jak filozoficzne.

WIELKA BRYTANIA

John Plamenatz: *German Marxism and Russian Communism* (Longmans, London, 1954).

Plamenatz — ani marksista, ani antymarksista, daje nam pasjonującą genealogię myśli: od liberalnego radykalizmu XIX wieku aż po rosyjski komunizm. Wielu uczonych dowodziło już że Marks nie poznałby swego systemu w stalinowskiej teokracji. Ale Plamenatz przeprowadza szczegółową analizę myśli Marksa i dogmatyki bolszewików.

Sir Ernest Barker, Sir George Clark and P. Vaucher (Editors): *The European Inheritance* (Oxford, Clarendon Press, London, Cumberledge, 1954) (3, tomy).

Zbiorowa praca wybitnych uczonych brytyjskich (i kilku cudzoziemców), syntetycznie podająca „genealogię” europejskiej cywilizacji.

Hans Kohn (Editor): *German History: Some New German Views* (Allen and Unwin, London, 1954).

„Autokrytyka” niemieckiego imperializmu przez kilku młodych historyków niemieckich. Zawiera rozdział o historii stosunków niemiecko-polskich (przez dr. Puttkamera).

J. K. Johnston: *The Bloomsbury Group* (Secker and Warburg, London, 1954).

Historia (połączona z krytyką literacką) grupy angielskich pisarzy między wojnami do której należeli: E.M. Forster, Lytton Strachey, Virginia Woolf.

AMERYKA

Hans Kohn: *Pan-Slavism: Its History and Ideology* (University of Notre Dame Press, 1954).

Czech, profesor w Nowym Jorku, daje nowe sumienne studium o rosyjskim mesjanizmie.

Merle Fainsod: *How Russia is Ruled* (Harvard University Press, 1954).

Najpełniejsza dotychczasowa analiza sowieckich instytucji i ich sprzeczności z założeniami.

George Kennan: *Realities of American Foreign Policy*.

Nowa książka ex-ambasadora USA w Moskwie jest właściwie kompilacją czterech jego odczytów w Princeton i nie wnosi nowych elementów do też rozwijanych w poprzedniej pracy *American Diplomacy* omawianej w swoim czasie w „Kulturze”.

Przegląd miesięczników

Express jest ciekawym tygodnikiem. Redagowany przez Françoise Giroud z „Elle” i Jean-Jacques Servan-Schreiber z wielkiej dynastii „radical-socialiste”, jest to organ swoistej francuskiej „Naprawy”. Kiedy powstał, przed półtora rokiem, program jego treścić było można w kilku punktach: nienawiść do M.R.P.; nienawiść do „Europejskiej Wspólnoty Obrony”; chęć zakończenia wojny w Indochinach; nostalgia do „ko-egzystencji” dwóch światów; umiarkowany antyamerykanizm; ambicja postawienia Francji na nogi przez odważną reformę systemu gospodarczego. W *Express* ogłasza co tydzień swój słynny „Bloc-Notes” François Mauriac który związał Mendès-France’a z „petite fille Espérance”. Od chwili dojścia „P.-M.-F.” do władzy, z organu opozycyjnego, „Express” przekształcił się automatycznie w organ niemal rządowy, starający się we francuskiej opinii, a szczególnie wśród młodzieży wytworzyć i podtrzymać jakiś nowy klimat zapału, nadziei, wiary w nową francuską przyszłość.

Redagowany żywo i inteligentnie (trochę na wzór „Time’a” amerykańskiego, o wyższej kulturze i z zacięciem intelektualnym), *Express* co tydzień proponuje swoim czytelnikom grę z nagrodami: „pastiche” jakiegoś pisarza,

epigram na jakieś wydarzenie. W jednym z ostatnich numerów *Express* wezwał czytelników do napisania krótkiego ustępu z oficjalnego francuskiego podręcznika szkolnego z roku 2.000, streszczającego historię Francji z lat 1944-1954.

I oto redakcję *Expressu*, propagującą „nadzieję”, „koegzystencję” i „reformę” spotkała przykra niespodzianka. Niemal wszyscy uczestnicy konkursu wyszli z założenia że francuski podręcznik szkolny z roku 2.000 będzie podręcznikiem sowieckim. Z nieco kwaśną miną przyznaje *Express* nagrodę p. Jean-Louis Hubbert z Asnières którego wizja jest rzeczywiście kapitalna:

„Francja od roku 1944 do 1954. — Czwarta burżuazyjna republika, która powstała po zgnieceniu Niemiec hitlerowskich przez Związek Sowiecki była szczytem korupcji i degeneracji reakcyjnej burżuazji francuskiej, której polityka kapitulacji przed imperializmem amerykańskim posunęła się aż do potwornej koncepcji antysowieckiego paktu, nazwanego „Europejską Wspólnotą Obrony”. Pakt ten został odrzucony z obrzydzeniem przez naród francuski zgrupowany wokół swego wodza Maurice Thorez. Bandycka wojna przeciw Wiet-Namowi, prowadzona na konto kapitału międzynarodowego i aby zadowolić amerykańskich podżegaczy wojennych, zakończyła się w roku 1954 zwycięstwem Obozu Pokoju. Zrobiono wówczas premierem, celem przeprowadzenia negocjacji, reakcyjnego drobno-mieszczanina Mendès, wściekłego wroga klasy robotniczej, który poprzez swoją politykę nienawiści do Związku Sowieckiego przyczynił się do amerykańskiej agresji w Trzeciej Wojny Światowej, dzięki której bohaterzy i dumni żołnierze Wielkiej Czerwonej Armii wyzwolili Ojczyznę i przypieczętowali triumf Wielkiej Sprawy Socjalizmu.

Źródła: M. Thorez „Syn Ludu”.

R. Bartolomejewa: „Zewnętrzna reakcyjna polityka socjalistów francuskich (tom II 1944-1960). Tłumaczone z rosyjskiego.

♦
We wrześniowym numerze *Table Ronde* — „Kartki z Pamiętnika” Marii Czapskiej notowane na gorąco podczas Powstania Warszawskiego. *Table Ronde* poprzedza tekst Czapskiej następującym wstępem:

„...nieporównane, niedościgłe powstanie — pisał G. Bernanos — Warszawy zdradzonej, wydanej, ukrzyżowanej między dwoma łotrami...”. Powstanie warszawskie wybuchło 1 sierpnia, po gorących zachętach moskiewskiego radia, zostało później zdane całkowicie na własny los przez armię czerwoną, nieruchomo wyczekującą na Pradze. Warszawa skapitulowała po sześćdziesięciu pięciu dniach rozpaczliwej walki przeciw całej potędze niemieckiej armii”.

A. B. C. instytucji międzynarodowych (dok.)

VI. — RÓŻNE

WORLD ASSEMBLY OF YOUTH W.A.Y.
 ASSEMBLÉE MONDIALE DE LA JEUNESSE W.A.Y.
 ŚWIATOWE ZGROMADZENIE MŁODZIEŻY
 (organizacja społeczna)

Zgromadzenie założone w Londynie w 1948 roku, składa się z narodowych Komitetów Młodzieży 41 państw świata zachodniego.

INTERNATIONAL FEDERATION OF CHRISTIAN
 TRADE UNIONS I.F.C.T.U.
 CONFÉDÉRATION INTERNATIONALE
 DES SYNDICATS CHRÉTIENS C.I.S.C.
 MIĘDZYNARODOWA KONFEDERACJA
 CHRZEŚCIJAŃSKICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
 (organizacja społeczna)

Siedziba : Utrecht (Holandia).

Data założenia : 1920 rok.

Cele : Bronić interesów robotniczych i wprowadzać zasady chrześcijańskie do międzynarodowego życia społecznego i gospodarczego.

Członkowie : Członkami organizacji są centrale zawodowe dziesięciu państw europejskich (ogółem 3 miliony członków).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Uprawnienia doradcze w I.L.O., Radzie Europejskiej, Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z. i w U.N.E.S.C.O.

Uwagi : Konfederacja ma poważne osiągnięcia w dziedzinie walki o wolność związków zawodowych. Wydaje dwa miesięczniki „Labour” i „Christ Labour”.

INTERNATIONAL CONFEDERATION
 OF FREE TRADE UNIONS I.C.F.T.U.
 CONFÉDÉRATION INTERNATIONALE
 DES SYNDICATS LIBRES C.I.S.L.
 MIĘDZYNARODOWA KONFEDERACJA
 WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
 (organizacja społeczna)

Siedziba : Bruksela.

Data założenia : Grudzień 1949.

Cele : Stworzenie silnej międzynarodowej reprezentacji rzeczywiście wolnej od zewnętrznych nacisków politycznych, której zadaniem jest walka o interesy świata pracy.

Członkowie : Narodowe centrale związków zawodowych w 71 państwach (Ogólna ilość członków około 53.000.000).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Konfederacja posiada uprawnienia doradcze w następujących organizacjach : I.L.O., w Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z., U.N.E.S.C.O., O.E.C.E. i w Radzie Europy.

Uwagi : Głównym powodem stworzenia Konfederacji był fakt opowania przez komunistów Światowej Federacji Związków Zawodowych.

Konfederacja wydaje następujące pisma : „Information Bulletin”, „Free Labour World” i „Spotlight” (wszystkie te publikacje wydawane są w czterech językach : angielskim, francuskim, niemieckim i hiszpańskim).

INTERNATIONAL COUNCIL OF WOMEN I.C.W.
 CONSEIL INTERNATIONAL DES FEMMES C.I.F.
 MIĘDZYNARODOWA RADA KOBIET
 (organizacja społeczna)

Siedziba : Zurich.

Data założenia : 1888 rok.

Cele : Zjednoczenie organizacji kobiecych świata bez względu na rasę, wyznanie i pochodzenie w celu współdziałania na rzecz polepszenia bytu społeczeństw, rodzin i jednostek i walki przeciwko upośledzeniu kobiet.

Członkowie : Narodowe Rady Kobiety w 32 krajach świata zachodniego (ponad 15.000.000 członków).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Uprawnienia doradcze w Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z. (Status B), w U.N.E.S.C.O. i F.A.O.

Uwagi : Organizacja ta ma ważne osiągnięcia w dziedzinie polepszenia stosunków międzynarodowych, walki o prawa kobiety i opieki nad dzieckiem.

CONGRESS FOR CULTURAL FREEDOM
CONGRÈS POUR LA LIBERTÉ DE LA CULTURE
KONGRES WOLNOŚCI KULTURY

(organizacja społeczna)

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Czerwiec 1950 rok (Kongres w Berlinie).

Cele : Obrona wolności kultury przed wszelkimi totalizmami, zapewnienie tej wolności tam, gdzie dotychczas nie istniała, utrwalenie jej; pomoc tym, którzy zostali pozbawieni tej wolności.

Członkowie : Sekcje narodowe w następujących krajach : Belgia, Francja, Niemcy Zachodnie, Indie, Włochy, Japonia, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone.

Uwagi : Kongres wydaje następujące pisma : „Preuves” (po francusku), „Encounter” (po angielsku), „Quadernos” (po hiszpańsku).

INTERNATIONAL PEN CLUB P.E.N.
FÉDÉRATION INTERNATIONALE DES PEN-CLUBS P.E.N.
MIĘDZYNARODOWA FEDERACJA PEN-KLUBÓW
(organizacja społeczna)

Powstała w 1921 roku. Organizacja ta ma na celu zapewnienie współpracy pomiędzy pisarzami wszystkich krajów.

Wydaje „International Pen Bulletin of Selected Books”.

LEAGUE OF RED CROSS SOCIETIES
LIGUE DES SOCIÉTÉS DE LA CROIX-ROUGE
LIGA STOWARZYSZEŃ CZERWONEGO KRZYŻA
(organizacja społeczna)

Data założenia : 1919 rok.

Siedziba : Genewa.

Cele : Ułatwić działalność Czerwonego Krzyża w celu poprawy warunków zdrowotnych, zapobiegania epidemiom i uśmierzenia cierpień.

Członkowie : Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża w 68 państwach (około 93.000.000 członków).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Liga ma doraźne układy z O.N.Z., uprawnienia doradcze w Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z., U.N.E.S.C.O. i w W.H.O.

Uwagi : Wśród osiągnięć Ligi warto wymienić pomoc udzieloną w okresie ostatniej wojny około 12.000.000 uchodźców; w roku 1948 Organizacja Pomocy Uchodźcom w Palestynie; w roku 1950 Pomoc dla Ludności Cywilnej w Korei; repatriacja dzieci greckich.

MORAL RE-ARMAMENT
REARMEMENT MORAL
RUCH DOZBROJENIA MORALNEGO

M.R.A.

(organizacja społeczna)

Organizacja założona w 1921 roku stawia sobie za cel propagowanie wśród robotników i pracodawców, obywateli i rządzących czterech zasad dozbrojenia moralnego : czystości, miłości, altruizmu i uczciwości.

Posiada stałe centrum w Caux (Szwajcaria).

Wydaje miesięcznik „New World News”.

INTERNATIONAL ORGANISATION OF EMPLOYERS I.O.E.
ORGANISATION INTERNATIONALE
DES EMPLOYEURS O.I.E.
MIĘDZYNARODOWA ORGANIZACJA PRACODAWCÓW
(organizacja społeczna)

Powstała w 1919 roku. Organizacja ta stawia sobie za cel utrzymanie stałego kontaktu między federacjami pracodawców w poszczególnych krajach.

Federacje 26 krajów są członkami organizacji. Reprezentują one 80 do 90 procent przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych w tych krajach.

Federacja ma uprawnienia doradcze w Radzie Gospodarczej i Społecznej O.N.Z. i jest reprezentowana w Międzynarodowej Organizacji Pracy.

UNION OF INTERNATIONAL ASSOCIATIONS U.I.A.
UNION DES ASSOCIATIONS INTERNATIONALES U.A.I.
UNIA STOWARZYSZEŃ MIĘDZYNARODOWYCH
(organizacja społeczna)

Unia założona w 1907 roku ma na celu gromadzenie informacji o działalności społecznych organizacji międzynarodowych. Przeszło tysiąc organizacji międzynarodowych jest zarejestrowanych w Unii.

Wydaje : „Year Book of International Organizations”.

Siedziba : Palais d'Egmont, Bruksela.

Poniżej opublikowany list otrzymaliśmy od Organisation du Traité de l'Atlantique Nord :

Szanowny Panie,

W numerze 81/82 *Kultury* w artykule „A.B.C. Instytucji Międzynarodowych” należałoby, moim zdaniem, wprowadzić następujące poprawki dotyczące N.A.T.O.:

1) pod „Siedziba”:

Kwatera Główna N.A.T.O. — Palais de Chaillot, Paris (16). Przedstawiciele Komitetu Wojskowego i Grupy Wykonawczej — Waszyngton. (Obecnie nie istnieją Rada Produkcji Wojennej oraz Rada Finansowa i Gospodarcza.)

2) pod „Członkowie”:

dodać : Grecja i Turcja.

3) pod „Stosunek do innych organizacji międzynarodowych”:

zamiast „Rada Finansowa i Gospodarcza” winno być N.A.T.O.

4) pod „Struktura”:

Nazwą Rady jest Rada Północno-Atlantycka. Rada Zastępców już nie istnieje. Wskutek czego cały ustęp winien brzmieć następująco :

„Najwyższym organem Organizacji jest Rada Północno-Atlantycka. Składa się ona z Ministrów Spraw Zagranicznych państw należących do tej organizacji lub, w razie ich nieobecności, ze stałych przedstawicieli. Zebrania odbywają się co tydzień i sekretarz generalny N.A.T.O. jest jednocześnie wiceprzewodniczącym Rady Północno-Atlantyckiej. Stanowisko przewodniczącego przechodzi kolejno na Ministrów Spraw Zagranicznych państw wchodzących w skład N.A.T.O. w porządku alfabetycznym według angielskiego brzmienia nazw tych państw.

5) pod „Uwagi”:

Trzeci ustęp winien brzmieć :

„Ale Pakt Atlantycki jest czymś więcej niż zwykłym sojuszem obronnym. Posiada on również pewne funkcje, w dziedzinie wytwórczości i gospodarki”.

Ostatni ustęp dotyczący Unii Zachodniej jest błędny i powinien być skreślony.

Z poważaniem

Alastair SCOTT

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

Z zainteresowaniem przeczytałem dalszy ciąg „A.B.C. Instytucji Międzynarodowych” pióra Jerzego Renckiego umieszczony w lipcowym numerze „Kultury”.

Niestety tak jak do pierwszej części artykułu, i tu zakradły się pewne pomyłki, które chciałbym sprostować :

1) Do Organizacji Paktu Atlantyckiego przystąpiły dwa państwa, nie wymienione w A.B.C., a mianowicie : Grecja i Turcja.

2) Komisja Ekumeniczna Współpracy Europejskiej, podobnie jak cały ruch ekumeniczny, nie jest organizacją o „charakterze protestanckim”. Obok kościołów protestanckich biorą w niej udział np. kościoły prawosławne. Poprawnie byłoby określić tę organizację jako posiadającą charakter „nie-katolicki” a ściślej jeszcze jako skupiającą wyznania chrześcijańskie poza kościołem rzymsko-katolickim.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania

Dr Jerzy HAUPTMANN,
Kierownik Wydziału Nauk Politycznych
Park College, Parkville, Mo.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

W 81/82 numerze „Kultury” p. M. E. Rojek martwi się z powodu toczącej się na łamach pańskiego pisma „walki wewnętrznej między ortografią i polityką”. Dotyczy to głównie artykułów niżej podpisanego. Pan Rojek suponuje ironicznie, że stosowana przeze mnie fonetyczna pisownia nazwisk ukraińskich wynika z troski o utrudnienie „imperialistom” polskim sięgania po wartości kulturalne ukraińskie.

Muszę autora listu rozczarować. Piszę nazwiska ukraińskie fonetycznie, bo wydaje mi się, że tak jest najwłaściwiej, i z polityką nie ma to nic wspólnego. Pan Rojek powołuje się na Akademię Umiejętności i trzyma się jej zasad. Co więcej, polszczyć nazwiska ukraińskie, łaskawie pozwala Ukraińcom, by ukrainizowali nazwiska polskie. Tym razem ja okażę się „imperialistą” i kategorycznie zaprotestuję przeciw przemianowaniu króla Sobieskiego na „Sobiśkyj”. A co do Akademii, toć ona zawiła nonsensowną, barbarzyńską pisownię, której przed wojną nie uznało wielu pisarzy i niejedno pismo literackie. Dopiero na emigracji nastąpiło zgłajchszaltowanie. Osobiście piszę wszystkie moje teksty według pisowni starej i nie moja wina, że redaktorzy starannie je poprawiają. Czasem nie dopatrzą i powstaje zabawny bałagan ortograficzny.

Przy okazji dwie uwagi na temat artykułu Jana Brzękowskiego „O roli awangardy”. Brzękowski podaje chronologię poetycką okresu, w którym rosła i dojrzewała polska awangarda. Między innymi trzy moje pozycje : „Słońce przez szpary” 1929, „Gwiezdny psalterz” 1931, „W przeddzień” 1932. Wszystkie wymienione przez Brzękowskiego książki — to juvenilia, do których niechętnie przyznawałem się w parę lat później. Zaś dwie pierwsze książki nie mają nic wspólnego z jakąkolwiek awangardą. Może dopiero niektóre wiersze tomu „W przeddzień”... W tymże przeglądzie chronologicznym zauważyłem błędną informację dotyczącą Jerzego Zagórskiego. Brzękowski pisze, że jego pierwszą publikacją było „Przyjście wroga” 1933. Zagórski debiutował tomem „Ostrze mostu” ; poemat „Przyjście wroga” ukazał się w dwa lata później.

Józef ŁOBODOWSKI

Madryt, we wrześniu 1954.

Szanowny Panie Redaktorze !

Czy aby Miłosz nie myli się, cytując kpinę Światopełka-Karpińskiego (Józef Czechowicz, Portrety polskich poetów) o Rzeczycy i Przeczycy ? O ile mnie — zawodna, bo ludzka — pamięć nie myli, brzmiało to tak :

*Poeta Przyczyniak nie znosi Tuwima,
na takich poetów, poeta się zżyma,
Poeta Przyczyniak podłoża wymaga,
a reszta, powiada, to blaga.
Kolega poety, poeta Przeczycą,
kolegą poetą się głośno zachwyca. itd.*

Byłoby więc w dalszym ciągu :

*I na to Przyczyniak wymienia Peipera
a wtedy Przeczycą z zachwyty umiera.*

Może to i nie takie ważne, ale przypomniały mi się dawne czasy, kiedy „kredą na parkanie” kursowało wśród młodzieży szkolnej — i zaskoczył mnie ten Rzeczycy !

Łączę wyrazy szacunku.

Róża NOWOTARSKA

Szanowny Panie Redaktorze !

Piszę pod wrażeniem pięknego i pełnego umiaru listu inż. Wiktora Ostrowskiego w sprawie ataku p. Kozłowskiego na p. Gombrowicza. Chcę wierzyć, że po tym liście p. Kozłowski postara się zrozumieć p. Gombrowicza. Aby Jemu ten wysiłek ułatwić, spróbuję, jak umiem, wyłożyć mój punkt widzenia na „problem” Gombrowicza.

Niektórym „dialektykom”, których urzekły przeciwieństwa ludzkiej natury i którzy intelektualnie rozkoszują się żonglerką sprzecznościami, wydaje się, że dialektyka coś determinuje i prowadzi do wniosków nie dających się uniknąć. Jednym się wydaje, że ostateczne te wnioski są beznadziejnie pesymistyczne (Sartre), innym, że są urzekająco optymistyczne (bolszewicy). Tymczasem dialektyka niczego nie determinuje i niczego, prócz zachęty do rozwiązywania problemów życia przy pomocy myśli i praktyki, nie implikuje. A system myślenia dialektycznego niczym innym nie jest jak tylko „empirycznym myśleniem”. W każdym razie bliższe to amerykańskiego pragmatyzmu niż sartrowskiego mętniactwa.

Jeśli więc poszczególni intelektualiści na podstawie żonglerki sprzecznościami przychodzą do pesymistycznych wniosków, nie oznacza to bynajmniej, że do tych wniosków nieuniknienie prowadzi myślenie dialektyczne, lecz oznacza, że natura tego bawiącego się dialektyką intelektualisty jest specjalnie predysponowana do podlewania wszystkiego gorzyzką pesymizmu. I odwrotnie — natura ludzka obdarzona optymistycznymi zdolnościami, zmusza do zupełnie nieuzasadnionej wiary, że ludzkość wszystko potrafi !

Spokojnie myślący człowiek, który w „jedności przeciwieństw” szuka prawdy ludzkiej natury, prowadzi swoje rozumowanie w taki sposób, by mu łatwiej było żyć, by problemy egzystencji nie tworzyły, sztucznych

zresztą, zapór nie do przebycia — z jednej strony, a z drugiej nie dyktowały wyobraźni nazbyt różowych fikcji.

Myślenie dialektyczne to umiejętność widzenia i godzenia przeciwieństw — to myślenie *poprzez* przeciwieństwa !

Umiar dialektycznego myślenia konfrontowanego z rzeczywistością opiera się na usiłowaniu zrozumienia natury ludzkiej i zdeteminowanego przez nią życia. To dążenie do rozumienia musi ułatwiać byt, po coś więc te sztuczne utrudnienia ? Tym bardziej, że ani pesymizm Sartre’a, ani optymizm bolszewików nie są życiowo prawdziwe. Prawdziwe jest tylko to co z natury człowieczej wypływa i z nią jest w zgodzie.

Podobno fantasta pesymistyczny Sartre sympatyzuje z koncepcją sowiecką. Czyżby w myśl zasady, że : „przeciwieństwa się łączą” szukał on w urzędowym optymizmie bolszewików ratunku przed urojoną beznadzieją własnej filozofii ? Jeśli tak — to „egzystencjalizm” jest takim samym błędnym zaułkiem myśli ludzkiej jak malarstwo Picassa jest zaułkiem sztuki, a bolszewizm tragicznym zaułkiem życia socjalnego.

Nie jest dla nikogo tajemnicą jak bolszewicy traktują swoich ekscentrycznych wyznawców : Sartre’a i Picassa. Nie przepadają oni za bagnistą filozofią jednego i za napuszonym absurdem drugiego, ale względy taktyczne nakazują im wykorzystywać popularność obu nazwisk wśród snobistycznych intelektualistów, którym imponuje mętna „dialektyka” filozofii pierwszego i sztuki drugiego.

Ze znanych mi pisarzy, którzy doznali dialektycznego olśnienia najbliższym „prawdy” (jeśli tak w ogóle można powiedzieć) wydaje się Gombrowicz. Czytając jego „Dziennik” odnoszę wrażenie, że Gombrowicz coraz głębiej i coraz pewniej sięga w zrozumienie natury ludzkiej, a w rozumowaniu nigdy się nie odala od dialektycznej istoty rzeczywistego życia. Gombrowicz jest, bo musi być, sobą. Jakiegokolwiek zestawianie Go z Sartrem lub filozofami bolszewizmu jest zwykłą, logiczną pomyłką.

Nie rozdaje patentów na dialektyczne myślenie — bo skąd mnie do tego — ale naprawdę dużo korzystam, gdy czytam Gombrowicza. Jego Dziennik jest dla mnie sugestywnym przewodnikiem gdy szukam dróg rozumienia natury ludzkiej i gdy próbuję na tych usiłowaniach budować moje własne, bo zdeteminowane właściwościami mojej indywidualnej natury myślenie dialektyczne. I to jest powodem, że ośmieliłem się przeciwstawić sposób myślenia Gombrowicza dialektycznym chwytem „Krótkiego Kursu Historii WKP(b)”, oraz dialektyce filozofii Sartre’a i sztuki Picassa.

Jak bardzo jestem pod urokiem jasności formy wyrażania myśli Gombrowicza, niech świadczy fakt, że nie szokuje mnie nawet jego, wcale nie dialektyczna, zarozumiałość, która byłaby zupełnie nieznośna u autorów mętnych, podających swoje myśli w formie niejasnej i dla przeciętnego „zjadacza kultury” nie strawnej.

W przekonaniu, że p. Kozłowski również przeczyta ten list i zechce za stanowić się nad właściwościami własnej natury indywidualnej, kończę

Józef WŁODARKIEWICZ

Toronto, 31 sierpnia 1954.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „Gombrowicz i Robaczek Kozłowski”, drukowanym w „Kulturze” Nr 6/80 1954 p. Jeleński, występując w obronie Gombrowicza używa argumentów wątpliwej wartości moralnej i posługuje się co naj-

mniej niesmacznymi wyrażeniami. Używanie w dyskusji literackiej określenia „robaczek” celem unicestwienia p. Kozłowskiego czy innego Polaka-emigranta którego może razić rozdźwięk między Gombrowiczem-pisarzem a Gombrowiczem „szatynem średniego wzrostu, zapewne dobrym i sumiennym urzędnikiem” placówki reżymowej uważam w ustach uznanego krytyka „Kultury” za chwyt nieładny, niemądry.

Czy czytelnikom „Kultury” nie nasuwa się myśl, że p. Jeleński dopuszcza możliwość podwójnej moralności w życiu pisarza. Może on świadomie cały dzień oddać na usługi instytucji subsydiowanej przez rząd komunistyczny bezlitośnie mordujący wszelkie przejawy wolności jednostki — po to by wieczorem wyżywać się swobodnie na kartkach dzienniczka i pięknie pisać o wolności „która jest koniecznością”.

P. Jeleński sam mimowoli się zrobaczkował i zamiast obronić Gombrowicza zamiast go usprawiedliwić, wyrządził mu niedźwiedzią przysługę. Wyobrażam sobie, że ciężko musiało się układać życie Gombrowiczowi, skoro dopuścił możliwości zaistnienia tej dwoistości w swoim życiu, i że jako artysta musi nad nią boleć. Prawdopodobnie dziwna i dająca dużo do myślenia obrona Jeleńskiego musiała go zaskoczyć. Bo Jeleński zamiast walić w sumienia emigracji, która może i powinna stworzyć lepsze warunki naszym pisarzom, żyjącym razem z nami z dala od kraju, nieetycznie usprawiedliwia i rozgrzesza zło.

Pozwolę sobie powtórzyć słowa p. Jeleńskiego tym razem w odniesieniu do jego własnego artykułu: „styl, treść, sens zasadniczy pasuje bardziej do płaskiej prasy reżymowej niż do niezależnego pisma emigracyjnego”. A już na pewno nie pasuje do „Kultury”.

Proszę przyjąć wyrazy poważania,

Irena GEBSKA

Wielce Szanowny Panie,

W doskonałym artykule Juliusza Mieroszewskiego „Polacy i... poganie”, zamieszczonym we wrześniowym numerze miesięcznika „Kultura”, pragnę uczynić jedno małe sprostowanie:

Otóż twierdzi autor, że koncepcja „państwa na emigracji” opiera się na poglądzie, że Rzeczpospolita znajduje się w wojnie z Sowietami. Tak jednak nie jest. Nasze M.S.Z. jeszcze w czasie wojny wyjaśniło, iż stan wojenny między Polską a Sowietami nigdy nie zaistniał, bo zerwanie stosunków dyplomatycznych nie jest z nim identyczne. Okólnik ten podało Ministerstwo Obrony Narodowej do wiadomości sądom wojskowym, zakazując zarazem stosowania tych artykułów kodeksu karnego, czy też karnego wojskowego, które mówią o przejściu na stronę nieprzyjaciela, czy współdziałanie z nieprzyjacielem itp.

Nie obala to w zupełności poglądów autora, gdyż ciagle jesteśmy w stanie wojny z Niemcami, Włochami, czy zgola Japonią. Zakamieniali legalści powiedzą, że reprezentanci prawowitego rządu polskiego, nie zawarli z państwami tymi pokoju. Można i tak...

Z wysokim poważaniem

Dr Włodzimierz CHIGER

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Kultura vient d'être expulsée du local qu'elle occupait depuis 1947. Il nous faut trouver une maison qui abriterait la rédaction de la revue, la maison d'éditions, un unique centre de documentation, une collection complète de publications polonaises depuis 1945, une bibliothèque de 6.000 volumes. Quelques amis (que Joseph Czapski a nommé, en les remerciant, dans notre numéro de septembre) nous ont offert ou avancé des sommes importantes, en initiant ainsi un fonds pour l'achat d'une maison. Nous nous proposons d'atteindre la somme de 10 millions de francs. C'est à tous les lecteurs de *Kultura* que nous faisons appel dans ce numéro. A ce propos, Juliusz MIEROSZEWSKI retrace l'histoire de *Kultura* et donne une esquisse de sa position:

« *Kultura* — conclut Mieroszewski — représente une pensée polonaise indépendante dans le sens profond de ce mot. Indépendante des ennemis, indépendante aussi des alliés... »

Wiktor WEINTRAUB, de l'université de Harvard, évoque la silhouette de Kazimierz Nitsch, professeur à l'Université de Cracovie, une des plus grandes autorités contemporaines sur la langue polonaise et ses dialectes.

Paweł HOSTOWIEC nous donne ses impressions du Forum Européen d'Alpbach en 1954. Il retrace l'histoire de « l'Oesterreichisches College », nous parle des cours et des discussions (un des séminaires était consacré cette année à l'Europe orientale), il observe aussi la vie de la vallée tyrolienne et de ses habitants.

Jan TOKARSKI s'oppose à la « mumification » des saints. Il tâche de les restituer à leur humanité essentielle.

Une correspondance de Londres analyse la situation absurde des « deux Etats » polonais en exil. Seul un conseil élu par les Polonais en exil pourrait rétablir un contact entre la vie sociale de notre émigration et la réalité.

Stanisław ZARZEWSKI étudie l'histoire du conflit qui éclata autour du pétrole iranien et en tire des leçons: pour l'Iran, qu'un nationalisme démagogique est bien coûteux; pour la Grande-Bretagne et l'Occident en général, qu'il est encore plus coûteux de se figer dans une attitude périmée en sous-estimant la force du nationalisme et de l'amour-propre des pays où l'on conserve encore des intérêts.

W. ZALESKI analyse un nouveau livre de H. Seraphim (« spécialiste » allemand de questions polonaises) consacré à l'industrie silésienne. Seraphim maintient que le bassin silésien ne peut faire partie que du bloc soviétique ou de « l'économie allemande ». Thèse faite pour jeter les Polonais dans les bras des Soviétiques. L'auteur de l'article rappelle à M. Seraphim qu'il y a bien une troisième possibilité : celle d'une fédération européenne de peuples libres.

Dix ans se sont écoulés depuis la tragique insurrection de Varsovie. Zofia WANKOWICZ, qui a joué un rôle dirigeant dans la résistance polonaise, retrace le rôle des femmes-soldats dans cette insurrection (section de « La plus récente Histoire de Pologne »).

Zbigniew JORDAN étudie, statistiques à l'appui, les implications agricoles du « Plan de six ans » lancé par le gouvernement communiste en Pologne.

Une analyse de la presse culturelle polonaise évalue la position de la littérature étrangère en Pologne. Tandis que les éditions de l'Etat ne laissent passer que les Aragon et les Wurmser, les Polonais se passionnent (de l'aveu même des journaux officiels) pour Koestler, Orwell, Manès Sperber, Camus...

La *Chronique culturelle* contient un compte rendu des « Rencontres internationales » de Genève en 1954 et un souvenir posthume sur Samuel Tyszkiewicz, l'artiste-imprimeur polonais de Florence.

Suivent des comptes rendus de livres polonais et étrangers et une « revue des revues ». Une note consacrée à la presse communiste polonaise relève de nombreuses références, attaques ou polémiques, concernant *Kultura* et des écrivains de l'émigration.

ENGLISH SYNOPSIS

Kultura is being expelled from the house it occupied since 1947. We must find another house which would shelter the review, the publishing house, an important centre of documentation, a complete set of Polish publications since 1945, a library of 6,000 volumes. Several friends (whom Joseph Czapski thanked in our September issue) have offered, or advanced, important sums, thus initiating a fund for the purchase of a house. We aim at collecting 10 millions French francs. In this issue, we appeal to all our readers. In this connection, Juliusz MIERO-

SZEWSKI tells the story of *Kultura* and tries to give a definition of our aims :

« *Kultura*—says Microszewski—represents Polish independent thought in the real meaning of this term. Independent from enemies, independent also from allies... »

Wiktor WEINTRAUB, of Harvard University, gives a profile of Kazimierz Nitsch, professor of Cracow University, and one of the great contemporary authorities on Polish language and its dialects.

Pawel HOSTOWIEC tells us his impression of the European Forum at Alpbach in 1954. He gives the history of the « Oesterreichisches College », mentions lectures and discussions (a seminar was devoted this year to Eastern Europe), and also observes the quiet Tyrol valley and its inhabitants.

Jan TOKARSKI protests against the current « mumification » of saints. He endeavours to present them in all their essential humanity.

Our London correspondent analyses the absurd situation of the two Polish « States » in exile. Only a council elected by Poles in exile could reestablish a contact between the political life of our emigration and reality.

Stanislaw ZARZEWSKI studies the history of the Iranian oil conflict, and draws two lessons from it: for Iran, that demagogic nationalism is very costly; for Great Britain, and the West in general, that it can be even more costly to cling to a position overcome by history, and to underestimate the force of nationalism in countries where one has important interests.

W. ZALESKI analyses a new book by H. Seraphim (a German « specialist » of Polish affairs), devoted to Silesian industry. Seraphim maintains that « Great Silesia » can form part either of the Soviet bloc, or of the « German economic system ». A perspective which can only draw the Poles closer to the Soviets. The author of the article reminds Mr. Seraphim that there is a third possibility: a European federation of free nations.

Ten years have passed since the tragic Warsaw insurrection. Zofia WANKOWICZ, who played a leading part in the Polish Home Army, recalls the participation of women in the insurrection.

Zbigniew JORDAN studies the agricultural implications of the Polish Six Year Plan.

What is the impact of foreign contemporary literature in to-days Poland? While state editions are open only to communist writers, it

seems (says angrily the Polish official press) that Poles are passionately interested in George Orwell, T.S. Eliot, Koestler, Camus...

The current cultural chronicle contains a report of this year's «Rencontres internationales» in Geneva and an obituary notice on Samuel Tyszkiewicz, the Polish printer and artist who worked in Florence.

In addition to reviews of Polish and foreign books and to a «review of reviews», we give a notice on the numerous references (attacks and polemics), which recently appeared in Polish communist press concerning *Kultura* and some exiled writers.

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZNIE

Największa na emigracji

KSIEGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV*).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz

Dépôt légal : 4^e trimestre 1954

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-rocza	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guairá 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que.; St. L. Le-mański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec” 700 Queen St. W. Toronto/Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmen Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, Seehammer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun-Oslo	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan B/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ”, 615 Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 No Sierra Bonita Ave., Hollywood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziwanowski, 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; S. Sokolowski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; M. Szyprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; K. Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Avenue Cornaille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)

Najnowsze wydawnictwa Biblioteki "Kultury"

TOM VII

STEFANA KORBOŃSKIEGO

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Jak powstało Polskie Państwo Podziemne? — Jakie były wewnętrzne konflikty pomiędzy Politycznym Komitetem Porozumiewawczym, Dowództwem Armii Krajowej i Delegaturą Rządu? — Jakie były formy łączności pomiędzy Krajem i Rządem w Londynie? — Czy były formy współpracy polsko-niemieckiej w Kraju pod okupacją? — Czym była „Walka Cywilna”? — Skąd czerpała swe informacje radiostacja „Świt”? — Jaka jest prawda o podziemnym wymiarze sprawiedliwości? — Jaka była rola armii ludowej Żymierskiego? — Dlaczego Berling popadł w niełaszkę? — Jaki był stosunek polskich władz podziemnych do komunistów? — Jakie były losy tajnej misji Retingera? — Dlaczego Kierownik Walki Cywilnej dowiedział się o wybuchu Powstania przypadkiem? — Jakie były pierwsze kroki Mikołajczyka po powrocie do Polski? — Jak wyglądały stosunki w U.B.?

Na te pytania odpowiada książka Korbońskiego.

Cena egzemplarza wynosi : 1,250 frs (dol. 3,50; sh. 25)

TOM VIII

JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

ZŁOTA HRAMOTA

ZŁOTA HRAMOTA stanowi zwarty zbiór poematów i wierszy, osadzonych na tej samej osi tematycznej. Jest to poetycka próba rozrachunku polsko-ukraińskiego zarówno w płaszczyźnie historycznej jak moralnej.

Do książki dołączono kilka wierszy tego zbioru w przekładach na ukraiński, dokonanych przez Horodyńskiego, Poltawę i Sławutycz.

Cena egzemplarza : 700 frs (14 sh., 2 dolary)

Zamówienia można nadsyłać do Redakcji „Kultury”
1, av. Corneille, MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.), France
oraz do Przedstawicielstw.

Cena 180 frs.